

Agatha Christie

Pasażer do Frankfurtu

Tłumaczyli Leszek Śliwa i Anna Pełech

Tytuł oryginału; Passenger to Frankfurt

„Władza jest wielką siłą twórczą,

ale niekiedy bywa diaboliczna.”

Jan Smuts

Dla Margaret Guillaume

Wstęp

Od autorki:

Pierwsze pytanie, jakie zadają mi czytelnicy w listach i rozmowach, brzmi nieodmiennie tak:

— Skąd pani czerpie swoje pomysły?

W takich wypadkach zawsze mam wielką ochotę odpowiedzieć: „Jak to skąd? Kupuję je u Harrodsa!”

Czasami mam wrażenie, że w obiegowej opinii utrwaliło się

przekonanie, że pisarze mają dostęp do magicznego źródła pomysłów, z którego czerpią, ilekroć przyjdzie im na to ochota.

Już Szekspir w zamierzonych czasach elżbietańskich musiał borykać się z podobnymi pytaniami i nie omieszkał ich uwiecznić w tychże słowach:

Powiedz, gdzie się pomysł rodzi?

W głowie czyliż w sercu wschodzi?

Co go żywi? Co go płodzi?

Powiedz! Powiedz!

Ja zwykle odpowiadam: „W głowie”. Trudno uznać tę odpowiedź za satysfakcjonującą. Jeśli mój rozmówca wydaje mi się miły, z reguły ulegam namowom i dodaję:

— Kiedy jakiś pomysł wyda mi się szczególnie atrakcyjny i gdy czuję, że potrafię go rozwinąć, wtedy rozmyślam nad nim, obracam go na wszystkie strony, rozwijam, skracam i stopniowo doprowadzam go do ładu. Potem oczywiście przychodzi pisanie. I wtedy kończy się zabawa, a zaczyna ciężka praca. Bywa również, że pomysł wędruje do szuflady i czeka na stosowniejszą porę.

Drugie pytanie, czy może raczej stwierdzenie, brzmi mniej więcej tak:

— Bohaterowie, jak sądzę, to postacie zaczerpnięte z życia, prawda?

Na podobne insynuacje reaguję ze szczerym oburzeniem:

— Ależ skąd! Wymyślam ich. Są *moi*. Muszą być moimi bohaterami. Robią to, co chcę, mówią to, co chcę, może czasem mają swój własny punkt widzenia, ale tylko dzięki temu, że ja ich stworzyłam, że tchnęłam w nich życie.

Zatem mamy już pomysł, mamy również bohaterów. Pora na trzeci

element: dekoracje. Pierwsze dwa elementy rodzą się we mnie, jednak trzeci... hmm, z trzecim jest inaczej. Tło akcji przychodzi z zewnątrz. Ono jest, istnieje, czeka. Tła nie można wymyślić, ono jest prawdziwe, musi być prawdziwe.

Powiedzmy, że biorę udział w wycieczce po Nilu. Pamiętam wszystko, każdy szczegół. Po co miałabym wymyślać coś, co istnieje naprawdę? Albo siedzę w kawiarni w Chelsea. Tuż obok kłócą się dwie kobiety. Jedna wrywa drugiej garść włosów z głowy. Cóż za wspaniały początek kolejnej powieści! Albo jadę Orient Ekspresem i z nudów wyobrażam sobie, że w

pociągu ktoś popełnił morderstwo. Albo idę na herbatkę do znajomej. Kiedy wchodzę do pokoju, siostra znajomej odkłada książkę, którą właśnie skończyła czytać, i mówi: „Nieźle, ale czemu, na miłość boską, nie zapytali Evansa?” I wtedy stwierdzani, że następna powieść będzie miała tytuł: Czemu nie zapytali Evansa?

Wprawdzie nie wiem jeszcze, kim jest Evans, ale cóż to szkodzi? Evans przyjdzie z czasem, najważniejsze, że mam już tytuł.

Tak więc tła nie trzeba wymyślać. Ono jest dookoła, wystarczy tylko wyciągnąć rękę i wybrać to, na co się ma ochotę. Pociąg, hotel w Londynie,

plaża na Karaibach, domek na wsi, przyjęcie u znajomych, pensja dla dziewcząt.

Jest tylko jeden kłopot: tło akcji musi być prawdziwe, istnieć w określonym czasie i przestrzeni. Prawdziwe miejsca, prawdziwi ludzie. Kiedy o nich piszę, są odległe często o tysiące mil. Na czym się oprzeć, kiedy jedyną pomocą jest niesforna pamięć? Odpowiedź jest przerażająco prosta.

Gazety. Codziennie rano mam przed oczyma gotowe scenariusze zamieszczane na pierwszych stronach gazet. Co się dzieje na świecie? O czym ludzie myślą, o czym dyskutują, co

narkotyków.

Gwałty, morderstwa, rozboje.

Znikają dzieci, zdarza się, że odnajduje się ciała Zamordowanych dzieci niedaleko ich domów.

Czy tak wygląda codzienność? Czy naprawdę tak wygląda dzisiejsza Anglia? Chciałoby się rzec: nie, dzięki Bogu jeszcze nie. Ale jutro? Kto wie, co przyniesie jutro?

Rodzi się strach. Strach przed tym, co niesie przyszłość. Nie tyle przed tym, co zdarza się każdego dnia, ile przed tym, co może się za tym kryć. I nie tylko w tym kraju, gdzie żyjemy. Wystarczy

przewrócić stronę i przeczytać doniesienia z Europy, z Azji, z Ameryki — wieści ze świata.

Porwane	samoloty.	Kidnapping.
Przemoc.	Zamieszki.	Nienawiść.
Anarchia,	rosnąca	w siłę,
wszechogarniająca.		

Świat zdaje się czerpać przyjemność z zadawania gwałtu, rozkosz w niszczeniu.

Gdzie sens w tym wszystkim? I znów przychodzi na myśl elżbietanska fraza o tym, że życie jest tylko „powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą”.

A mimo to wiemy przecież, że na

świecie jest wiele dobra. Ileż jest czynów płynących z dobroci serca, ileż aktów współczucia, ileż dowodów ludzkiej serdeczności.

Więc skąd te straszne rzeczy, o których czytamy w codziennej prasie, o których wiemy, że są prawdziwe, że zdarzyły się naprawdę? Aż trudno w nie uwierzyć, wydają się tak odległe, tak fantastyczne.

Aby napisać książkę w roku pańskim 1970, pisarz musi przyjąć takie tło, jakie ma przed oczyma. Jeśli tło jest fantastyczne, wtedy powieść musi odnaleźć się w tym tle. Musi być fantastyczna i niewiarygodna. Tak jak fantastyczne i niewiarygodne są fakty

wzięte z codziennego życia.

Czy potraficie przyjąć ten fantastyczny scenariusz? Czy umiecie wyobrazić sobie mroczny spisek zmierzający do zawładnięcia światem? Czy szaleńcy owładnięci żądzą niszczenia mogą chcieć zbudować nowy świat? I wreszcie czy można uwierzyć, że znajdzie się lekarstwo na szaleństwo świata?

Nie ma rzeczy niemożliwych. Nauka nieraz już tego dowiodła.

Ta opowieść jest fantazją. Nie ma ambicji uchodzić za coś więcej.

Ale większość opisanych w niej

wydarzeń można spotkać każdego dnia.

Niniejsza historia nie jest niemożliwa
— jest po prostu fikcyjna.

Księga pierwsza

Przerwana podróż

Rozdział pierwszy

Pasażer do Frankfurtu

— Proszę zapiąć pasy. —
Pasażerowie niechętnie stosowali się do polecenia. Czyżby to już Genewa? Za wcześnie. Niektórzy, wyrwani z drzemki, przeciągali się leniwie i ziewali. Stewardesa bezlitośnie budziła tych, którzy mieli mocny sen.

— Bardzo proszę o zapięcie pasów.

Z głośników rozległ się metaliczny, beznamiętny głos, który wyjaśnił po

niemiecku, francusku i angielsku, że za chwilę samolot znajdzie się w obszarze niesprzyjających warunków atmosferycznych i że nie ma powodów do niepokoju. Sir Stafford Nye ziewnął przeciągle i poprawił się w siedzeniu. Właśnie śnił, że siedzi nad rzeczką i łowi ryby.

Sir Stafford Nye miał czterdzieści pięć lat. Był średniego wzrostu, starannie ogolony, o oliwkowej cerze. Odziany był raczej ekscentrycznie. Jako arystokrata, uwielbiał zwracać na siebie uwagę bliźnich. Jeżeli nawet jego strój wzbudzał wśród znajomych pogardliwe uśmiešky, tym lepiej. Było to źródłem jego niewymownej radości i złośliwej

satysfakcji. Miał w sobie wiele osiemnastowiecznego dandysa. Kochał być zauważanym.

Ulubionym strojem podróżnym sir Stafforda było osobliwe okrycie przywodzące na myśl zbójecką pelerynę, które nabył kiedyś goszcząc przejazdem na Korsyce. Ów przedziwny płaszcz miał kolor ciemnego błękitu, szkarłatną podszewkę i wielki kaptur nieodzowny przy niepogodzie i przeciągach.

Sir Stafford Nye był powszechnie uważany w kręgach dyplomacji za nieudacznika. Wprawdzie w młodości budził wielki podziw dzięki swym rozlicznym talentom i błyskotliwemu umysłowi, jednak w opinii wielu zdołał

zaprzepaścić pokładane w nim nadzieje. W chwilach wymagających niezwyklej powagi ogarniał go dziki, diaboliczny wręcz atak niepohamowanej wesołości. Nic tak, jego zdaniem, nie zabijało nudy oficjalnych przyjęć” jak odrobina złościwości. Był więc sir Stafford osobą powszechnie znaną w kręgach dyplomatycznych, choć jego skromna pozycja w ministerstwie w niczym tego nie uzasadniała. Krążyła opinia, że Stafford Nye, chociaż bez wątpienia bystry chłopak, nie jest (i z pewnością nigdy nie będzie) osobą godną zaufania. W tych czasach zawiłych układów politycznych i napiętych stosunków międzynarodowych człowiek godny zaufania był stokroć bardziej pożądany

niż tęgi umysł, zwłaszcza gdy w grę wchodziły wysokie stanowiska w rozlicznych ambasadach. Sir Stafford został więc odsunięty na bok i jedynie sporadycznie powierzano mu sprawy wymagające sprytu i talentu do intryg, zwłaszcza te, które nie miały zbyt wielkiego znaczenia w oczach opinii publicznej. Dziennikarze nazywali go często czarnym koniem dyplomacji.

Czy sir Stafford Nye był rozczarowany przebiegiem swej kariery, tego nie wiedział nikt. Prawdopodobnie nawet sam zainteresowany. Był wprawdzie osobnikiem próżnym, jednak nad wszelkie zaszczyty przedkładał rozrywkę.

Wracał właśnie z Malajów, gdzie brał udział w komisji śledczej. Była to nad wyraz nudna sprawa. Jego koledzy z komisji najwyraźniej już wcześniej wyrobili sobie zdanie na temat tego, co mieli zobaczyć na miejscu. Przybyli, zobaczyli i w niczym nie zmieniło to ich sądów. Słr Stafford dorzucił swoje trzy grosze, bardziej dla samej zabawy niż z wewnętrznego przekonania. Przynajmniej zdołał nieco rozruszać towarzystwo. Szkoda, że takie okazje zdarzały się tak rzadko. Członkowie komisji byli poważni, godni zaufania i nudni jak flaki z olejem. Nawet pani Edge, jedyna kobieta w komisji, powszechnie uważana za lekko stukniętą, kiedy przyszło do ferowania

sądów, zachowywała się nad podziw odpowiedzialnie.

Spotkał ją kiedyś przy okazji wyjaśniania jakiegoś drobnego incydentu w jednej z bałkańskich stolic. To właśnie wtedy sir Stafford nie mógł się powstrzymać i rzucił kilka interesujących sugestii. Wkrótce potem brukowiec „Inside News” zamieścił artykuł, w którym sir Stafford wystąpił jako specjalny wysłannik rządu w niezwykle delikatnej misji. Sir Stafford dostał kopię artykułu od znajomego, który nie omieszkał podkreślić na czerwono stosownych fragmentów. Dyplomata przyjął tę złośliwość z humorem. Czytając artykuł nie mógł

powstrzymać się od śmiechu na myśl o naiwności żurnalistów. Pojechał do Sofiagradu ulegając namowom swej znajomej, posuniętej w latach lady Lucy Cleghorn, która gnana botaniczną pasją namówiła go na wycieczkę w góry. Lady Cleghorn była osobą, która z godną podziwu wytrwałością wdrapywała się na niebotyczne skały i brnęła wskroś rwących potoków w pogoni za wątlym kwiatuszkiem, którego rozmiary pozostawały w odwrotnej proporcji do jego łacińskiej nazwy gatunkowej.

Niewielka grupka entuzjastów przemierzała bałkańskie bezdroża przez dziesięć dni. Sir Stafford zaczął nawet żałować, że artykuł w gazecie jest tak

daleki od prawdy. Miał już serdecznie dosyć górskiej roślinności i niespożytej energii drogiej Lucy, która mimo swych sześćdziesięciu paru lat śmigła po stokach niczym kozica, zostawiając go spoconego daleko z tyłu. Po stokroć wolał już nudne przyjęcia u ambasadora...

Metaliczny głos znad głowy obwieścił, że z powodu gęstej mgły nad Genewą samolot jest zmuszony zawrócić do Frankfurtu. Stamtąd, jeżeli pogoda pozwoli, wyruszy bezpośrednio do Londynu. Pasażerowie do Genewy będą mogli wyruszyć, jak tylko się przejaśni. Nie robiło mu to specjalnej różnicy. Miał jedynie nadzieję, że niebo nad

Londynem jest czyste, bo inaczej będą musieli lądować w Prestwick. Dwa razy lądował już w Prestwick — o dwa razy za dużo. Życie, pomyślał, i podróże samolotem są nad wyraz nudne. Żeby tak chociaż... już sam nie wiedział, żeby co chociaż...

W poczekalni lotniska we Frankfurcie było bardzo ciepło, więc sir Stafford rozpiął swój podróżny burnus, pozwalając miękkiej tkaninie spływać uroczo z ramion. Sączył leniwie piwo z wysokiej szklanki i przysłuchiwał się komunikatom.

— Lot 4387 do Moskwy. Lot numer

2381 do Kalkuty przez Kair.

Podróże do dalekich krajów. Ileż w tym romantyzmu, ktoś by mógł pomyśleć. Ale atmosfera poczekalni na lotnisku skutecznie zabijała wszelki romantyzm. Było tu zbyt wielu ludzi, zbyt wiele sklepów, zbyt wiele takich samych krzeseł, plastiku, płaczących dzieci. Próbował sobie przypomnieć, kto to powiedział:

*Jakże się człowiek musi
natrudzić,*

Zanim *zrozumie*
zwyczajnych ludzi

Może Chesterton? Tak czy inaczej miał świętą rację.

W dodatku wszyscy wyglądają tak samo. Za grosz oryginalności. Żeby choć jedna ciekawa twarz... Sir Stafford zmierzył lekceważącym wzrokiem dwie młode damy przechodzące obok. Obie wymalowane, obie w tych swoich mini spódniczkach... O, proszę, następna. Jeszcze bardziej wymalowana, zresztą nawet niezła...

Nie interesował się zbytnio młodymi dziewczętami, które wyglądały tak samo jak tysiące innych. Kobieta warta jego spojrzenia powinna być inna.

Ktoś usiadł obok niego na fotelu wyścielanym plastikową imitacją skóry. Jej twarz z miejsca przyciągnęła jego uwagę. Nie dlatego że była inna. Miał wrażenie, że ta twarz jest mu znana. Był prawie pewien, że widział tę kobietę już wcześniej. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy, ale z pewnością się nie mylił. Dwadzieścia pięć lub sześć lat, delikatny, lekko orli nosek, czarna gęstwina włosów sięgających ramion. Trzymała przed sobą otwarty magazyn, ale nie sprawiała wrażenia pogrążonej w lekturze. Mówiąc ściśle, z rozbijającą szczerością patrzyła wprost na niego. Nieoczekiwanie odezwała się, a jej głos był niski, prawie jak u mężczyzny. W jej wymowie można było

wyczuć lekko uchwytny obcy akcent.
Powiedziała:

— Czy mogę zamienić z panem słówko? Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę w milczeniu.

Nie, to nie wyglądało na prowokowanie flirtu. Tu chodziło o coś zupełnie innego.

— Nie widzę powodu — odparł — dla którego miałbym odmówić. Czasu wolnego mam, zdaje się, aż nadto.

— To ta mgła — rzekła. — Mgła w Genewie, w Londynie pewnie też... Wszędzie mgła. Sama nie wiem, co robić.

— Och, niepotrzebnie się pani denerwuje. Prędzej czy później dowiozą panią, gdzie trzeba. W końcu to dwudziesty wiek. Gdzie pani leci?

— Do Genewy.

— No to prędzej czy później na pewno pani tam doleci.

— Muszę tam być teraz. Jeżeli dotrę do Genewy, wszystko będzie w porządku. Ktoś się mną tam zaopiekuje. Będę bezpieczna.

— Bezpieczna? — uśmiechnął się.

— Pan to uważa za zabawne, ale dla mnie to bardzo ważne. Widzi pan, jeżeli

nie zdołam dotrzeć do Genewy na czas, jeżeli będę musiała tu zostać albo lecieć do Londynu, moje życie będzie w niebezpieczeństwie. Pewnie mi pan nie wierzy...

— Obawiam się, że nie.

— Niemniej jednak to fakt. Mogę zostać zabita.

— Kto chciałby panią zabić?

— Czy to istotne?

— Z mojego punktu widzenia rzeczywiście nie ma to znaczenia.

— Jeżeli chce mi pan wierzyć, to

uwierzy mi pan i tak. Mówię prawdę. Potrzebuję pomocy. Pomocy, żeby dotrzeć bezpiecznie do Londynu.

— Dlaczego zwraca się pani akurat do mnie?

— Bo myślę, że wie pan, co to znaczy śmierć. Wydaje mi się, że wie pan, jak wygląda śmierć z bliska.

Spojrzał na nią bacznie.

— Tylko dlatego? — spytał.

— Nie tylko. Chodzi o to — jej wąska dłoń o oliwkowej skórze dotknęła fałdu jego obszernej, podróżnej peleryny.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Stafford był naprawdę zaintrygowany.

— Jak mam to rozumieć? — zapytał.

— To bardzo niecodzienny fragment garderoby. Jest charakterystyczny. Nie każdy coś takiego nosi.

— Owszem. Przyznaję, to moja słabość.

— Pańska słabość może dla mnie oznaczać ratunek.

— Nie rozumiem.

— Chciałabym pana prosić o przysługę. Zapewne pan odmówi, ale

mam nadzieję, że tak się nie stanie. Wygląda pan na mężczyznę, który lubi smak ryzyka. Tak jak ja jestem kobietą, która kocha ryzyko.

— Proszę zatem zdradzić mi swą prośbę — odparł z uśmiechem.

— Chcę pożyczyć od pana ten płaszcz. A także paszport. Oraz pański bilet. Za jakieś dwadzieścia minut odleci opóźniony samolot do Londynu. Wsiądę do niego w pańskim płaszczu i z pańskimi dokumentami i w ten sposób dotrę bezpiecznie do Londynu.

— Chce pani podawać się za mnie? Ależ to niemożliwe!

Wyjęła z torebki niewielkie lusterko i podała mu.

— Proszę spojrzeć. Na mnie, a potem na swoją twarz.

I wtedy Stafford zdał sobie sprawę, skąd zna twarz tej kobiety. Przed oczyma stanęła mu jego siostra, Pamela, którą zmarła prawie dwadzieścia lat temu. Zawsze byli do siebie bardzo podobni. Ten sam orli nos, te same, lekko wygięte brwi, ten sam półuśmiech w kącikach ust. Pamela była wysoka, ledwie dwa cale niższa od niego. Spojrzał na kobietę, która podała mu lusterko.

— Fizyczne podobieństwo. A więc o to pani chodziło. Ale przecież to nie

wystarczy, by oszukać kogoś, kto zna panią lub mnie wystarczająco dobrze.

— Oczywiście, że nie. Wcale nie o to chodzi, nie rozumie pan? Moi prześladowcy będą szukali kobiety w dzinsach. A kogo zobaczą? Mężczyznę w ekscentrycznej pelerynie z kapturem. Pójdę do toalety, obetnę włosy, zawinę w kawałek gazety i wrzucę do jednego z tych koszy. Będę w pańskiej pelerynie, z pańskim biletem i paszportem. Jedyne niebezpieczeństwo w tym, że na pokładzie spotkam kogoś z pańskich znajomych, ale to przecież niemożliwe, bo ewentualny znajomy już dawno by się do pana dosiadł. Mogę bez przeszkód podawać się za pana. Wsiądę z

samolotu i spokojnie zniknę w tłumie, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować, że przyleciałam.

— A co ze mną? — sir Stafford nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Jeżeli jest pan gotów się zgodzić, to mam pewną propozycję.

— Jaką? Uwielbiam propozycje.

— Za chwilę wstanie pan z fotela i pójdzie do kiosku kupić gazetę albo drobny upominek dla rodziny. Zostawi pan pelerynę zwiniętą na oparciu. Kiedy pan wróci, usiądzie pan gdzie indziej, powiedzmy tam, naprzeciwko. Zobaczy pan szklanę ze swoim piwem. W

środku będzie niewielka dawka środka nasennego. Wypije pan i zaśnie smacznie w fotelu.

— Co potem?

— Wezmą pana za ofiarę kradzieży. Sprawa jest prosta. Ktoś wrzucił panu do piwa środek nasenny, a potem ukradł pański portfel. Coś w tym guście. Zgłosi się pan na policji i powie, że skradziono pański paszport i inne dokumenty. Na pewno bez trudu zdoła pan ich przekonać, że jest tym, za kogo się podaje.

— A więc pani wie, kim jestem?

— Nie wiem. Jeszcze nie widziałam

pańskiego paszportu. Pojęcia nie mam, kim pan jest.

— A jednak mówi pani, że bez trudu udowodnię na policji, kim jestem.

— Mam oko do ludzi. Potrafię poznać, kto jest ważny. Pan jest ważną osobą.

— Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego miałbym robić to wszystko?

— Żeby uratować życie bliźniemu.

— Czy to nie wygląda jak historia wyssana z palca?

— Owszem. Trudno w to uwierzyć. A

czy pan w to wierzy?

Spojrzał na nią z namysłem.

— Mówi pani jak piękna kobieta szpieg z powieści sensacyjnej.

— Możliwe. Tylko że nie jestem piękna.

— A jest pani szpiegiem?

— W pewnym sensie tak. Jestem w posiadaniu pewnych informacji. Informacji, które muszą dotrzeć do Londynu. Musi mi pan uwierzyć na słowo, ale zaręczam, że są one cenne dla pańskiego kraju.

— Nie sądzi pani, że brzmi to nieco absurdalnie?

— Owszem. Gdybym czytała o tym w powieści sensacyjnej, nie uwierzyłabym ani słowu. Ale przecież tyle jest absurdów, które naprawdę się zdarzają.

Spojrzał na nią ponownie. Była rzeczywiście niezwykle podobna do Pameli. Nawet głos, choć z obca brzmiący, był podobny. Jej propozycja w istocie była absurdalna, niepoważna, nieprawdopodobna. Możliwe nawet, że niebezpieczna. Niebezpieczna dla niego. Na nieszczęście właśnie to Stafforda pociągało. Co za odwaga proponować mu coś takiego! Jak się to wszystko skończy? Hmm, trzeba sprawdzić.

— Pozostaje mi zapytać, co na tym zyskam — powiedział.

— Odmianę — odparła. — Przygodę wykraczającą poza banał codzienności. Antidotum na nudę. Czasu jest niewiele. Decyzja należy do pana.

— A co się stanie z pani paszportem? Czy mam sobie kupić perukę, jeżeli w ogóle sprzedają tu podobne rzeczy? Czy mam podszywać się pod panią?

— Nie. Zamiana nie wchodzi w rachubę. Został pan obrabowany, uśpiony, ale w dalszym ciągu pozostaje pan sobą. Proszę się zdecydować. Mam mało czasu. Muszę jeszcze zrobić coś z

fryzurą.

— Wygrała pani. Nigdy bym sobie nie darował, gdybym teraz odmówił.

— Wiedziałam, że pan się zgodzi.

Sir Stafford wyjął paszport i wsunął go do kieszeni płaszcza. Wstał z fotela, przeciągnął się leniwie, potoczył wzrokiem wokół, spojrzął na zegarek i krokiem znudzonego pasażera ruszył w kierunku kiosku. Nawet nie obejrzał się za siebie. Kupił tanią powieść i zaczął przebierać wśród pluszowych zabawek. W końcu wybrał prezent odpowiedni dla swej siostrzenicy — niewielkiego pluszowego misia pandę. Rozejrzał się ponownie po poczekalni i wrócił

wolnym krokiem na miejsce. Kobiety już nie było, podobnie zresztą jak płaszcz. Na stoliku stała na wpół dopita szklanka piwa. Tu właśnie najbardziej ryzykuję, pomyślał. Wziął szklankę, usiadł w kącie sali i wypił jej zawartość. Nie spieszył się, pił małymi łyчками. Smakowało tak samo jak przedtem.

— No, ciekawe... — mruknął do siebie.

Tuż obok niego usiadła dość hałaśliwa rodzina. Dzieci biegały tam i z powrotem, śmiały się i krzyczały jedno przez drugie. Stafford ziewnął i odchylił głowę na oparcie. Z głośników zapowiedziano odlot samolotu do Teheranu. Część pasażerów wstała i

ustawiła się w kolejce przed bramką. Poczekalnia w dalszym ciągu była pełna ludzi. Otworzył książkę. Ziewnął. Był śpiący, o tak, bardzo śpiący... Trzeba będzie wstać i poszukać bardziej zacisznego miejsca. Gdzieś, gdzie można spokojnie...

Przez głośniki rozległa się zapowiedź Trans-European Airways. Lot 309 do Londynu.

Duża grupa pasażerów podniosła się ze swoich foteli. Jednocześnie przez drzwi od strony portu wlewała się fala nowych podróżnych, czekających na inne samoloty. Głos z megafonów przeproszał za opóźnienia

spowodowane trudnymi warunkami atmosferycznymi. Młody mężczyzna, szczupły, średniego wzrostu, ubrany w ciemnobłękitny płaszcz, podszedł do bramki numer 9 i ustawił się w kolejce. Uważny obserwator mógłby dostrzec jego krótko obcięte ciemne włosy skryte pod kapturem. Fryzura była niestaranna, ale i tak mogłaby uchodzić za szykowną, gdyby porównać ją do włosów niektórych przedstawicieli młodego pokolenia. Mężczyzna pokazał swój bilet i przeszedł przez bramkę do czekającego autobusu.

Z głośników płynęły inne obwieszczenia. Swissair do Zurychu. BEA do Aten i na Cypr... Po chwili

znudzeni podróżni mieli szansę usłyszeć odmianę w monotonii zapowiedzi.

— Panna Daphne Theodofanus, pasażerka do Genewy, proszona jest o zgłoszenie się do odprawy. Opóźniony samolot do Genewy odlatuje za pięć minut.

Jednostajny głos obwieszczał loty do Japonii, Egiptu, do RPA. Pan Sidney Cook proszony był do telefonu. Po chwili ponowiono wezwanie do panny Daphne Theodofanus.

— To ostatni komunikat przed odlotem — ostrzegały głośniki.

W rogu sali odpraw mała

dziewczynka przyglądała się mężczyźnie w ciemnym garniturze, który spał z głową odchyłoną do tyłu. Na jego kolanach leżał mały pluszowy miś panda.

Dziewczynka wyciągnęła swą rączkę w kierunku misia. Jej matka wkroczyła w samą porę.

— Joan, nie wolno. Biedny pan jest zmęczony i śpi.

— Mamo, a gdzie ten pan chce jechać?

— Nie wiem. Może też do Australii, tak jak my.

— Czy on też ma małą córeczkę?

— Chyba tak.

Dziewczynka westchnęła ciężko i z żalem spojrzała na pluszową zabawkę. Sir Stafford Nye śnił właśnie, że jest na polowaniu i strzela do leoparda. „To bardzo niebezpieczne zwierzę, mówił przewodnik stojący obok. Nie należy mu ufać.”

W tym momencie sen zmienił się, jak to często ze snami bywa. Sir Stafford siedział w salonie i pił herbatę z ciotką Matyldą. Próbował jej coś wyjaśnić, ale starsza pani miała kłopoty ze słuchem. Stafford spał jak zabity. Ostatnim komunikatem, który zanotował w

świadomości, było wezwanie skierowane do panny Daphne Theodofanus.

Matka tłumaczyła swojej córeczce: — Słyszysz? Szukają jakiejś pani, która spóźniła się na samolot. To się nieraz zdarza. Może nie usłyszała zapowiedzi? Ciekawe, co się z nią stało?

Pytanie pozostało bez echa.

Rozdział drugi

Londyn

Mieszkanie sir Stafforda było bardzo przytulne. Z okien jego domu widać było Green Park. Sir Stafford nastawił ekspres do kawy i sięgnął po ranną pocztę. Nic ważnego. Jeden czy dwa rachunki, parę listów z raczej nieciekawymi znaczkami na kopertach. Zebrał je razem i odłożył na biurko obok sterty innych listów, które nadeszły podczas jego dwudniowej nieobecności. Trzeba to będzie wreszcie przejrzeć, pomyślał. Jego sekretarka miała przyjść

dopiero po południu.

Wrócił do kuchni, nalał sobie filiżankę kawy i usiadł przy stole. Wziął jeden z listów, które otworzył wczorajszej nocy, tuż po przyjeździe. Przebiegł go wzrokiem i uśmiechnął się pod nosem.

— Jedenasta trzydzieści — mruknął.
— Nie tak źle. Lepiej szybko wymyślić jakąś bajeczkę dla Chetwynda.

Otworzył poranną gazetę. Żadnych ciekawych rzeczy. Kryzys polityczny, dramatyczny artykuł o sytuacji w jednym z ościennych krajów. Bliższy rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że dziennikarz z braku lepszych zajęć starał

się wyssać z palca w miarę przekonującą teoryjkę. Ludzie chcą igrzysk. Jakaś dziewczyna uduszona w parku. Dziewczyny zawsze duszone są w parkach. Co najmniej raz dziennie, pomyślał z przekąsem. Nikogo nie porwali, nikogo nie zgwałcili. To miłe. Łyknął kawy i zabrał się do smarowania tosta.

Po śniadaniu wyszedł z domu i ruszył parkiem w stronę Whitehall z uśmiechem na ustach. Cóż za miły poranek! Życie jest piękne. Wrócił myślami do Chetwynda. Stary dureń. Stateczny wygląd, komiczny wyraz powagi i zaaferowania na twarzy i ta jego zabawna podejrzliwość. Sir

Stafford wprost uwielbiał pogawędki z Chetwyndem.

Dotarł do Whitehall stosownie do swych obyczajów spóźniony o siedem minut. W końcu też miał swój honor. Wkroczył pewnym krokiem do gabinetu. Chetwynd siedział za biurkiem ukryty za stertą papierzysk, obok stała jego sekretarka. Zawsze korzystał z okazji, by pokazać, że jest ważną personą.

— Ach, Nye! — na jego przystojnej twarzy zagościł odpowiedni do sytuacji uśmiech. — No, co tam? Jak było w tropikach?

— Gorąco — odparł sir Stafford.

— No tak. Jak zwykle, hę, hę. Masz na myśli klimat, jak sądzę, nie politykę?

— W rzeczy samej.

Usiadł i poczęstował się papierosem.

— Jakieś wyniki?

— Tak bym tego nie nazwał. Mnóstwo gadaniny, jak zawsze. Złożyłem raport, możesz przejrzeć. Jak tam Lazenby?

— Jak zwykle. Nie wiem, czy ten chłopak jeszcze kiedyś się zmieni — odparł Chetwynd.

— Ja bym na to nie liczył. A Bascombe? Jak się przyjął w nowym

miejscu? Słyszałem, że niezły kawalarz.

— Tak? No proszę. Możliwe, jeszcze z nim nie gadałem.

— A poza tym? Co słyhać?

— Nic szczególnego. W każdym razie nic, co mogłoby cię zainteresować.

— Dostałem twój liścik, ale nie piszesz, po co chciałeś się ze mną spotkać.

— A, takie tam. Myślałem, że może przywiozłeś coś ciekawego. Trzeba być na bieżąco w razie interpelacji, prawda?

— Rozumiem.

— Jak podróż? Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty. Stafford Nye przybrał wystudiowany uprzednio wyraz twarzy, który zgodnie z planem miał oddawać złość i zniecierpliwienie.

— A więc słyszałeś? Co za głupia historia!

— Spodziewam się.

— Te pismaki wiecznie coś wywęszą! W dzisiejszej gazecie widziałem wzmiankę.

— Wolałbyś, żeby nic nie wywęszyli, co?

— No jasne. Przecież wyszedłem na

durnia, no nie? — odparł sir Stafford z oburzeniem. — Kto by pomyślał? W moim wieku!

— Co tam się dokładnie stało? Czytałem gazety, ale wiadomo, że oni lubią przesadzać.

— Ba! Wiesz, jak to jest w podróży. Piekielne nudy. Nad Genewą była mgła, więc skierowali nas do Frankfurtu. Tam mieliśmy czekać dwie godziny.

— Mów, mów.

— No więc siedziałem w poczekalni i nudziłem się jak mops. Z głośników nic tylko lot taki, lot siaki. Ludzie biegają w tę i z powrotem. A ty, człowieku, siedź i

ziewaj.

— I co?

— Kupiłem sobie kufel pilznera, a potem pomyślałem, że trzeba kupić coś do czytania. No więc wstałem i poszedłem do kiosku po jakiś głupi kryminał, potem jeszcze kupiłem drobny upominek dla siostrzenicy. Wróciłem na miejsce, dopiłem piwo, chciałem poczytać i wtedy mnie zmoгло.

— A więc zasnąłeś?

— A co w tym dziwnego? Często to robię, a ty? Musiałem mocno spać, bo nie słyszałem nawet, jak wywoływali mój lot. Zwykle mam dosyć czujny sen,

ale tam na lotnisku spałem jak zabity. Kiedy się obudziłem lub doszedłem do siebie, jak wolisz, leżałem w jakimś pokoju, a nade mną stał lekarz. Najwyraźniej ktoś musiał mi wrzucić coś do szklanki, jak poszedłem do kiosku.

— Sam przyznasz — zauważył Chetwynd — że to raczej niecodzienna historia.

— Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się coś tak idiotycznego — odparł Stafford. — I mam nadzieję, że ostatni. Nie mogę sobie darować, że wyszedłem na takiego durnia. Na szczęście nie stało się nic poważnego. Zwinęli mi portfel i paszport. Dobrze chociaż, że nie miałem

przy sobie większej gotówki. Czeki podróżne trzymam w wewnętrznej kieszeni marynarki, tam najwyraźniej nie zaglądali. Oczywiście było trochę zamieszania, to normalne, jak komuś zginą dokumenty. Tak czy inaczej, w bagażu miałem listy i różne takie, więc w końcu uwierzyli, że jestem tym, za kogo się podaję. Załatwili wszystko jak trzeba i następnym lotem mogłem wrócić do Londynu.

— Co za niezręczna sytuacja, doprawdy — rzekł Chetwynd. — Człowiek o twojej pozycji... — w jego głosie brzmiała nutka przygany.

— Przyznam, że nie było to

przyjemne. Stawia mnie to w cokolwiek głupiej sytuacji. Na moim stanowisku powinno się dbać o dobre imię — Nye był serdecznie ubawiony, choć starał się nie pokazywać tego po sobie.

— Pytałeś, czy często zdarzają się takie historie?

— Nie pytałem. Ale przypuszczam, że pasażer z kieszonkowym zacięciem na widok śpiącego gościa pieje z zachwyty. Jeżeli jest wystarczająco zręczny, załatwi to, nim się obejrzyysz.

— Żeby stracić paszport! Co za okropna przygoda.

— Muszę wystarać się o nowy.

Będzie z tym trochę biegania, wyjaśniania. Jak mówię, cała ta sprawa stawia mnie w idiotycznej sytuacji. I mówmy szczerze, Chetwynd, nie przysparza mi to plusów u tych z góry.

— Och, nie przesadzaj, mój drogi, każdemu mogło się przydarzyć, dokładnie każdemu.

— Miło, że tak mówisz — uśmiechnął się sir Stafford. — Nauczka na przyszłość, nie?

— Zastanawiałeś się, czy może ktoś nie polował specjalnie na twój paszport?

— Wątpię — odparł sir Stafford. —

Niby czemu komuś miałoby zależeć akurat na moim paszporcie? Chyba, że ktoś chciał mi sprawić głupiego psikusa, a to raczej mało prawdopodobne. Albo ktoś chciał za wszelką cenę zdobyć moje zdjęcie, a to jeszcze bardziej nierealne. Wystarczy na mnie spojrzeć.

— Czy tam w tym... we Frankfurcie nie spotkałeś nikogo znajomego?

— Nie, nikogo.

— A może z kimś rozmawiałeś?

— Raczej nie. Zamieniłem parę słów z jakąś miłą, tłuściutką panią, która była z małym dzieckiem. Pochodziła chyba z Wigan, a jechała do Australii. Prócz niej

nie przypominam sobie nikogo.

— Jesteś pewien?

— Była jeszcze jakaś młoda dama, która chciała wiedzieć, jak dostać się na studia archeologiczne w Egipcie. Powiedziałem, że nie mam o tym pojęcia i radziłem, by zapytała się w British Museum. Aha, i przyczepił się do mnie jakiś facet, który był zagorzałym przeciwnikiem wiwisekcji.

— Sam rozumiesz, że za takimi rzeczami może się kryć coś poważnego.

— Za jakimi rzeczami?

— Mówię o tej twojej przygodzie.

— Nie widzę, co mogłoby się za tym kryć. Nie mam dziennikarskiej wyobraźni. Pismaki na pewno wymyślają jakąś historię. Słuchaj, to idiotyczna sprawa. Przestańmy już ją wałkować, dobrze? I tak prasa wystarczająco to rozdmucha. Będą mnie potem zaczepiać na korytarzu i pytać, jak r to było naprawdę. Pojęcia nie masz, jak te plotki się rozchodzą. A, właśnie, skoro już mowa o plotkarzach... Co; tam słychać u starego Leylanda? Nad czym teraz siedzi? Dawno go nie widziałem...

Obaj mężczyźni prowadzili miłą pogawędkę jeszcze przez parę minut, po czym sir Stafford wstał, pożegnał szefa i wyszedł.

— Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia — rzucił na odchodnym. — Muszę kupić parę prezentów dla rodziny. Zawsze to samo. Ile razy wyjeżdżam za granicę, wszyscy spodziewają się, że nazwożę kupę pamiątek. Pójdę do Liberty. Słyszałem, że mają tam niezły dział orientaliów.

Ruszył korytarzem Foreign Office kłaniając się z uśmiechem napotkanym znajomym. Kiedy wyszedł, Chetwynd podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z sekretarką.

— Proszę wezwać pułkownika Munro.

Pułkownik Munro przyprowadził z

sobą wysokiego mężczyznę w średnim wieku.

— Znasz Horshama? — spytał. — Z Security.

— Chyba się już spotkaliśmy — odparł Chetwynd.

— Słyszałem, że był tu Nye — powiedział pułkownik Munro. — Co sądzisz o tej sprawie we Frankfurcie? Coś się za tym kryje?

— Chyba nie — Chetwynd wzruszył ramionami. — Trochę go to wytrąciło z równowagi. Sądzi, że wyszedł na durnia. Nawiasem mówiąc, ma racje[^]

Horsham pokiwał głową. — A więc tak to przyjął?

— Próbuje robić dobrą minę do złej gry — powiedział Chetwynd.

— Tak czy owak — ciągnął Horsham — Nye nie jest chyba aż takim durniem, na jakiego wyszedł, co?

Chetwynd ponownie wzruszył ramionami. — Takie rzeczy zdarzają się każdemu.

— Powiedzmy — odparł Munro. — Chociaż muszę przyznać, że nigdy nie miałem o nim dobrego zdania. Zawsze czułem, że Nye jest, jak by to ująć, nieco nieodpowiedzialny. Wiecie, o czym

mówię? Nie wiadomo tak naprawdę, co mu może strzelić do głowy.

— Według mnie jest w porządku — rzekł Horsham. — W każdym razie według naszych rozeznań jest czysty.

— Wcale nie to chciałem sugerować — powiedział Chetwynd — Boże broń. Chodzi mi o to, że jest... powiedzmy... nie zawsze poważny.

Mr Horsham nosił bujny wąs. Zawsze uważał, że wąs przydaje się w polityce. Pomaga ukryć uśmiech.

— Nye nie jest głupi — zauważył Munro. — To bystry chłopak. Nie wydaje ci się, że mógł coś ukrywać?

— On? Nie sędzę.

— Horsham, pan badał sprawę?

— Mieliśmy niewiele czasu. Na razie wszystko wydaje się w porządku. Ale jest jedna rzecz. Jego paszport był używany.

— Nie rozumiem.

— Przeszedł przez Heathrow.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś podawał się za sir Stafforda Nye?

— Niezupełnie tak. Po prostu jego paszport przeszedł przez punkt kontroli na lotnisku razem z paszportami innych

pasażerów. Żadnego alarmu. Nikt nie zauważył niczego podejrzanego. A Nye w tym czasie smacznie chrapał w poczekalni we Frankfurcie.

— A więc możliwe, że ktoś ukradł paszport, by nielegalnie dostać się do Anglii?

— To bardzo prawdopodobne — mruknął Munro. — Prawdopodobne są dwie teorie. Albo ktoś ukradł portfel z pieniędzmi i paszportem, albo też ktoś bardzo potrzebował paszportu i celowo wybrał Nye'a jako dogodną osobę. Żaden problem. Nye zostawił szklanekę, więc wystarczyło wrzucić coś do piwa i odczekać, aż nasz bohater zaśnie. Czysta robota.

— Ale przecież celnicy na lotnisku musieli spojrzeć na zdjęcie w paszporcie — rzekł Chetwynd. Niemożliwe, żeby niczego nie zauważyli.

— Jak mówię, nasz ptaszek wybrał Nye'a nie bez powodu. Trzeba założyć, że wyłowił go z tłumu z uwagi na pewne podobieństwo postury i twarzy. Zeszta niewiele ryzykował. Wiedział, że Nye na pewno nie podniesie alarmu do tego czasu. Samolot był opóźniony, pasażerowie zniecierpliwieni. W takich wypadkach celnicy z reguły nie są zbyt gorliwi. Krótki rzut okiem na zdjęcie i następny proszę. Zresztą zwracają

uwagę głównie na obcokrajowców. Ciemne włosy, jasne, niebieskie oczy, wysoki, gładko ogolony, typowy Brytyjczyk. To im wystarczy.

— Niby tak. Ale gdyby nasz złodziejaszek chciał po prostu zwinąć portfel, to przecież nie używałby skradzionego paszportu. Zbyt wielkie ryzyko.

— Dokładnie — odparł Horsham. — Z tego też powodu może kryć się za tym coś interesującego. Oczywiście prowadzimy śledztwo w tej sprawie i jeszcze wiele może się wyjaśnić.

— A co pan o tym sądzi?

— Wolałbym się nie wypowiadać — odparł Horsham. — Śledztwo jest w toku. Sami panowie wiedzą, że to zajmuje trochę czasu.

— Zawsze to samo — rzucił pułkownik Munro, kiedy za Horshamem zamknęły się drzwi. — Nigdy się od nich nic nie dowiesz. Nawet jak są na tropie, to pary z gęby nie puszcza. Cholerni tajniacy.

— To normalne — zauważył Chetwynd. — Przecież mogą się mylić.

Zabrzmiało to niczym polityczne credo.

— Horsham jest niezły w tym, co robi

— rzucił Munro. — Jest dobrze
widziany na górze. On się podobno
nigdy nie myli.

Rozdział trzeci

Posłaniec z pralni

Kiedy sir Stafford wrócił do domu, w drzwiach powitała go gosposia, niewiasta potężna i korpulentna.

— Widzę, że wraca pan cały i zdrowy. Ach, te okropne samoloty. Nigdy nic nie wiadomo.

— Święte słowa, pani Worrit. Dwie godziny spóźnienia!

— Gorsze niż samochody! Bo to

wiadomo, kiedy taki się zepsuje? Ale tam, w powietrzu, to jeszcze bardziej denerwujące, prawda? Samochodem można zjechać na bok, a tam? Ja bym tam za nic nie wsiadła do takiego, nawet jakby mi mieli dopłacić! Zamówiłam wszystko, co trzeba. Myślę, że nic nie zapomniałam. Jaja, masło, kawa, herbata... — wyrzucała z siebie potoki słów, niczym przewodnik oprowadzający turystów po pałacu faraona. — No, to chyba wszystko — podsumowała po chwili i zaczerpnęła powietrza. — A! I jeszcze francuską musztardę.

— Mam nadzieję, że nie dijon. Wiecznie próbują wciskać dijon.

— Esther dragon, cokolwiek miałoby to znaczyć. Taka jak pan lubi.

— Wspaniale — odparł Nye. — Prawdziwy z pani skarb, pani Worrit.

Pani Worrit pokraśniała i wróciła do kuchni. Sir Stafford ruszył na górę do sypialni. Na schodach dobiegł go głos gosposi.

— Zapomniałam powiedzieć, że był posłaniec z pralni. Wprawdzie nic pan nie pisał, ale pomyślałam, że się pan spieszył. Wpuściłam go na górę. Chyba dobrze zrobiłam?

— Z pralni? — zdziwił się Nye.

— Zabrał dwa garnitury. Mówił, że jest z Twiss & Bonywork, z tej, co ostatnio, bo mówił pan, coby nie oddawać do White Swan.

— Jakie garnitury?

— No... Jeden to był ten, co pan w nim przyjechał. Co do drugiego nie byłam pewna, ale pomyślałam, że ten niebieski w jodełkę już dawno nie był czyszczony. Wprawdzie nie zostawił pan żadnych poleceń, ale sądziłam, że dobrze robię. Zresztą prawy rękaw miał przetartą podszewkę, więc przy okazji naprawią — wyrzuciła z siebie pani Worrit z pośpiechem.

— Więc zabrał te dwa garnitury?

— Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego... — pani Worrit zrobiła się czerwona na twarzy.

— Pal licha ten niebieski. Ale tamten drugi...

— Za lekki na tę porę roku. proszę pana. Na tropiki w sam raz, ale nie tu. Poza tym był trochę przykurzony. Ten człowiek mówił, że pan dzwonił rano i kazał przyjść. Tak właśnie mówił.

— Wpuściła go pani na górę samego?

— Tak, proszę pana. Myślałam, że dobrze robię...

— Ciekawe — mruknął sir Stafford.

— Bardzo ciekawe.

Wszedł do sypialni i rozejrzał się uważnie dookoła. W pokoju był porządek, łóżko równiutko zasłane. Znać rękę pani Worrit. Drobiazgi na toaletce ustawione jak należy...

Zajrzał do szafy. Otwierał szuflady w komodzie. Wszystko było w należyтым porządku, równo poukładane. Równiej, niż należałoby się spodziewać. Wczorajszej nocy rozpakował większość rzeczy i poupychał byle jak po kątach. Włożył bieliznę do szuflady, ale na pewno nie układał jej w równą kostkę. Miał zamiar zrobić to później. Pani Worrit nigdy nie zaglądała do szaf i szuflad. Nie leżało to w zakresie jej

obowiązków. A więc ktoś musiał tu buszować. Powyjmował szuflady, szperał po szafach. Starał się nie pozostawiać śladów po rewizji, ale w pośpiechu poukładał wszystko staranniej, niż należało. Pod wiarygodnym pozorem dostał się do sypialni i wyszedł zabierając dwa letnie garnitury, które, jak przypuszczał, sir Stafford miał z sobą w podróży. Pytanie, dlaczego?

— Ponieważ — rzekł sir Stafford do siebie — nasz tajemniczy ktoś najwyraźniej czegoś szukał. Kto to był? Czego szukał? Dlaczego? Bardzo ciekawe.

przemysłowiec, bukmacher czy inny oszust, ale ty? Chyba nie uczestniczysz znowu w tych swoich negocjacjach, cokolwiek miałoby to znaczyć. Za moich czasów takich słów używano na określenie uczciwej pracy, a dzisiaj? Dzisiaj nic, tylko bomby atomowe i betonowe fabryki — cioteczka Matylda była, jak się zdaje, zdrowa i miała się dobrze. — Te wszystkie komputery, co nie potrafią liczyć jak należy! Tylko utrudniają życie. Pojęcia nie masz, co też nawyrabiali z moim kontem w banku! Powymyślali jakieś kody pocztowe, Bóg wie, po co. Chyba za długo już żyję na tym świecie.

— Błuzni ciocia. Mogę wpaść w

przyszłym tygodniu?

— Możesz nawet jutro, jeśli chcesz. Wprawdzie proboszcz przychodzi na obiad, ale każę mu powiedzieć, że mam atak podagry.

— Nie trzeba, cioteczko.

— Trzeba. Nad wyraz irytujący człowiek. Zbiera na nowe organy. Sama nie wiem, po co. Stare są jeszcze całkiem dobre, a wymienić trzeba raczej organistę. Powiadam ci, ten człowiek nie ma za grosz słuchu. Proboszcz go trzyma z czystej litości, bo organiście umarła matka, którą ponoć bardzo kochał. Pewnie myśli, że żal po matce wpłynie korzystnie na interpretację

psalmów. Trzeba patrzeć na rzeczy, tak jak są one w rzeczywistości, r

— Ciociu, muszę jeszcze załatwić parę spraw. Będę w przyszłym tygodniu. Jak tam Sybil?

— Kochane maleństwo! Trochę nieznośna, ale za to jaka słodka!

— Kupiłem jej pluszowego misia — rzekł sir Stafford.

— To miło z twojej strony, mój drogi.

— Mam nadzieję, że jej się spodoba — powiedział sir Stafford spoglądając na pandę i czując lekkie sensacje w żołądku.

— Sybil jest dobrze wychowana — odparła ciotka Matylda. Była to dość dziwna odpowiedź i sir Stafford nie był pewien, czy zrozumiał ją właściwie.

Cioteczka Matylda poinformowała go o porach odjazdu stosownych pociągów dodając przy tym, że ostatnio kolej ma zwyczaj odwoływać kursy i zmieniać rozkłady jazdy. Następnie poleciła mu, by kupił Camembert i połówkę Stiltona.

— U nas nie można tego dostać — wyjaśniła — od kiedy nasz sklepikarz, miły skądinąd człowiek, postanowił otworzyć supermarket. Mamy tu teraz sklep sześć razy większy, pełen nikomu niepotrzebnych rzeczy. Wiesz, jak to jest. Druciane koszyki, wózki, matki

gubiące swoje dzieci i dostające hysterii. Koszmar. No, to pa, mój drogi.

Telefon zadzwonił niemal w tej samej chwili, gdy Stafford odłożył słuchawkę.

— Stafford? Cześć. Eryk Pugh. Słyszałem, że wróciłeś. Co byś powiedział na wspólną kolację?

— Chętnie.

— Limpits Club. Ósma piętnaście
Dobrze?

Kiedy sir Stafford skończył rozmawiać, do pokoju wtoczyła się pani Worrit.

— Jakiś dżentelmen czeka w hallu. W każdym razie sprawia wrażenie dżentelmena. Mówi, że na pewno go pan przyjmie.

— Przedstawił się?

— Mówi, że nazywa się Horsham. Zupełnie tak, jak miasto po drodze do Brighton.

— Horsham tutaj? — Sir Stafford był zdumiony. Zszedł na dół, do salonu. Pani Worrit miała rację.

To rzeczywiście był Horsham we własnej, godnej zaufania osobie, rumiany na twarzy, z uśmiechem ukrytym pod gęstym, szpakowatym wąsem.

Roztaczał wokół siebie aurę niewzruszonego spokoju i opanowania.

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko mojej wizycie — rzekł Horsham wstając na widok gospodarza.

— Skądże znowu — odparł Stafford.

— Spotkaliśmy się godzinę temu, przelotnie, na korytarzu przed gabinetem pana Chetwynda.

— Owszem, pamiętam — sir Stafford Nye podsunął gościowi paczkę papierosów. — Proszę, niech pan raczy spocząć.

— Pan Chetwynd to bardzo miły

człowiek, nieprawdaż? Był trochę zaniepokojony w dniu dzisiejszym, podobnie zresztą jak pułkownik Munro. Na szczęście udało mi się ich nieco uspokoić. Niepokoili się o pana.

— Ach, tak? — Sir Stafford usiadł naprzeciw Horshama. Palił papierosa, uśmiechał się i patrzył przenikliwie na niespodziewanego gościa. — I co pan zamierza teraz zrobić? — spytał.

— Proszę się nie gniewać, że ja zapytam pana o to samo.

— Z rozkoszą służę odpowiedzią — uśmiechnął się sir Stafford. — Otóż zamierzam udać się z wizytą do krewnej, lady Matyldy Cleckheaton. Czy podać

adres?

— Nie trzeba — rzekł Horsham. — Znam jej adres. No cóż, to świetny pomysł. Lady Matylda z pewnością się ucieszy widząc pana całym i zdrowym. W końcu niewiele brakowało...

— A więc takie jest zdanie pana Chetwynda i pułkownika Munro?

— Sam pan doskonale wie, jak się sprawy mają. Panowie w departamencie są bardzo podejrzliwi. Nie są pewni, czy można panu ufać.

— Ufać mi? — w głosie sir Stafforda zadźwięczała nutka urażonej godności. — Jak mam to rozumieć, panie

Horsham?

Horsham nie wyglądał na zbitego z tropu. Błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

— Widzi pan — rzekł — ma pan reputację człowieka, który nie bierze spraw wystarczająco serio.

— Już myślałem, że sugeruje pan zdradę albo coś podobnie absurdalnego.

— Och nie, po prostu pańscy przełożeni sądzą, że brak panu powagi.

— Nie da się przejść przez życie biorąc wszystko i wszystkich poważnie — odparł sir Stafford.

— Zgoda. Jednak czasami lubi pan ryzykować, prawda?

— Byłbym nieporównanie szczęśliwszy wiedząc, o czym pan, u licha, mówi.

— Powiem panu. Często zdarza się, że sytuacja wymyka się spod kontroli. I nie zawsze winny jest człowiek. Bywa, że w sprawę wmiesza się Wszechmogący lub ów drugi dżentelmen, mam na myśli tego z ogonem.

Sir Stafford powoli tracił wątek.

— Mówi pan o mgle nad Genewą? — spytał.

— Dokładnie — potwierdził Horsham. — Nad Genewą była mgła. Ten nieprzewidziany wypadek niejednemu pokrzyżował plany. Pewna osoba znalazła się w nie lada tarapatach.

— Proszę mówić dalej. To ciekawe.

— Kiedy wczoraj wieczorem pański samolot wylatywał z Frankfurtu, na pokładzie brakowało jednego pasażera. Pan w tym czasie chrapał smacznie po wypiciu piwa. Jedna z pasażerek nie zgłosiła się do odprawy. Wzywano ją wielokrotnie przez głośniki, ale bez skutku. Wreszcie zdecydowano, że nie można już dłużej odkładać odlotu.

— Hmm... Co się stało z tą

pasażerką?

— Ciekawe pytanie. Tak czy owak, mimo że nie zdołał pan dotrzeć wtedy do Londynu, pański paszport pojawił się na Heathrow i przeszedł wraz z innymi przez kontrolę,

— Zatem co się z nim stało? Sugeruje pan, że ja go mam?

— Nie. Nie przypuszczam. Zbyt mało czasu. Tak nawiasem mówiąc, ten środek nasenny był pierwszorzędny. Szybki, skuteczny, bez efektów ubocznych.

— Jeżeli nie wspomnieć o raczej paskudnym bólu głowy — dodał sir

Stafford.

— Tego się nie da uniknąć — odparł Horsham.

— Co by się stało — spytał sir Stafford — skoro wydaje się pan wiedzieć wszystko, gdybym odrzucił propozycję, którą mógłby, powtarzam, mógłby mi ktoś przedstawić wtedy we Frankfurcie?

— Mogłoby się to skończyć tragicznie dla Mary Ann.

— Mary Ann? Kto to jest Mary Ann?

— Panna Daphne Theodofanus.

— Wydaje mi się, że słyszałem już to nazwisko. Czy to nie ta pasażerka, którą wzywano przez głośniki?

— Tak. Pod takim nazwiskiem podróżowała. My nazywamy ją Mary Ann.

— Kim jest ta pani, jeśli można spytać?

— Wysokiej klasy specjalistką w swoim fachu.

— A jaki to fach? Czy jest po naszej, czy też po ich stronie, jeżeli pan się orientuje, kim są ci oni? Ja z mojej strony muszę przyznać, że już dawno straciłem rozeznanie w tej materii.

— Ostatnio trudno się rozeznać, prawda? Tutaj Ruscy, tam Chińczycy, że nie wspomnę już o tych, co stoją za tą falą rozruchów studenckich, o rozmaitych grupkach w Ameryce Południowej, o nowej mafii i tym podobnych. Wreszcie o międzynarodowej finansjerze, która niejednego asa kryje w rękawie. Rzeczywiście trudno się połapać.

— Mary Ann — zamyślił się sir Stafford. — Dziwne imię dla kogoś, kto tak naprawdę nazywa się Daphne Theodofanus.

— Jej matka jest Greczynką, ojciec Anglikiem, zaś dziadek był poddanym cesarza Austro-Węgier.

— Co by się stało, gdybym nie użyczył jej, hmm... części swojej garderoby?

— Mogłaby przyłacić to życiem.

— Bez przesady. Aż tak?

— Port lotniczy Heathrow nie należy do najbezpieczniejszych. Ostatnio zdarzyło się tam parę tajemniczych wypadków. Gdyby samolot leciał zgodnie z planem, nie byłoby kłopotów. Mary Ann miałyby należytą ochronę. Ale mgła w Genewie pokrzyżowała nam szyki. Nie było czasu na zorganizowanie ekipy. Sam pan wie, że w dzisiejszych czasach nie można mieć do nikogo

zaufania. Agenci prowadzą podwójną grę, ba, nawet potrójną.

— Zaczyna mnie pan niepokoić — rzekł Stafford. — Ale Mary Ann jest cała i zdrowa, prawda?

— Taką mamy nadzieję. Nie mieliśmy żadnych złych wiadomości.

— Jeżeli to może rzucić jakieś światło na sprawę, to powiem panu, że dziś rano był u mnie w domu jakiś człowiek podczas mojej nieobecności. Przedstawił się jako posłaniec z pralni i zabrał dwa garnitury, które miałem z sobą w czasie podróży. Oczywiście może to tylko przypadek, może ten człowiek kolekcjonuje po prostu cudze

garnitury. Albo... no cóż, może pan chciałby dodać jakieś „albo”.

— Może czegoś szukał?

— Takie mam wrażenie. Przetrzęsnał wszystkie szafki, a potem poukładał rzeczy na miejscu. Rzecz w tym, że poukładał je zbyt porządnie. No dobrze, więc czegoś szukał. Pytanie czego...

— Żałuję, ale nie wiem — rzekł Horsham. — Wiele bym dał, żeby to wiedzieć. Widzi pan, coś wisi w powietrzu. Docierają do nas jedynie strzępki informacji. Tu wystaje kawałek, tam kawałek, jak ze źle zapakowanej paczki. Raz człowiek myśli, że wszystko kręci się wokół festiwalu w Bayreuth, w

następnej chwili dochodzą wieści z jakiejś hacjendy w Południowej Ameryce, potem jakiś trop prowadzi do Stanów Zjednoczonych. Na całym świecie dzieje się mnóstwo dziwnych rzeczy, a jedna zazębia się z drugą. O co w tym chodzi? Może o politykę, może o coś zupełnie innego. Najprawdopodobniej stoją za tym pieniądze, duże pieniądze. Zna pan Robinsona, prawda? — spytał nieoczekiwanie.

— A może powinienem powiedzieć, że Robinson zna pana.

— Robinson? — zastanawiał się sir Stafford. — Robinson. To popularne nazwisko — spojrzął na Horshama.

— Zaraz, zaraz... Szeroka, żółta twarz? Ten obrzydliwie bogaty grubas? Owszem, spotkałem go raz czy dwa. Czy on też jest po tej właściwej stronie?

— Nie wiem, którą stronę nazywa pan właściwą. Pan Robinson nieraz przysłużył się naszemu krajowi. Ludzie w rodzaju Chetwynda nie darzą go specjalną sympatią. Pewnie uważają, że jego usługi są zbyt drogie. Chetwynd jest skąpy. Lubi oszczędzać tam, gdzie nie należy.

— Kiedyś mówiło się „biedny, ale uczciwy” — zauważył Stafford. — Rozumiem, że pan ująłby to inaczej. Nazwałby pan Robinsona „drogi, ale

uczciwy”, mam rację? Albo raczej „uczciwy, ale drogi”. — Westchnął ciężko: — Szkoda, że nie może mi pan powiedzieć, o co tu chodzi. Wpadłem po uszy w jakiś tajemniczy układ, a pojęcia nie mam, w czym rzecz — spojrzał na gościa z nadzieją, ale Horsham potrząsnął głową.

— Tego nikt nie wie.

— Czego ten człowiek szukał u mnie w domu?

— Powiem panu szczerze, że nie mam żadnego pomysłu.

— Ja też.

— Nikt panu nie dawał niczego na przechowanie?

— Nic a nic. Jeżeli myśli pan o Mary Ann, to zapewniam pana, że niczego mi nie dała. Chciała, żebym pomógł jej w uratowaniu życia.

— Jeżeli w dzisiejszych gazetach nie było żadnej wzmianki, to należy mieć nadzieję, że rzeczywiście uratował jej pan życie.

— A więc historia skończona? Szkoda. Rozbudziła tylko moją ciekawość. Chciałbym wiedzieć, jak to się dalej potoczy. To, co pan opowiada, brzmi nieco pesymistycznie.

— To jest pesymistyczne. Źle się dzieje w państwie duńskim.

— Wiem, co pan ma na myśli. Sam tak czuję...

Rozdział czwarty

Kolacja z Erykiem

— Mam ci coś do powiedzenia —
rzekł Eryk Pugh.

Sir Stafford Nye spojrział na niego z namysłem. Z Erykiem znali się już dobrych parę lat, ale nie byli bliskimi kolegami. Sir Stafford uważał, że stary Eryk jest po prostu nudziarzem. Choć z drugiej strony nie można mu było odmówić pewnej dozy lojalności wobec przyjaciół. Należał wreszcie do tych ludzi, którzy nie będąc interesującymi

towarzyszami w rozmowie, mają zwyczaj wiedzieć dużo o wszystkim, co się wokół dzieje. Nie raz bywało, że stary Eryk wyskakiwał nagle z jakąś cenną informacją zasłyszaną w rozmowie z kimś ważnym.

— Wracasz z tej konferencji na Malajach, co?

— Tak — odparł sir Stafford.

— Jakieś ciekawe wieści?

— Nuda jak zwykle.

— Miałem nadzieję, że usłyszę od ciebie coś interesującego. Nic się nie wydarzyło?

— Gdzie, na konferencji? Nic. czego nie można było z góry przewidzieć. Każdy mówił dokładnie to, co myślałeś, że powie, używając, niestety, dziesięć razy więcej słów niż należało. Sam nie wiem, czemu się jeszcze bawię w te klocki.

Eryk Pugh rzucił parę uwag na temat niespodzianek, które szykują Chińczycy.

— Nie sądzę — skomentował to sir Stafford. — Owszem, krążyło trochę plotek o tym, na co stary Mao obecnie choruje i kto próbuje przeciwko niemu intrygować, ale nic więcej.

— A konflikt arabsko–izraelski?

— Wszystko zgodnie z planem. Ich planem, ma się rozumieć. Ale co to ma wspólnego z Malajami?

— Och, wcale nie chodzi mi o Malaje.

— Wiesz, nie rozumiem cię. Skąd ta ponura mina? Zupka ci stygnie.

— Jakby ci to, hmm... Widzisz... Tylko obiecaj, że nie będziesz się wściekał. Powiedz mi, ale szczerze. Nie masz czasami jakiejś brudnej sprawy na koncie?

— Ja? — sir Stafford wyglądał na oburzonego.

— Oj, wiesz, o czym mówię. Obaj wiemy, że lubisz figle.

— Jeśli o to idzie, to przyznaję, że mam na sumieniu parę grzeszków. Nie wiem, o którym mowa.

— Doszły mnie słuchy, że miałaś jakąś przygodę w drodze powrotnej.

— Tak? Kto ci to mówił?

— Spotkałem dziś rano Cartisona.

— Tego starego nudziarza? Nie słuchaj go, on lubi zmyślać.

— Wiem, wiem. Znam go nie od dziś. Ale on powoływał się na kogoś, zdaje

się na Wintertona, który twierdzi, że coś knujesz.

— Niby ja? — Stafford uniósł brwi.
— Gdyby to była prawda... — westchnął.

— Ostatnio coraz częściej słyszy się o szpiegach. Winterton ma podejrzenia co do pani ludzi.

— Czy oni pogłupieli? Ja szpiegiem? Nowym Philbym? Czymś w tym rodzaju?

— Nie wiem, co oni myślą, ale znam ciebie i wiem, że czasami bywasz nieostrożny w tym, co mówisz. Nawet jeżeli to tylko żarty...

— Czasem tak ciężko się powstrzymać. Wszyscy ci posłowie, ministrowie. Oni są tak cholernie poważni, że czasem aż się proszą, by się z nich ponabijać.

— Twoje poczucie humoru jest nieco wypaczone, mój drogi. Nie gniewaj się, ale naprawdę tak uważam. Martwię się o ciebie. Oni myślą, że historia, którą im sprzedałeś, niezupełnie pokrywa się z prawdą.

— A więc o to im chodzi! Interesujące. Muszę zatem wymyślić coś bardziej przekonującego.

— Nie rób nic pochopnie.

— Już ja im dam popalić.

— Słuchaj, przyjacielu. Zastanów się chwilę. Chyba nie chcesz, żeby twoje poczucie humoru naraziło na szwank twoją karierę?

— Czasem dochodzę do wniosku, że nie ma nic bardziej nudnego niż kariera.

— Wiem, wiem. Zawsze tak mówisz. Tylko nie mogę patrzeć, jak tracisz jedną okazję po drugiej. Choćby ta posada w Wiedniu... Gdyby nie kaprysy, już dawno byś ją miał.

— Zapewniam cię, że od dziś będę zachowywał się z godnością i stosowną powagą — uśmiechnął się Stafford. —

No, przyjacielu, głowa do góry. Nic nie poradzę, że jestem taki, jaki jestem.

Eryk pokręcił tylko głową w odpowiedzi.

Wieczór był bardzo pogodny, więc Stafford zdecydował, że wróci do domu na piechotę przez Green Park. Kiedy wszedł na jezdnię na Birdcage Walk, zza rogu wyjechał pędzący szybko samochód mijając go ledwie o parę cali. Sir Stafford był wysportowany, więc bez kłopotu uskoczył przed niebezpieczeństwem na chodnik. Samochód z piskiem opon zniknął za zakrętem. Sir Stafford zadumał się. Przez chwilę gotów był sądzić, że kierowca z premedytacją usiłował go

zabić. Ciekawe.

Najpierw rewizja w jego mieszkaniu, a teraz... Wyrok śmierci? Prawdopodobnie czysty zbieg okoliczności, jednak zdarzało mu się w ciągu życia przebywać w bardzo dzikich regionach i podejrzanych miejscach, potrafił więc na miłą zwiertzyć niebezpieczeństwo. Teraz właśnie czuł przez skórę, że to nie przelewki. Ktoś próbował go zabić. Ale dlaczego? Z jakich powodów? Nie przypominał sobie, żeby się komuś ostatnio naraził. Bardzo dziwne.

Wszedł do mieszkania i przejrzał wieczorną pocztę. Nic ważnego. Parę

rachunków i wieczorne wydanie „Lifeboat”. Odłożył rachunki na stół i zasiadł z gazetą w fotelu. Nie była to lektura wysokiego lotu, ale sir Stafford lubił czasem oddać się bezmyślnej rozrywce. Tym razem był za bardzo pochłonięty myślami o wieczornym wydarzeniu, żeby skupić się na czytaniu. Kartkował gazetę wpatrzony niewidzącym wzrokiem przed siebie. Nagle ocknął się z zamyślenia. Jego palce natrafiły na jakiś przedmiot przyklejony taśmą do jednej z kartek. Jego własny paszport. Stafford pośpiesznie zerwał taśmę klejącą i otworzył paszport. Ostatnia pieczętka nosiła wczorajszą datę. Stempel z Heathrow. Więc dotarła szczęśliwie.

Dlaczego wybrała tak niecodzienny sposób, by zwrócić mu jego własność? Gdzie teraz jest?

Zastanawiał się, czy dane mu będzie jeszcze kiedyś ją spotkać. Kim była ta dziewczyna? Co teraz porabia, dlaczego nie daje znaku życia? Czuł się tak, jakby czekał na drugi akt przedstawienia. Choć właściwie nie było nawet pierwszego aktu. Jedynie wstęp, odsłonięcie kurtyny. Dziewczyna, która przebrała się za mężczyznę, przeszła nie zauważona przez kontrolę na Heathrow i znikła w tłumie podróżnych. Nie, na pewno już jej nigdy nie spotka. Z irytacją począł się zastanawiać, dlaczego niby tak pragnie ją jeszcze zobaczyć. Nie była

nawet szczególnie atrakcyjna. Była nikim. Nie, to nie całkiem tak. Była kimś, musiała być kimś, bo zdołała nakłonić go do współpracy bez sięgania po stare jak świat sztuczki z uwodzeniem. Po prostu zwróciła się o pomoc, a raczej wręcz zażądała pomocy. Doskonale znała się na ludziach, bo rozpoznała w nim bratnią duszę, kogoś, kto gotów był poświęcić się absolutnie bezinteresownie, kto gotów był bez zastanowienia pospieszyć z pomocą. A przecież ryzykowałem, pomyślał. W tym piwie mogło być Bóg wie co. Równie dobrze mógłby leżeć teraz w kostnicy we Frankfurcie jako jeszcze jedno nie zidentyfikowane ciało. Skoro ta dziewczyna tak wybornie znała się na

przeróżnych miksturach, a najwyraźniej się znała, mogła bez trudu upozorować jego śmierć jako wynik niewydolności serca związany z nagłą zmianą ciśnienia albo coś równie niewinnego. Zresztą po co te wszystkie rozmyślenia. I tak jej już nigdy nie zobaczę, pomyślał i nie wiedzieć czemu ponownie złapał się na tym, że jest poirytowany.

Tak, ta sprawa była w najwyższym stopniu intrygująca i to go. nurtowało. Przez kilka minut siedział pogrążony w rozmyśleniach, po czym wstał i napisał ogłoszenie do gazety, zaznaczając na kopercie, żeby zamieszczono je w trzech kolejnych numerach. Ogłoszenie było następującej treści: „Pasażer do

Frankfurtu. 3 listopada. Towarzysz podróży prosi o niezwłoczny kontakt.”

Tylko tyle. Albo odpowie, albo nie. Jeżeli w ogóle to ogłoszenie trafi do jej rąk, będzie wiedziała, kto jest jego autorem. Miała jego paszport, więc nazwisko i adres zna. Może się odezwie. Jeżeli nie, to nie dane mu będzie poznać końca tej farsy. Przygoda pozostanie jedynie antraktem, krótkim, pozbawionym treści epizodem. Wszystko wskazywało na to, że nadzieja na odnalezienie dziewczyny jest znikoma. Mary Ann prawdopodobnie załatwiła swe sprawy w Londynie, a teraz jest już pewnie w drodze do Genewy, na środkowy Wschód, do

Nowego Jorku, Moskwy lub Pekinu. Albo też wypełnia jakąś tajną misję w Ameryce Południowej. Skąd, u diabła, pomyślał sir Stafford, wytrzasnąłem tę Amerykę Południową? Coś w tym jest. Nikt nie wspominał Ameryki Południowej z wyjątkiem Horsbama. A i on wspomniał o tym mimochodem.

Nazajutrz rano sir Stafford szedł przez St James Park. Przy jednej ze ścieżek zauważył na wpół dziko rosnące jesienne chryzantemy. Wyglądały pokracznie na swych suchych łodygach, z przekrzywionymi, ciężkimi głowami żółtych i rdzawych płatków. Dobiegł go ich zapach, mdły i nieprzyjemny, który zawsze kojarzył mu się z zapachem

greckich pagórków pełnych pasących się kóz. Zastanawiał się, kiedy nadejdzie odpowiedź na ogłoszenie. Pewnie nie prędzej niż za dwa, trzy dni. Irytowała go ta niepewność, to oczekiwanie.

Próbował przypomnieć sobie nie tyle twarz tej dziewczyny, co twarz swojej siostry Pameli. To już tyle czasu, odkąd umarła. Pamiętał ją, oczywiście, że pamiętał, ale złościło go, że za nic nie potrafi przypomnieć sobie szczegółów jej twarzy. Przystanął na krawężniku i obejrzał się na lewo i prawo. Nie było ruchu, tylko skrajem drogi toczył się leniwie czarny samochód. Stara, dobra limuzyna Daimlera, nieco staroświecka. Otrząsnął się z zamyślenia. Złapał się na

tym, że od dłuższego czasu stoi na chodniku bezmyślnie wpatrzony w jakiś samochód.

Wszedł na jezdnię i właśnie wtedy staroświecka limuzyna ruszyła z zadziwiającym w jej wieku wigorem. Jechała coraz szybciej, nabierając impetu. Ledwie miał czas uskoczyć na chodnik. Samochód z piskiem hamulców zniknął mu z oczu.

— Proszę, proszę — mruknął sir Stafford. — Czy to możliwe, że ktoś mnie tak bardzo nie lubi? Ktoś śledzi każdy mój krok i tylko czyha na okazję.

Pułkownik Pikeaway, rozparty swym potężnym cielskiem na fotelu w swoim niewielkim gabinecie w Bloomsbury, gdzie przesiadywał codziennie od dziesiątej do piątej z przerwą na lunch, spowity był jak zwykle w opary gęstego dymu z cygara. Oczy miał przymknięte, jedynie nieznaczne drgnięcia powiek wskazywały na to, że nie śpi. Ktoś kiedyś powiedział, że Pikeaway wygląda jak krzyżówka Buddy z potężną ropuchą, a bezczelni młodzieńcy sugerowali również jego niewątpliwe pokrewieństwo z hipopotamem.

Brzęczyk interkomu wyrwał go z odrętwienia. Pułkownik Pikeaway mrugnął trzy razy i otworzył oczy.

Leniwie wyciągnął rękę po słuchawkę.

— No, co tam? — spytał. Odezwał się głos sekretarki.

— Pan minister do pana.

— Ten ad baptystów z przeciwwka?

— Nie, panie pułkowniku. To sir George Packham.

— Szkoda. Z księdzem McGill tak się miło rozmawia. Wolałbym jego niż tych z ministerstwa.

— Czy mam go wprowadzić?

— Sądzę, że nie da się tak łatwo

splawić. Podsekretarze są bardziej wyczuleni niż sam sekretarz stanu — rzucił Pikeaway ponuro. — Wiecznie ktoś musi przychodzić i przerywać mi sjętę.

Sir George Packham wszedł do gabinetu i już w progu począł się krztusić i kaszlać. Większość ludzi tak reagowała. Okna w gabinecie były szczelnie zamknięte. Pułkownik Pikeaway siedział na swym fotelu pokryty od stóp do głów popiołem z niezliczonych cygar. Atmosfera w pokoju była wprost nie do zniesienia. Nie darmo nazywano to pomieszczenie wędzarnią.

— Drogi przyjacielu — powiedział

sir George z werwą nie licującą zgoła z jego ascetycznym wyglądem. — Tak dawno się nie widzieliśmy.

— Usiądź, proszę, usiądź. Może cygaro? Sir George zadrżał.

— Nie. dziękuję — jęknął i spojrzał znacząco w kierunku okna.

Pułkownik Pikeaway najwyraźniej nie zrozumiał sugestii. Sir George odchrząknął i ponownie zakaszłał.

— Był u ciebie Horsham?

— Owszem. I powiedział, co należało — odparł pułkownik przymknąwszy oczy.

— Sądziłem, że tak będzie najlepiej. Żeby go wysłać do ciebie, ma się rozumieć. Zależy nam na tym, żeby sprawa się nie rozeszła.

— Niepotrzebnie — rzekł Pikeaway.

— Słucham?

— Niepotrzebnie się martwisz. I tak się rozejdzie.

— Nie wiem, co ci hmm... wiadomo o tej historii.

— My tu wiemy wszystko. Po to tu jesteśmy.

— No tak, jasne. Jeżeli chodzi o pana

S. N. Wiesz o kim mówię, prawda?

— Pasażer z Frankfurtu?

— Bardzo niepokojąca historia. Nadzwyczaj niepokojąca. Nie mam pojęcia... to znaczy, zastanawiam się, czy... no wiesz...

Pułkownik Pikeaway słuchał z grzecznym uśmiechem na ustach.

— Nie wiadomo, co o tym myśleć — brnął sir George. — Znasz go osobiście?

— Miałem okazję spotkać.

— Można by przypuszczać...

Pułkownik Pikeaway z trudem powstrzymywał ziewanie. Procesy myślowe sir Georga nie leżały w polu jego zainteresowań. Miał zresztą na ich temat ugruntowaną opinię. Ostrożny człowiek, któremu można ufać, że będzie prowadził sprawy swego resortu ostrożnie. Nikt nie oczekiwał od podsekretarza błyskotliwej inteligencji. W końcu ci, co przypuszczają, zastanawiają się i nie wiedzą, mogą się czuć bezpieczni na stanowiskach wyznaczonych im przez Boga i wyborców.

— Nie wolno dopuścić do tego, by historia się powtórzyła.

Pułkownik Pikeaway uśmiechnął się

grzecznie.

— Charleston, Conway i Courtauld — zauważył. — Wszyscy na „C”. Wszyscy oddani, sprawdzeni, godni zaufania i wszyscy przeniwiercy.

— Czasem zastanawiam się — rzucił sir George ze smutkiem — czy komukolwiek jeszcze można ufać.

— To akurat proste. Nikomu.

— Taki Stafford Nye. Niby z dobrej rodziny, ba, znakomitej rodziny. Osobiście znałem jego ojca i dziadka.

— Medycyna notuje częste mutacje w trzecim pokoleniu — zauważył

pułkownik.

Ta pociecha nie przyniosła sir George'owi ulgi.

— Nie mogę zrozumieć. Czasami wydaje mi się, że on nie traktuje wszystkiego serio.

— Kiedyś zabrałem moje siostrzenice na wycieczkę do Francji — zaczął pułkownik niespodzianie. — Nad rzeką siedział wędkarz. Tak się złożyło, że ja też miałem z sobą wędkę. Wiesz, co mi powiedział? Powiedział: „Vous n'êtes pas un pêcheur sérieux? Vous avez des femmes avec vous”^{*}.

— A więc myślisz, że sir Stafford...

— Nie, nie. On nigdy specjalnie nie interesował się kobietami. Kocha ironię. Uwielbia zaskakiwać. Nie umie się powstrzymać, żeby kogoś nie ośmieszyć.

— I ty to pochwalasz?

— A czemuż by nie? Lepsze to niż zdrada.

— Żeby tak chociaż mieć pewność, że jest w porządku. Co o nim sądzisz?

— On jest w porządku — uśmiechnął się pułkownik Pikeaway. — Nie masz co się denerwować. W twoim wieku to szkodliwe.

Sir Stafford Nye odsunął na bok filiżankę z kawą. Wziął do ręki gazetę, przemknął wzrokiem po nagłówkach i otworzył na dziale ogłoszeń. Już od tygodnia dzień w dzień studiował uważnie tę rubrykę. Był rozczarowany, ale nie zdziwiony. Czemu, u diabła, jeszcze się łądzi? Studiował dział ogłoszeń drobnych, tę najbardziej zajmującą z lektur. Ponad połowa ogłoszeń to zakamuflowane oferty takich czy innych usług. Właściwie ich miejsce było gdzie indziej, ale umieszczono je właśnie tu, bo łatwiej przyciągały uwagę czytających.

„Młody człowiek nie przepadający za

ciężką pracą gotów jest podjąć się zajęcia, które przypadłoby mu do gustu”.

„Broń z czasów Waterloo. Oferty pod adres...”

„Wyjeżdżający za granicę pilnie sprzeda futro”.

„Znasz Jenny Capstan? Najlepsze ciastka w Londynie. Przyjdź na 14 Lizzard Street S.W.3”.

Palec sir Stafforda zatrzymał się na chwilę na tym ostatnim. Jenny Capstan. Ładne. Zastanawiał się, gdzie jest Lizzard Street. Nigdy o niej nie słyszał. Westchnął. Jego palec ruszył ponownie w podróż wzdłuż strony, ale prawie natychmiast się zatrzymał.

„Pasażer z Frankfurtu, czwartek 11.XI., Hungerford Bridge 19.20”.

Czwartek jedenastego? Ależ tak, to dzisiaj. Sir Stafford odłożył gazetę i

dopił kawę. Był podekscytowany. Hungerford. Hungerford Bridge. Zerwał się z krzesła i ruszył do kuchni. Pani Worrit kroїła wlaśnie ziemniaki na frytki. Na jego widok aż drgnęła.

— Coś się stało, proszę pana?

— Gdyby ktoś umówił się z panią na Hungerford Bridge, gdzie by pani poszła?

— Gdzie bym poszła? — pani Worrit próbowała zebrać myśli. — To znaczy, gdybym chciała pójść na to spotkanie, tak?

— Założmy.

— W takim razie chyba bym poszła na Hungerford Bridge, no bo gdzie indziej?

— Mówi pani o Hungerford w hrabstwie Berkshire?

— A gdzie to jest?

— Pięć mil za Newbury.

— Słyszałam o Newbury. Mąż obstawił tam konia na wyścigach i zarobił ładnych parę funtów.

— No więc pojechałyby pani do Hungerford koło Newbury, czy tak?

— Nigdy w życiu. Po co miałabym jechać taki kawał? Poszłabym na

Hungerford Bridge, ma się rozumieć.

— To znaczy?

— Niedaleko Charing Cross. To taki most. Nad Tamizą, wie pan.

— Tak — odparł sir Stafford. — Wiem, gdzie to jest. Dziękuję, pani Worrit.

Most kolejowy Hungerford w Londynie. A może jednak chodziło o całkiem inny most. Sir Stafford z tego podniecenia stracił głowę i zaczął się zastanawiać, ile jest w Anglii miejscowości o nazwie Hungerford. Tak na wszelki wypadek. W końcu pomysły Mary Ann bywały raczej ekscentryczne,

jak już zdążył zauważyć. No cóż, raz kozie śmierć. Dziś wieczorem przekona się, czy pani Worrit miała rację.

Wieczór był zimny i wietrzny. Mżyło. Sir Stafford Nye postawił kołnierz prochowca i skulił się pod uderzeniem wiatru. Nie pierwszy to raz szedł przez ten most i nigdy nie wybrałby tego miejsca na miłą przechadzkę. Mijał tłumy przechodniów, tak jak on skulonych, z kapeluszami nasuniętymi na oczy, marzących o tym jedynie, by jak najszybciej znaleźć się w suchym, ciepłym domu. Trudno byłoby kogoś rozpoznać w taką pogodę i w takim tłumie. Dwadzieścia po siódmej. A

może rzeczywiście chodziło o Hungerford w Berkshire? Wszystko to było co najmniej dziwne.

Brnął dalej przez kałuże. Starał się utrzymać stałe tempo marszu. Szedł na tyle szybko, by móc obserwować nadchodzących z przeciwka i zarazem nie dać się wyprzedzić tym z tyłu. Jeżeli to miał być żart, to stanowczo nie w jego stylu.

Nie mógł jakoś uwierzyć, żeby wystawiła go do wiatru i to tak dosłownie. Nadchodzący z przeciwka musieli się przeciskać między nim a barierką mostu, ponieważ chodnik był wąski. Stafford dojrzał kobietę w

płaszczu przeciwdeszczowym. Kobieta zderzyła się z nim, zaplątała w poły płaszcza i straciła równowagę. Pomógł jej wstać.

— Nic się pani nie stało?

— Nie, nic. Dziękuję.

Ruszyła w swoją stronę, lecz zanim odeszła, jej mokra dłoń wsunęła mu w rękę zwitek papieru. Po chwili już jej nie było, znikła w tłumie przechodniów. Nie próbował za nią iść. Najwyraźniej nie życzyła sobie, aby za nią szedł. Schował rękę z papierem do kieszeni i poszedł przed siebie. Wkrótce znalazł się na drugim, prawym brzegu Tamizy.

Po paru minutach znalazł zaciszną kafejkę, wszedł do środka i usiadł przy stoliku zamawiając kawę. Wyjął z kieszeni zwitek papieru. Była to gruba, pergaminowa, koperta. W środku jeszcze jedna, zwykła, z białego papieru. Jej zawartość zdziwiła go jeszcze bardziej. W kopercie znajdował się bowiem bilet.

Bilet do Royal Festival Hall na jutrzejszy wieczór.

Rozdział piąty

Wagnerowski motyw

Sir Stafford Nye poprawił się w krześle wsłuchany w początkowe takty opery. Kochał opery Wagnera, ale Zygfyrd nie należał do jego ulubionych części cyklu o *Pierścieniu*. Wolał *Złoto Renu*. Partie, w których młody Zygfyrd wsłuchuje się w śpiew ptaków, z bliżej nie uzasadnionych powodów budziły w nim miast zachwyty irytację. Może dlatego że w młodości oglądał przedstawienie w Monachium, w którym główną rolę wykonywał tenor o

posturze, która jakoś nie kojarzyła się z jego wyobrażeniami o Zygfyrdzie. Był wtedy zbyt młody i nie potrafił oddzielić radości ze słuchania muzyki od wstrętu, z jakim przyjmował żalosne wysiłki podstarzałego śpiewaka, który toczył się po scenie usiłując niezdarnie imitować wdzięk i grację młodego bohatera. Poza tym sir Stafford nie przepadał za śpiewem ptaków i szeptali lasu. Po stokroć wolał oglądać dziewice Renu, choć wtedy w Monachium również i one były raczej dość solidnej budowy. Na szczęście tego wieczoru wyrafinowany smak wziął górę nad młodzieńczymi wspomnieniami. Sir Stafford oddał się bez reszty melodycznej frazie starając się przyjmować przedstawienie bez

uprzedzeń.

Od czasu do czasu zerkał mimochodem na salę. Przyszedł dosyć wcześnie i zdążył zająć swe miejsce, zanim jeszcze sala wypełniła się po brzegi. Po pierwszym akcie wstał i rozejrzał się bacznie wokół. Krzesło obok niego ciągle było puste. Osoba, na którą czekał, nie przyszła. Nie wiedział, czy się rozmyśliła, czy też po prostu zamierzała się spóźnić, jak to często bywa z ludźmi, którzy wybierają się na arcydługie opery Wagnera. Wyszedł na korytarz, począł się przechadzać bez celu, wypił filiżankę kawy, zapalił papierosa. Kiedy rozległ się gong, sir Stafford wszedł na salę. Już z daleka

zauważył, że na pustym dotąd miejscu ktoś siedzi. Emocje napłynęły gorącą falą. Wcisnął się między dwa rzędy foteli, dotarł do swego miejsca i usiadł. Tak, to była dziewczyna z poczekalni we Frankfurcie. Siedziała nieruchomo, nie patrzyła na niego, lecz prosto przed siebie. Profil jej twarzy nosił te same szlachetne rysy, które tak często przywoływał w pamięci. Obróciła głowę w jego kierunku, rzuciła mu obojętne spojrzenie. To spojrzenie miało zastąpić słowa. Mówiło: „Niech pan udaje, że się nie znamy”. Światła przygasły, kobieta obok niego odezwała się cichym szeptem.

— Przepraszam, czy mogłabym

obejrzeć pański program? Mój gdzieś mi się zapodział.

— Proszę?

Wzięła od niego program i zaczęła przeglądać. Światła na sali zgasły zupełnie. Zaczęła się druga część programu. Popłynęły dźwięki uwertury do Lohengrina. Kiedy przebrzmiały, kobieta wręczyła mu program z powrotem i rzekła półgłosem:

— Dziękuję. I przepraszam za kłopot.

Orkiestra grała teraz Szmery leśne. Stafford otworzył program. U dołu pierwszej strony dojrzał jakiś napis skreślony ołówkiem. Nie próbował go

teraz czytać. Zresztą oświetlenie nie pozwalało na to. Zamknął program i schował do kieszeni. Po namyśle doszedł do wniosku, że jego sąsiadka podmieniła program na swój, w którym już wcześniej napisała ołówkiem informację dla niego. Ta atmosfera spisku i tajemnicy coraz bardziej go intrygowała. Najpierw spotkanie na Hungerford Bridge i mokra dłoń wciskająca mu ukradkiem kopertę. Teraz ta kobieta, cicha, milcząca, siedząca obok niego. Przyglądał się jej ukradkiem. Miała na sobie suknię z czarnej krepy zakończoną stójką. Naszyjnik ze starego złota wdzięcznie podkreślał czerń stroju. Krótkie, gładko zaczesane ciemne włosy. Nie oddała ani

jednego spojrzenia. Zastanawiające. Czyżby się kogoś obawiała? Czy wiedziała, że ktoś z obecnych na sali widzów bacznie obserwuje każdy jej ruch, każdy jego ruch? Prawdopodobnie tak. Najważniejsze, że odpowiedziała na jego ogłoszenie, że mógł ją jeszcze raz zobaczyć. Jego ciekawość pozostała niezaspokojona, ale teraz przynajmniej wiedział, że Daphne Theodofanus — alias Mary Ann — jest tutaj, w Londynie. Teraz przynajmniej mógł mieć nadzieję, że będzie mu dane dowiedzieć się czegoś więcej. Jednak inicjatywę należy oddać w jej ręce. Jego zadaniem jest czekać i być posłusznym. Sir Stafford odkrył nagle, że z jej pojawieniem życie stało się bardziej

zajmujące. Było to lepsze niż siedzenie godzinami na nudnych politycznych konferencjach. Wszak ktoś najwyraźniej dybał na jego życie. Dwie próby zabójstwa w przeciągu paru zaledwie dni. Wprawdzie w dzisiejszych czasach kierowcy jeździli bardzo nieostrożnie, ale Stafford nie miał wątpliwości, że ktoś usiłuje celowo usunąć ze świata jego skromną osobę. Kiedy orkiestra skończyła utwór, kobieta obok niego odezwała się. Nie odwróciła się w kierunku Stafforda, nie dała do zrozumienia, że mówi do niego. Po prostu westchnęła i rzuciła w przestrzeń uwagę; tak, jakby mówiła do siebie.

— Młody Zygfryd — powiedziała i

westchnęła ponownie.

Program skończył się marszem ze *Śpiewaków norymberskich*. Kiedy przebrzmiały entuzjastyczne oklaski, widzowie zaczęli opuszczać miejsca. Stafford czekał w nadziei, że Mary Ann da mu jakiś znak, ale na próżno. Dziewczyna wstała z fotela, naciągnęła szal i szybkim krokiem ruszyła w stronę głównego przejścia. Po chwili stracił ją z oczu.

Kiedy wrócił do domu, nastawił ekspres i usiadł przy biurku przyglądając się programowi z Royal Festiyal Hall.

Z rozczarowaniem stwierdził, że

prócz dopisku ołówkiem, który zauważył już wcześniej, program nie zawierał żadnej wiadomości dla niego. Tylko na jednej stronie, u góry spisu punktów programu nakreślono coś, co trudno było zauważyć. Nie były to litery ani nawet cyfry, jedynie linijka złożona z nut. Fragment partytury. Wyglądało to tak, jakby ktoś w pośpiechu zapisał urywek muzycznej frazy. Przez chwilę Stafford miał nadzieję, że wiadomość napisano atramentem sympatycznym. Nieśmiało, jakby wstydząc się swej romantycznej natury, przytrzymał kartkę nad płomieniem, ale bez rezultatu. Ze złością cisnął program na biurko. Był wściekły. Całe to zamieszanie, te tajemnicze randki! Cały wieczór spędził siedząc

obok niej, nie odezwawszy się ni słowem, choć na myśl przychodziły setki pytań. I co? I nic. Wrócił do punktu wyjścia. Ale przecież chciała się z nim spotkać. Po co? Jeżeli nie chciała z nim rozmawiać, nie dała dalszych wskazówek, po co w ogóle przychodziła na spotkanie?

Spojrzał bez celu na półkę, gdzie trzymał sterty tanich kryminałów i książek science-fiction. W życiu nie zdarzają się fantastyczne przygody, pomyślał gorzko. Trup w każdej szafie, tajemniczy telefon, piękna kobieta w roli szpiega. Może nie wszystko jeszcze zostało powiedziane? Następnym razem, pomyślał, sam wezmę sprawy w swoje

ręce. W jej grze równie dobrze było miejsce dla dwojga.

Wypił kolejną kawę i podszedł do okna. Otworzył program jeszcze raz. Spojrzał na dziwną wiadomość i prawie bez udziału woli zaczął nucić zapisany motyw. Miał dobry słuch i bez trudu umiał śpiewać z nut. Muzyczna fraza wydała mu się znajoma. Zanucił jeszcze raz, nieco głośniej. Zaraz, zaraz. Co to jest? Tam, tam, tam tam ti-tam. Tam. Tam. Skądś znajome.

Odłożył program i sięgnął po zaległe listy. Kilka zaproszeń. Z ambasady amerykańskiej, od lady Athelhampton, na przedstawienie dobroczynne z udziałem Ich Królewskich Mości.

Odłożył je na bok. Wątpił, czy zdecyduje się przyjąć któreś z nich. Zamiast tracić czas w Londynie, lepiej pojechać do ciotki Matyldy. Obiecał jej, że wpadnie. Bardzo lubił cioteczkę, ale odwiedzał ją z rzadka. Mieszkała w jednym ze skrzydeł pięknie odnowionego zabytkowego dworu, który odziedziczyła po swoim dziadku. Była tam wielka bawialnia, owalny pokój jadalny, nowa kuchnia zaadaptowana z przylegającej stróżówki, dwie sypialnie dla gości, wielka sypialnia dla pani domu i pokoje wiernej Amy, która cierpliwie towarzyszyła starszej pani służąc opieką i pomocą. Oprócz Amy mieszkało tam również kilkoro służby, którzy zdecydowali się pozostać. Drugie

skrzydło dworu było nie używane, meble przykryte pokrowcami, jedynie raz do roku zaglądano tam, by przeprowadzić wiosenne porządki. Stafford Nye uwielbiał to miejsce. Jako dziecko jeździł tam na wakacje. Wtedy dom tętnił życiem. To było jeszcze za życia stryja, który mieszkał tam z żoną i dwójką dzieci. Tak, to były wspaniałe czasy. Stryj zarabiał wystarczająco dużo, by utrzymać dom i całą rzeszę służby. Stafford pamiętał, że na ścianach było mnóstwo obrazów, ale wtedy nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Głównie olbrzymie malowidła wiktoriańskie, ale było też parę starszych płócien. Tak, nawet kilka cennych dzieł. Raebum, Gainsborough,

parę Lawrence'ów, Lely, jakiś wątpliwy van Dyck. A także ze dwa Turnery. Niektóre zapewne sprzedano, aby zapewnić byt rodzinie. Do dziś, ilekroć bawił przejazdem u ciotki, lubił przechadzać się po domu studiując portrety przodków.

Cioteczka Matylda mimo swej gadatliwości była bardzo miła i przyjmowała siostrzeńca z wielką gościnnością. Stafford uwielbiał jej towarzystwo, chociaż nie mógł zrozumieć tego nagłego i nieodpartego pragnienia, by się z nią spotkać. Może dlatego, że chciał się przyjrzeć dokładniej portretowi Pameli, który wisiał na poczesnym miejscu w galerii

przodków? Porównać jej twarz z twarzą tej kobiety, która wkroczyła nagle w jego życie i obróciła wszystko do góry nogami?

Przypomniał sobie melodię zapisaną ołówkiem w programie z Festival Hall. Zanucił ją jeszcze raz — tam, tanu ti-tam — i wtedy właśnie odkrył, co to jest. Motyw z *Zygfryda*. Fragment grany na rogu przez młodego Zygfryda. Więc o tym mówiła wczoraj wieczorem. To była ta wiadomość, którą próbowała mu przekazać. Ukryta pod pozorem zachwyty nad operą. Notatka w jego programie również dotyczyła młodego Zygfryda. Młody Zygfryd. Co, u diabła, miała na myśli? Wiecznie te zagadki.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do ciotki Matyldy.

— Ależ oczywiście, Staffy. Przyjeżdżaj, drogi chłopcze. Najlepiej jak pojedziesz pociągiem o czwartej trzydzieści. Jeszcze go nie zlikwidowali, ale jedzie się teraz ponad godzinę dłużej. Nazywają to reformą w kolejnictwie. Zatrzymuje się na każdej najmniejszej stacyjce.

No to jesteśmy umówieni, tak? Horacy wyjedzie po ciebie do King's Marston.

— To stary Horacy jeszcze tam jest?

— A gdzie miałby być? Oczywiście, że tu jest.

Horacy, stajenny, potem furman, przekwalifikował się widać na szofera. Zdumiewająca przemiana, lecz jakże charakterystyczna w dzisiejszych czasach. — Musi mieć co najmniej osiemdziesiątkę — rzekł sir Stafford i uśmiechnął się do własnych myśli.

Rozdział szósty

Portret damy

— Wyglądasz wspaniale, mój drogi. Ta opalenizna! — cioteczka Matylda przyglądała się siostrzeńcowi z uznaniem. — Przypuszczam, że to skutek pobytu na Malajach. Dobrze mówię? Malaje, tak? A może Syjam albo Tajlandia? Co rusz zmieniają nazwy, ciężko się w tym połapać. W każdym razie mam nadzieję, że nie Wietnam. Nie podoba mi się ten Wietnam. Wietnam taki, Wietnam owaki, tu Wietkong, tam Amerykanie. Żrą się jak dzikie psy i

żaden nie ustąpi. Czasem sobie myślę, drogi chłopcze, czy nie byłoby lepiej, gdyby wybudować tam mnóstwo boisk do piłki nożnej. Mogliby się tam bić i kopać do woli, i wszyscy byliby szczęśliwi, można by zarobić sporo pieniędzy na sprzedaży biletów. Dzisiejsi politycy nie potrafią pojąć, o co ludziom naprawdę chodzi.

— Sądzę, że to świetny pomysł, ciociu — zauważył Stafford i pochylił się, by ucałować upudrowany policzek starszej pani. — Jak się cioteczka czuje?

— Staro — odpowiedziała lady Matylda Cleckheaton. — Ty oczywiście nie masz pojęcia, jak to jest. Jak nie reumatyzm, to astma, jak nie zgaga, to

zwichnięta kostka. Wiecznie coś. Ale w sumie nie tak źle. Z czym przyjeżdżasz?

Bezpośredniość pytania zbiła go nieco z tropu.

— Przecież zawsze odwiedzam ciocię, jak wracam z dłuższych wojaży.

— Bądź tak łaskaw i usiądź trochę bliżej — rzekła ciotka Matylda. — Mój słuch nieco przytępiał od czasu twojej ostatniej wizyty. Wyglądasz jakoś inaczej. Czemu?

— Opaliłem się. Sama ciocia mówiła...

— Nonsens. Wcale nie o to mi

chodziło. Nie mów mi, że znalazłeś wreszcie jakąś kobietę.

— Kobietę?

— W końcu już czas najwyższy. Wszystko przez to twoje szczególne poczucie humoru.

— O czym ciocia mówi?

— O tym, co ludzie o tobie myślą. A myślą, myślą. Krążą słuchy, że przez te twoje dowcipy nigdy nie zrobisz kariery. Sam wiesz, o czym mówię. Obracasz się w kręgach polityków, dyplomatów. Ci wszyscy ministrowie, parlamentarzyści. Te różne partie. Moim zdaniem mamy zbyt wiele partii. To

niepoważne. A już zwłaszcza nie podobają mi się ci okropni laburzyści — ciotka Matylda uniosła dumnie swój konserwatywny nos. — Za moich czasów nikomu przez myśl by nie przeszło, że można założyć Partię Pracy. Każdy by się tylko w głowę pukał. No, są jeszcze liberałowie, ma się rozumieć, ale to wymoczki. No i torysi, oczywiście, choć zabij mnie, ale nie wiem, czemu znowu przemianowali się na konserwatystów.

— Ich też cioteczka nie lubi? — spytał Stafford z uśmiechem.

— Żebyś wiedział. Za dużo tam gorliwych kobiet. Przez to są bardziej ponurzy.

— Polityka to poważna sprawa.

— No właśnie. Ale ty tego nie możesz zrozumieć. Chcesz się bawić. Robisz dowcipy, rzucaś uszczypliwe komentarze. Oni tego nie lubią. Patrzą na ciebie i mówią: „*Ce n'est pas un garçon sérieux*”*, jak w tej historyjce o wędkarzu.

Sir Stafford Nye wybuchnął szczerym śmiechem. Jego oczy wędrowały po ścianach bawialni.

— Na co patrzysz? — spytała ciotka Matylda.

— Na obrazy.

— Chyba nie chcesz, żebym je sprzedała? Wszyscy ostatnio sprzedają swoje obrazy. Znasz starego lorda Grampiona? Sprzedał kilku Turnerów i wszystkich swoich przodków. Podobnie Geoffrey Gouldman. Pamiętasz te jego cudowne konie? Pędzła Stubbsa, jeżeli dobrze pamiętam. Całkiem kusząca perspektywa. Można za to dostać ładną sumkę. Ale ja nie chcę sprzedawać swoich obrazów. Przywiązałam się do nich. Większość tych tutaj to przodkowie. Wiem, że w dzisiejszych czasach nie szanuje się przodków, ale widocznie jestem staroświecka. Szukasz kogoś szczególnego? Pameli?

— W rzeczy samej. Ostatnio wiele o

niej myślałem.

— To zdumiewające, jak bardzo wy dwoje byliście do siebie podobni. Prawie tak, jakbyście byli bliźniętami, chociaż nawet bliźnięta nie są nigdy identyczne, prawda?

— A więc Szekspir musiał się wygłupić, kiedy pisał o Violi i Sebastianie.

— Ależ mój drogi. Przecież nikt nie mówi, że brat i siostra nie mogą być do siebie podobni. Ty i Pamela byliście niemal, jak dwie krople wody. Na pierwszy rzut oka, oczywiście.

— Zatem z wyglądu. A charaktery?

— Ani trochę. I to właśnie jest najbardziej zdumiewające. Ty, podobnie jak Pamela, masz twarz, którą ja nazywam rodzinną twarzą. Naturalnie mówię o rodzinie Baldwen–White. nie o Nye’ach.

Sir Stafford nigdy nie czuł się pewnie na gruncie rodzinnych koligacji, zwłaszcza w rozmowie z ciotką Matyldą.

— Zawsze uważałam, że urodę macie po Aleksie.

— Kto to był Aleks?

— Nie Aleks, profanie. Aleksa. Twoja pra–pra–babka. Być może

zgubiłam po drodze jedno prą. Chyba Węgierka. Węgierska hrabina, baronessa albo coś w tym stylu. Twój pra-pra-pra-dziadek spotkał ją, kiedy służył na placówce w Wiedniu. Tak, ona była z Węgier, teraz sobie przypominam. Ognista krew, jak oni wszyscy. Podobno wspaniale jeździła konno.

— Czy ma cioteczka jej portret?

— Tak. Wisi na półpiętrze. Zaraz przy końcu schodów, trochę z prawej.

— Muszę rzucić okiem, jak będę szedł spać.

— Możesz iść teraz. Jak wrócisz, to sobie o niej porozmawiamy.

— Skoro cioteczka tak mówi —
uśmiechnął się Stafford.

Wyszedł do hallu i wbiegł na górę. Musiał przyznać, że ciotka Matylda miała oko. To była ta twarz. Ta sama twarz, którą widział i pamiętał. Pamiętał nie z powodu podobieństwa do własnej twarzy, do twarzy Pameli, ale dlatego że była identyczna z twarzą pięknej arystokratki na tym portrecie, który widział tak wiele razy. Urocza cudzoziemka, którą jego pra-pra-pra-przodek przywiózł do Londynu. Miała wtedy może dwadzieścia lat. Miała żywiołowe usposobienie, jeździła świetnie konno, wspaniale tańczyła, była obiektem marzeń setek adoratorów.

Jednak pozostała wierna mężowi, spokojnemu i trzeźwemu dyplomacie. Tak przynajmniej głosiła rodzinna fama. Zjeździła z nim pół świata i urodziła mu troje lub czworo dzieci. Przez jedno z tych dzieci jej uroda, twarz, kształt dłoni, łuk nosa zostały przekazane jemu i jego siostrze, Pamelii. Zastanawiał się, czy kobieta, która wrzuciła mu do piwa środek nasenny i prosiła o uratowanie jej życia, nie była przypadkiem spokrewniona z piękną Węgierką. Być może. Jej twarz była niemal dokładną kopią tej na portrecie. Przypominał sobie jej szlachetny profil, jej wąski, lekko orli nos. I tę atmosferę, która otaczała tajemniczą dziewczynę z Frankfurtu.

— Znalazłeś? — spytała ciotka Matylda, kiedy Stafford wszedł do bawialni. — Prawda, że ciekawa twarz?

— Tak. Powiedziałbym nawet, że śliczna.

— O wiele lepiej jest być interesującym niż pięknym. Ale, ale. Przecież nie byłeś w Austrii ani na Węgrzech. Czyżbyś spotkał kogoś podobnego do niej? Tylko nie mów, że na tej swojej malajskiej konferencji. Wracając do Aleksy... Ta dziewczyna była dzika jak rumak z puszy. Owszem, doskonałe maniere i tak dalej. Ale, powiadam ci, wolna jak ptak. Nie

wiedziała, co to strach.

— Skąd cioteczka wie o niej tak dużo?

— Pewnie trudno w to uwierzyć patrząc na mnie, ale zaręczam ci, że nie znałam jej osobiście. Urodziłam się ładnych parę lat po jej śmierci. Ale słyszałam o niej wiele. Miała wspaniałe, pełne przygód życie. Krążyło mnóstwo opowieści o niej i o historiach, w jakich brała udział.

— A co na to mówił mój pra—pra—pra—dziadek?

— Wyobrażam sobie, jak się musiał niepokoić — odparła ciotka Matylda. —

Ale mówią, że bardzo ją kochał. A propos, powiedz mi, drogi Staffy, czy czytałeś *Więźnia na zamku Zenda*?

— Brzmi znajomo.

— Przypuszczam, że nie czytałeś. Nie te czasy. Ale za mojej młodości ta książka była źródłem romantycznych westchnień. Nie było wtedy popu i Beatlesów. Tylko książki. Młodym panienkom nie wolno było czytać romansów. W każdym razie nie rano. Można je było czytać wieczorem.

— Cóż to za drakońskie przepisy? Dlaczego nie rano?

— Widzisz, mój drogi, w dzień

panienki musiały zajmować się czymś pożytecznym. Układały kwiaty albo polerowały srebrne ramki do fotografii. Zajęcia godne młodej damy. Jeżeli już czytały, to dzieła klasyków pod czujnym okiem guwernantki. Dopiero wieczorem młoda dama mogła zasiąść do ulubionej lektury. *Więzień na zamku Zenda* to była z reguły pierwsza książka, po jaką sięgała szanująca się dziewczyna.

— Jedna z tych miłych i pouczających historyjek, tak? Zdaje się, że coś o niej słyszałem. Może nawet czytałem... Niezbyt seksy, prawda?

— Ależ mój drogi! W tamtych czasach nie było tych wszetecznych powieścideł. Tylko romanse. Wszystkie kochałyśmy

się w głównym bohaterze. Nazywał się Rudolf Rassendyll.

— Coś sobie przypominam; czy to nie nazbyt kwieciste imię?

— Mów, co chcesz, ja dalej uważani, że bardzo romantyczne. Miałam wtedy dwadzieścia lat... Tak mi się to skojarzyło, kiedy poszedłeś oglądać ten portret. Zupełnie tak, jak Rudolf i księżniczka Flawia.

Stafford obdarzył starszą panią promiennym uśmiechem.

— Wygląda ciocia młodo, kwitnąco i sentymentalnie — powiedział.

— I tak się też czuję, mój chłopcze. To coś, czego dzisiejsza panienska nigdy nie zrozumie. Dzisiaj młoda dama mdleje słuchając dzikich skowytów do wtóru elektrycznych gitar, ale nie jest ani trochę sentymentalna. Powiem ci w sekrecie, że ja nie kochałam się w Rudolfie. Wolałam tego drugiego — jego sobowtóra.

— Sobowtóra?

— Tak. Króla Rurytanii.

— Ach tak! Nareszcie kojarzę. Przypominam sobie Rurytanię. Chyba rzeczywiście czytałem. Rudolf zakochał się w księżniczce Flawii, która była oficjalnie zaręczona z królem Rurytanii.

Cioteczka Matylda wydała z siebie romantyczne westchnienie.

— Tak — rzekła. — Rudolf Rassendyll odziedziczył swe bujne rude włosy po swej prababce. W pewnym momencie kłania się jej portretowi i dziękuje; nie pamiętam już jej imienia, księżna Amelia albo jakoś podobnie; w każdym razie dziękuje jej za swą urodę. No więc patrzyłam na ciebie, jak szedłeś pokłonić się swej pięknej hrabinie i od razu przypomniał mi się Rudolf. Przyznaj się Staffy. zaplątałeś się w jakiś romans?

— Skąd taki wniosek, ciociu?

— W życiu często powtarzają się

stare jak świat wzory. W końcu nie ma ich tak wiele. Tak jak książka z próbkami robótek ręcznych. Wszystkiego sześćdziesiąt pięć wzorów. Widzisz jeden i z miejsca poznajesz. Twój wzór nazwałabym „romantyczna przygoda”. Ale ty — westchnęła — nie przyznasz się nawet przed samym sobą.

— Bo nie ma do czego, ciociu.

— Zawsze byłeś zdolnym kłamczuchem. Ale nieważne. Tylko pamiętaj, żeby przyprowadzić ją do mnie, zanim ta banda lekarzy wykończy mnie do reszty swymi przemysłowymi antybiotykami. Żebyś ty wiedział, co mi każą codziennie połykać! Całe tuziny tabletek, a każda w innym kolorze.

— Nie wiem, skąd cioteczce przyszła do głowy jakaś „ona”.

— Powiadasz, że nie wiesz? Ale ja wiem. W twoim życiu jest jakaś „ona”. Nie wiem, skąd ją wytrzasnąłeś.

Poznałeś ją na Malajach? Córka ambasadora albo ministra? Zgrabna sekretarka? Nie, to nie to. Może przygoda na statku? Nie, w dzisiejszych czasach nie pływa się statkami. A więc samolot?

— Ciepło, ciepło — wyrwało mu się niechcący.

— A nie mówiłam? Stewardesa?

Potrząsnął głową.

— No dobrze. Zatrzymaj sobie swój sekret. I tak się dowiem. Mam swoje sposoby. Oczywiście nie mam już tyle energii, co dawniej, ale spotykam jeszcze starych znajomych. Tu słówko, tam słówko. Nic się przede mną nie ukryje. Ludzie są zaniepokojeni. Widać to na każdym kroku.

— Mówi ciocia o niepokojach społecznych?

— Nie, wcale nie o tym. Ludzie na górze są zaniepokojeni. Sfery rządowe. Nawet stare dobre Foreign Office ze swymi nudnymi urzędasami. Dzieją się dziwne rzeczy. Ludzie się buntują.

— Studenci?

— Och, zamieszki wśród studentów to tylko wierzchołek góry lodowej. Cały świat oszalał. Przychodzi tu dziewczyna, która czyta mi czasem gazety. Sama już niedowidzę. Ona ma taki miły głos. Czyta artykuły z prasy, prowadzi korespondencję. To dobre dziecko. Czyta o rzeczach, które chcę wiedzieć, nie o tych, które uważa za stosowne dla starszej pani. Tak, wszyscy są zaniepokojeni, i to nie tylko moje zdanie. Mówił mi o tym jeden z moich starych przyjaciół.

— Chłuba armii brytyjskiej i weteran wielu wojen?

— Istotnie, jest generałem, jeżeli o to ci chodzi. Od dawna w stanie spoczynku, ale ciągle jeszcze ma dostęp do informacji na najwyższym szczeblu. Wzburzona młodzież to tylko część tego, co się dzieje. Bardziej niepokojący są ci, którzy stoją za tymi zamieszkami. Nie wiem, kim są ci „oni”, ale jedno jest pewne. Używają młodzieży, by załatwić swoje ciemne sprawy. W każdym zakątku świata młodzi ludzie wychodzą na barykady i wykrzykują hasła, których sami często nie potrafią w pełni pojąć. Tak łatwo jest rozpętać rewolucję. Młodzież zawsze się buntuje, to naturalne. Sprzeciwiają się temu, co stare, burzą to, co zastali, chcą budować nowe. Chcą zmienić oblicze świata. Ale

nie zdają sobie sprawy, że są ślepi. Mają opaski na oczach. Nie widzą, gdzie prowadzi droga, na którą weszli. Jak to się skończy? Co jest przed nimi? I kto jest za nimi, kto podżega ich do buntu? To właśnie jest niepokojące. Wiesz, jak to jest. Jeżeli chcesz, by osioł szedł razem z tobą, bierzesz do jednej ręki marchewkę, a w drugiej trzymasz kij.

— Cioteczka przesadza.

— To nie przesada, mój drogi. Tak samo było za czasów Hitlera. Pamiętasz Hitler Jugend? Ale tamto było poprzedzone długimi przygotowaniem. Wszystko opracowano w najdrobniejszych szczegółach. Użyto w

rozmaitych krajach piątej kolumny, która miała przygotować teren dla rasy ..nadludzi. Kwiat narodu niemieckiego. Oni wierzyli w to całym sercem. Możliwe, że to samo dzieje się dzisiaj. Młodzież uwierzy we wszystko, jeśli potrafisz zręcznie podsunąć im, w co mają wierzyć.

— O kim ciocia mówi? Kim są ci „oni”? Rosjanie? Chińczycy?

— Tego nie wiem. Wiem tylko, że coś się dzieje, i to według starego, wypróbowanego wzoru. Znowu wzór! Mówisz Rosjanie? Stłamszeni’ pod komunistycznym butem. Nikt by za nimi nie poszedł, są zbyt staroświeccy.

Chińczycy? Sekretarz Mao zamącił im w głowach. Nie mani pojęcia, kim są ci ludzie, którzy planują następny ruch. Kto, gdzie, dlaczego, to są pytania, na które nie mam odpowiedzi.

— To bardzo zajmująca teoria — powiedział Stafford.

— Zajmująca? Przerazająca! To straszne, jak historia lubi się powtarzać. Młody bóg, złotowłosa nadczłowiek, który zmieni świat — westchnęła ciężko, po czym dodała: — Ten sam stary wzór. Młody Zygfyrd.

Rozdział siódmy

Rady ciotki Matyldy

Ciotka Matylda spojrzała uważnie na siostrzeńca. Jej wzrok był bystry i przenikliwy. Stafford poczuł się nieswojo.

— Widzę, że te słowa nie są ci obce
— powiedziała.

— Tak, ale nie wiem, co oznaczają.

— Nie wiesz? — uniosła brwi.

— Słowo skauta — odparł Stafford.
— Nie mam pojęcia.

— Ale słyszałeś je już wcześniej?

— Tak. Ktoś ostatnio mówił mi o młodym Zygfrydzie.

— Ktoś ważny?

— Ważny? Bo ja wiem? Chyba tak. Co ciocia przez to rozumie? r

— Brałeś udział w przeróżnych misjach dyplomatycznych. Reprezentowałaś nasz nieszczęsny kraj przy różnych okazjach. Lepiej czy gorzej. Znając ciebie, raczej gorzej. Siedziałaś na konferencjach,

wysłuchiwałaś, co mówią inni.

— Wie ciocia, jak to jest — rzekł Stafford. — Czcza paplanina.

— Widzę, że nie bierzesz sobie swych obowiązków do serca. Powinieneś bardziej przykładać się do swojej pracy.

— To bardzo chwalebna zasada. W praktyce jednak zdarza się często, że ten, kto się nie przejmuje, lepiej na tym wychodzi. Co to za sprawa z tym Zygfydem?

— Sama dokładnie nie wiem — odparła ciotka Matylda.

— Przecież ciocia zawsze wszystko

wie.

— Przesadzasz. Słyszysz się to i owo.

— A więc?

— Jak wiesz, mam paru przyjaciół w kręgach zbliżonych do wyższych sfer. Przyjaciół, którzy wiedzą wiele i mogą wiele. Oczywiście znakomita większość spośród nich jest głucha jak pień, na pół ślepa, dotknięta sklerozą i innymi przypadłościami sędziwego wieku. Ale nie wszystko na szczęście odmawia im posłuszeństwa. Ich szare komórki nie przestały jeszcze pracować. Ludzie wokół są zaniepokojeni, przygnębieni. To jedna z tych rzeczy, które zdołałam zauważyć.

— Ludzie zawsze są tacy.

— Tak, zgoda. Ale tym razem to poważniejsze. Od dłuższego czasu, jak z pewnością zdażyłeś zauważyć, na świecie dzieje się wiele złego. Najwyższa pora, żeby coś z tym zrobić. I tu właśnie leży niebezpieczeństwo. Coś się dzieje. I to nie tylko w tym kraju. Na całym świecie. Są tacy, którzy chcą zmienić oblicze świata. Najsmutniejsze jest jednak to, że powołali do tego celu armię złożoną z młodych ludzi. Młodzież robi wszystko i, co gorsza, uwierzy we wszystko, jeśli znajdzie się ktoś, kto da im szansę niszczyć i siać zamęt w imię szczytnej idei. Wtedy pójdą za nim wszędzie w przekonaniu, że budują

nowy, lepszy ład. Młodzież nie chce być twórcza, woli destrukcję, i w tym cały kłopot. Młodzi ludzie potrafią pisać wiersze, malować obrazy, podobno nawet piszą muzykę, choć ja bym tego nie nazwała muzyką. I to jest dobre. Ale kiedy nauczą się kochać przemoc, wtedy pójdą za najgorszym doradcą.

— Twierdzi ciocia, że ktoś tym kieruje. Ale kim są ci „oni”?

— Ba, żebym to wiedziała — westchnęła ciotka Matylda. — Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym umieć ci odpowiedzieć. Gdy tylko dowiem się czegoś, bądź pewny, że nie omieszkam cię powiadomić. Może ty będziesz umiał zrobić pożytek z tych informacji.

— Niestety nie znam nikogo, komu można powierzyć taki sekret.

— Słusznie. Nie należy ufać nikomu. A zwłaszcza politykom. Rząd, opozycja, parlamentarzyści — wszyscy oni są idiotami. Polityk nie ma czasu patrzeć na świat, w którym żyje. Ludzie nie są dla niego ludźmi, lecz wyborcami, jedną wielką płaszczyzną elektoratu. Politycy wierzą głęboko, że to, co robią, uczyni świat lepszym, a kiedy im się uda przeforsować własne zdanie, są zdumieni, że lud tego nie potrafi docenić. Trudno nie oprzeć się przypuszczeniu, że politycy uważają się za wybrańców Boga, mających prawo

kłamać dla dobra sprawy. Pamiętaj, co powiedział pan Baldwin? „Gdybym mówił prawdę, straciłbym elektorat”. Myślisz, że obecny premier myśli inaczej? Zgoda, od czasu do czasu zdarza się wielbi człowiek u steru. Ale to rzadkość.

— Co zatem ciocia proponuje?

— Pytasz mnie o radę? Mnie? Czy wiesz, ile mam lat?

— Niespełna pięćdziesiąt — zaryzykował Stafford.

— No wiesz! — obruszyła się ciotka Matylda. — Czy naprawdę tak wyglądam?

— Ależ nie, kochana ciociu. Z wyglądu dałbym cioci najwyżej sześćdziesiąt sześć.

— No, już lepiej. Kłamiesz, ale to miłe. Jak tylko dowiem się czegoś, dam ci znać. Jeśli usłyszę coś ciekawego od jednego z moich drogich admirałów, generałów lub innych emerytów, nie omieszkam cię powiadomić. Wiesz, jak to jest ze starszankami: lubią się czasem zebrać i pogadać. Młody Zygfryd. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, co to znaczy. Nie wiem, czy to osoba, czy hasło, czy może nazwa jakiegoś klubu. Może to nowy Mesjasz albo piosenkarz rockowy. Jedno wiem na pewno: za tym terminem coś się kryje. Prócz tego jest

jeszcze fragment melodii. Jestem stara i zapomniałam już, kiedy ostatnio byłam w operze — zanuciła parę taktów, w których Stafford z trudem rozpoznał frazę, którą sam nie tak dawno nucił. — Motyw Zygfyryda na rogu, jeśli dobrze pamiętam. Coś ci poradzę, mój drogi. Kup sobie jakąś piszczałkę i naucz się tego na pamięć. Choćby mały dziecinny flet z plastiku. Ostatnio nasz proboszcz sprowadził z miasta kilka takich fujarek dla dzieciaków ze szkółki niedzielnej. Uczą się hymnów kościelnych. Zadziwiające, ale z takiej tandety można czasem wydobyć jakiś dźwięk. Ale o czym to ja...

— Kazała mi ciocia zakupić

piszczałkę, jeśli dobrze zrozumiałem.

— No właśnie. Kup sobie piszczałkę i naucz się grać tę melodię. Masz przecież niezły słuch, prawda? Zawsze miałeś. Dasz sobie radę?

— Tak małą rolę mam grać w ratowaniu świata? — Stafford uśmiechnął się szelmowsko. — Chyba sobie poradzę.

— Noś swą piszczałkę w pogotowiu. Bo widzisz — cioteczka zaczęła stukać w stół futerałem od okularów — może się kiedyś przydać. Kiedy zagrasz swą melodię w odpowiednim momencie, przyjmą cię z otwartymi rękami. Wtedy może się dowiesz czegoś ciekawego.

— Muszę przyznać — rzekł Stafford z podziwem — że cioteczka miewa znakomite pomysły,

— W moim wieku to nie dziwne. Nie mogę chodzić z wizytami, nawet uprawianie ogródka jest ponad moje

siły. Mam za to wystarczająco dużo czasu, by siedzieć w fotelu i miewać pomysły. Za czterdzieści lat wspomnisz moje słowa.

— Interesuje mnie jedna rzecz, którą ciocia powiedziała.

— Tylko jedna? To bardzo niewiele, zważywszy, że gadam już od godziny. Co to za rzecz?

— Mówiła ciocia, że przyjmą mnie z otwartymi rękami. Czy dobrze rozumiem?

— Masz skrupuły? To jedyna droga, żeby się czegoś o nich dowiedzieć. Trzeba wniknąć w ich szeregi. Jak komik w boazerię.

— Mam chodzić po nocach i wydawać znaczące dźwięki?

— Coś w tym guście — przytaknęła cioteczka Matylda. — Kiedyś mieliśmy korniki we wschodnim skrzydle. Wydałam majątek, żeby się ich pozbyć. Obawiam się, że wyleczenie świata z tej zarazy będzie nieco bardziej kosztowne.

— Znacznie droższe — rzekł Stafford.

— Pieniądze są bez znaczenia — zapewniła ciotka Matylda. — Są ludzie, którzy uwielbiają wydawać pieniądze. To poprawia im samopoczucie. Za to jeśli chcesz zrobić coś tanim kosztem, bez zbędnych wydatków, wtedy podnoszą krzyk. W naszym kraju jest wielu takich. Ludzie się nie zmieniają, zawsze będą tacy sami.

— Co ciocia ma na myśli?

— My, Brytyjczycy, jesteśmy stworzeni do wielkich rzeczy. Potrafiliśmy stworzyć imperium. Nie umieliśmy wprowadzić go utrzymać, ale wiedzieliśmy, kiedy się wycofać. Takie

imperium to same kłopoty. Robbie mnie o tym uświadomił.

— Robbie? — spytał tknięty przeczuciem.

— Robbie Shoreham. To mój stary znajomy. Wprawdzie całą lewą stronę ciała ma sparaliżowaną, ale mowy jeszcze nie stracił. Poza tym kupił niedawno nowy aparat słuchowy.

— Jeden z najlepszych fizyków naszych czasów — rzucił Stafford. — Więc i jego cioteczka zna osobiście?

— Od kiedy był jeszcze o, taki mały. Pewnie dziwisz się, o czym taka stara baba jak ja może rozmawiać z wielkim

fizykiem.

— Nie, tylko nigdy nie przypuszczałem, że...

— Że mogę z nim znaleźć wspólny język? Owszem, przyznaję, że matematyka nie jest moją najmocniejszą stroną. Za moich czasów kobiety nie zajmowały się tym. Robbie miał całki w małym paluszku, kiedy kończył cztery latka. Ale nie rozmawiamy o naukach ścisłych. Robbie bardzo mnie lubi. Podobno dlatego, że jestem frywolna i potrafię go rozśmieszyć do łez. Czasami mówi bardzo ciekawe rzeczy. A ja potrafię słuchać.

— Naprawdę? — rzucił Stafford z

przekąsem.

— Nie bądź” złośliwy. Molier poślubił swoją służącą i dobrze na tym wyszedł, jeżeli dobrze pamiętam. Nie jest powiedziane, że mężczyzna o tęgim umyśle potrzebuje inteligentnej kobiety. To byłoby wyczerpujące na dłuższą metę. Dużo lepiej bawi się w towarzystwie ładnej, niezbyt mądrej kobiety, która potrafi go rozweselić. W młodości nie brakowało mi urody — dodała ciotka Matylda bez fałszywej skromności. — Nie mam żadnego stopnia naukowego i trudno byłoby nazwać mnie intelektualistką, ale Robbie zawsze powtarza, że nie brak mi pewnej dozy zdrowego rozsądku.

— Cioteczka jest naprawdę urocza — rzekł Stafford. — Na pewno zastosuję się do rad cioci. Jest jeszcze wiele rzeczy, które mogłaby cioteczka powiedzieć, ale spodziewam się, że nie tym razem.

— Owszem. Poczekam na właściwy moment. Cieszy mnie, że interesujesz się tą sprawą. Daj mi znać, jak coś odkryjesz. Słyszałam, że wybierasz się na przyjęcie do ambasady amerykańskiej.

— Skąd cioteczka wie? Zgadza się, dostałem zaproszenie.

— Przyjąłeś, ma się rozumieć?

— Szczerze mówiąc jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. — Spojrzał na nią z zainteresowaniem. — Jak cioteczka to robi, że jest tak dobrze poinformowana?

— Och, Milly mi powiedziała.

— Milly?

— Milly Jean Cortman. Żona ambasadora. Urocza osóbka. Bardzo ładna, choć trochę zbyt niska.

— Mówi ciocia o Mildred Cortman?

— Na chrzcie dali jej Mildred, ale ona woli, by nazywać ją Milly Jean. Rozmawiałam z nią ostatnio przez

telefon o jakiejś imprezie charytatywnej. Jak mówię, bardzo miła kobieta. Za moich czasów mówiło się na takie „kieszonkowa Wenus”.

— Doprawdy uroczy termin — rzucił Stafford Nye.

Rozdział ósmy

Raut w ambasadzie

Kiedy pani Cortman wyciągnęła rękę, by go powitać, Stafford Nye przypomniał sobie słowa, których ciotka Matylda użyła opisując tę drobną niewiastę. Milly Jean Cortman wyglądała na trzydzieści pięć do czterdziestu lat. Miała delikatne rysy, wielkie szaroniebieskie oczy i kształtną głowę pokrytą gąszczem włosów ufarbowanych na szaroniebieskawo odcień, w którym było jej szczególnie do twarzy. Cały Londyn znalazł ją i

uwielbiał. Jej mąż, Sam Cortman, był potężnym, zwalistym mężczyzną o niezgrabnych ruchach. Był dumny ze swej małżonki. Sam był z gatunku tych, co potrafią godzinami zanudzać słuchaczy swymi natchnionymi pomysłami wygłaszanymi w żółtym tempie.

— Mówią, że wrócił pan z Malajów, tak? Interesujący kraj, nieprawdaż? Choć muszę przyznać, że nie wybrałbym się tam o tej porze roku. Cieszę się, że znalazł pan chwilkę czasu. Zna pan lady Aldborough? Sir John, Herr von Roken, Frau von Roken. Pan i pani Staggenham.

Sir Stafford Nye znał tych ludzi lepiej lub gorzej. Małżeństwo Holendrów było

w Londynie od niedawna. Staggenliam był ministrem opieki społecznej. On i jego żona to najbardziej nudni ludzie, jakich można było sobie wyobrazić.

— A to hrabina Renata Zerkowski. Pani hrabina mówi, że miała przyjemność już pana poznać.

— W zeszłym roku, podczas mojej ostatniej wizyty w Anglii — rzekła hrabina.

Ona tutaj? Pasażerka z Frankfurtu! Chłodna, opanowana, ubrana w szarobłękitną suknię. Włosy upięła wysoko (czyżby peruka?), na szyi miała krzyż starej roboty ze wspaniałym rubinem pośrodku.

— Signor Gasparo, hrabia Reitner, państwo Arbuthnot.

W sumie około dwudziestu paru osób. Przy kolacji Stafford siedział między okropną panią Staggenliam a signorą Gasparo. Renata Zerkowski siedziała dokładnie naprzeciwko.

Przyjęcie w ambasadzie. Stafford uczestniczył w setkach podobnych kolacji, oglądał setki podobnych gości. Członkowie korpusu dyplomatycznego, pomniejsi urzędnicy państwowi, jeden czy dwóch przemysłowców, garstka lwów salonowych zaproszonych jedynie dlatego, że byli świetni w prowadzeniu rozmowy o niczym. Z małymi wyjątkami całkiem miłe grono. Sir Stafford

prowadził przyjemną konwersację z signorą Gasparo, która okazała się uroczą, z lekka flirtującą rozmówczynią, ale jego umysł kierował się gdzie indziej. Jego oczy wędrowały po zebranych gościach i w ten sposób Stafford nie dawał po sobie poznać, że pogrążony jest w głębokich rozważaniach. Zaproszono go tutaj. W jakim celu? A może bez powodu? Może dlatego że jego nazwisko automatycznie pojawia się na listach, które sekretarze sporządzają przed każdym większym rautem lub podobną okazją. Może mieli akurat wolne krzesło.

— Stafford Nye? Czemu nie. Posadźmy go obok madame Siakiej lub

lady Owakiej.

Może tak właśnie było? A mimo to Stafford nie mógł przestać o tym myśleć. Z doświadczenia wiedział, że lista gości rzadko bywa przypadkowa. Tak więc jego oczy bez wytchnienia lustrowały otoczenie w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

W gronie gości był z reguły ktoś szczególnie ważny. Ktoś, czyja obecność była celem nadrzędnym całego przyjęcia, ktoś, do kogo dobierano pozostałych gości. Ktoś szczególny. Stafford próbował wyłowić tę osobę spośród zaproszonych osobistości.

Cortman wiedział, to oczywiste.

Prawdopodobnie także Milly Jean. Z żonami często tak bywa. Niektóre z nich okazują się lepszymi dyplomatami niż ich mężowie. Inne są po prostu tłem, dobrane z racji takich zalet, jak wdzięk, uroda czy dyskrecja. Niektóre wreszcie, myślał Stafford, okazują się prawdziwymi katastrofami, niezależnie od tego, ile majątku i prestiżu wniosły w małżeńskie stadło. Kobiety owe mają nieszczęsny zwyczaj mówienia lub robienia niewłaściwych rzeczy w niewłaściwych momentach. W takich przypadkach zaprasza się na przyjęcia osoby, które posiadają szczególną umiejętność łagodzenia zadrażeń i gaf gospodyni.

Czy ten raut jest czymś więcej niż po prostu wydarzeniem towarzyskim? Takim rozmyślaniom oddawał się sir Stafford lustrując bacznie, acz bez ostentacji, towarzystwo zasiadające u stołu. Jego uwagę przyciągały osoby, których nie potrafił zaszufładować. Biznesmen z Ameryki. Człowiek miły, lecz bez polotu i towarzyskiej ogłady. Profesor na jednym z uniwersytetów zachodniego wybrzeża. Małżeństwo: on Niemiec, ona najwyraźniej Amerykanka, sądząc po zachowaniu. Nawiasem mówiąc niezwykle atrakcyjna. Czy któraś z tych osób była szczególnie ważna? Przez myśl przemykały mu skrót w rodzaju CIA i FBI. Biznesmen mógł być agentem CIA w jakiejś

specjalnej misji. Takie czasy. Nie to, co dawniej. Wielki Brat patrzy na ciebie. Wuj Sam śledzi każdy twój ruch. Europejska finansjera nie spuszcza z ciebie oczu. O tak, myślał sir Stafford. W tych ciężkich czasach nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Nic nie jest oczywiste. Te dyskusje o Wspólnocie Europejskiej. Niby sprawa dotyczy integracji, handlu, ekonomii, współpracy między narodami. Ale co się za tym kryje?

Scena, na której rozgrywa się akcja. Ale co kryje się za kulisami? Kto czeka na swoje wejście? Jak potoczy się ta sztuka? Co reżyser planuje w następnym akcie? Coś dzieje się w wielkim

świecie, coś szykuje się za plecami polityków. Co? Na to pytanie Stafford nie znajdował odpowiedzi.

Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie vis-à-vis. Siedziała wyprostowana, jej usta ułożone w grzeczny uśmiech. Ich oczy spotkały się. Te głębokie oczy, ten uśmiech nie powiedziały mu nic, były nieprzeniknione. Co tu robiła? Była w swoim żywiole, ten świat był jej światem. Bez trudu mógł odkryć, jaką rolę pełniła w tym towarzystwie, ale czy dzięki temu wiedziałby więcej o prawdziwym powodzie, dla którego tu przyszła?

Młoda kobieta na frankfurckim lotnisku miała żywą, inteligentną,

otwartą twarz. Kobieta, która siedziała naprzeciwko, była konwencjonalna. Które z tych wcieleń było prawdziwe? Czy jedna z tych ról była zawodową pozą? A jeśli tak, to która? Tych ról, tych twarzy było pewnie więcej. Stafford nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Pytania cisnęły się jedno za drugim. Czy ich spotkanie na raucie w ambasadzie było czystym przypadkiem, czy też z góry ukartowanym pociągnięciem? Milly Jean wstała. Inne damy odsunęły swoje krzesła. Z zewnątrz dobiegały niepokojące odgłosy. Krzyki. Strzały z broni palnej. Brzęknęła stłuczona szyba w jednym z

okien. Signora Gasparo chwyciła Stafforda kurczowo za rękę.

— Znowu, słyszy pan? —
wykrzyknęła przerażona. — *Dio!* To ci okropni studenci! We Włoszech jest to samo. Dlaczego atakują ambasady? Jak dzikusy! Krzyczą, strzelają, kładą się na ulicy, wrzeszczą idiotyczne hasła. *Si, si.* W Rzymie to samo, w Mediolanie... Ta plaga szerząca się w całej Europie. O co im chodzi, tym młodym? Czego oni chcą?

Stafford Nye sącył spokojnie swoje brandy i obserwował Charlesa Staggenhama, który za wszelką cenę starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Krzyki na zewnątrz ucichły.

Najwyraźniej policja wkroczyła do akcji. Jeden z tych epizodów, które, choć niepokojące, stawały się powoli codziennością.

— Za mało policji — perorował Staggenham. — Musimy zwiększyć liczbę sił porządkowych. Oto, czego nam trzeba. Policja nie daje sobie już rady z tym tłumem. Tak jest podobno na całym świecie. Herr Lurwitz mówi, że mają te same problemy. Podobnie Francuzi. Czego oni chcą? Anarchii? Powiadam państwu, gdyby to ode mnie zależało...

Sir Stafforda nie interesowały deklaracje Staggenhama. które

nawiasem mówiąc były ogólnikowe i łatwe do przewidzenia.

— Krzyczą o Wietnamie. Co oni wiedzą o Wietnamie? Żaden z nich tam nie był, nie widział tego na własne oczy.

— Z całą pewnością — zauważył Stafford.

— Mam doniesienia z pewnych źródeł, że w Kalifornii jest jeszcze gorzej. Młodzież uniwersytecka. Potrzeba zdecydowanych działań...

Po chwili towarzystwo ruszyło do salonu. Stafford Nye usiadł obok pewnej gadatliwej blondynki, którą znał na tyle dobrze, by wiedzieć, iż dama ta jest

chodzącą skarbnicą informacji na temat wszystkich swoich bliższych i dalszych znajomych z wysokich sfer. Nie zadawał żadnych pytań, a jednak po chwili udało mu się sprowadzić rozmowę na pożądane tory. Jego rozmówczyni z radością dzieliła się swą wiedzą na temat hrabiny Renaty Zerkowski.

— Piękna kobieta, nieprawdaż? Ostatnio rzadko bywa w towarzystwie. Mówią, że najczęściej bawi w Nowym Jorku albo na tej prześlicznej wyspie. Wie pan, o której mówię? Nie Minorka. Ta druga. W każdym razie na Morzu Śródziemnym. Jej siostra wyszła za króla kosmetyków. Nie tego Greka. Zdaje się, że on jest Szwedem.

Niezwykle bogaty człowiek. Poza tym, oczywiście, nasza hrabina spędza mnóstwo czasu w tym zanku w Dolomitach. A może nie w Dolomitach? Zdaje się niedaleko Monachium. Słyszałam, że miał pan okazję spotkać hrabinę Zerkowski.

— Owszem. Rok czy dwa lata temu.

— Ach tak. Podczas jej ostatniej wizyty w Londynie, jak przypuszczam. Mówią, że miała coś wspólnego z kryzysem w Czechosłowacji. A może w Polsce? Mój Boże, to strasznie skomplikowane. Te ich nazwiska. Za dużo „s” i „z”. Nie sposób tego spamiętać, a co dopiero powtórzyć. Nasza hrabina jest wielkim mecenasem

sztuki. Bardzo muzykalna, lubi książki. Pisze petycje i podsuwa ludziom do podpisu. Załatwia azyl dla pisarzy z Europy Wschodniej. Kogo to dzisiaj obchodzi? Ludzie mają własne problemy, myślą tylko o tym, z czego zapłacie podatki. Nie wiem, skąd ludzie biorą pieniądze, ale wiem jedno. Niektórzy mają ich aż za dużo.

Spojrzała znacząco na swą dłoń, na której lśniły dwa wielkie pierścienie, jakby chciała dać do zrozumienia, że przynajmniej o nią ktoś się troszczy.

Przyjęcie miało się ku końcowi. Stafford Nye nie dowiedział się zbyt wiele o tajemniczej pasażerke z

Frankfurtu. Odkrył, że ma fasadę dla swych poczynań, że lubi muzykę. Nic dziwnego, że umówiła się z nim do opery. Miała bogatych krewnych, którzy utrzymywali posiadłości na wysepkach Morza Śródziemnego. Uprawiała sporty. Utrzymywała kontakty z elitą intelektualną i była w jakimś stopniu mecenasem literatury. Jednym słowem kobieta dobrze urodzona, z rozległymi kontaktami w wyższych sferach na całym świecie. Bez ostentacji w sprawach polityki, ale niewątpliwie sympatyzowała z jakimś ruchem. Osoba, która wiele podróżuje. Porusza się w świecie ludzi bogatych, wpływowych, wśród utalentowanych pisarzy.

Przez chwilę pomyślał o szpiegostwie. Najbardziej oczywiste skojarzenie. Ale nie w pełni satysfakcjonujące.,

Pani domu zdecydowała, że nadszedł czas na sir Stafforda. Milly Jean znakomicie pełniła honory gospodyni.

— Ach, sir Stafford! Przez cały wieczór czekałam na okazję, żeby zamienić z panem słówko. Proszę opowiedzieć mi o Malajach. Nigdy nie byłam dobra w geografii. Te azjatyckie kraje ciągle mi się mylą. Proszę powiedzieć, jak tam było?

— Jak na wyjeździe służbowym.

— Domyślam się, że spędzał pan czas na nudnych konferencjach, zamiast grać się w słońcu. Ale może to tajemnica państwowa?

— Ależ skąd. Zwyczajna, rutynowa podróż. Nic interesującego.

— Więc dlaczego pan się zgodził pojechać?

— No cóż, chyba dlatego że lubię podróżować, poznawać nowe kraje.

— Muszę przyznać, że intryguje mnie pańska osoba. Nie przystaje pan do wizerunku dyplomaty. To bardzo nudne zajęcie, prawda? Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale rozmawiamy

przecież prywatnie.

Te niebieskie oczy. Niebieskie jak niezapominajki. Nad tymi wielkimi oczami czarne brwi uniesione u nasady i lekkim skosem opadające ku końcom. Jej twarz przywodziła na myśl śliczny pyszczek perskiego kota. Zastanawiał się, jaką kobietą była Milly Jean prywatnie. Miała miękki akcent południowca, prześliczny profil, jakby żywcem wzięty z rewersu starej greckiej monety. Jaka była naprawdę? Z pewnością umiała się posługiwać głową. Potrafiła biegle władać orężem kobiecego sprytu. Bywała przymilna i kokieteryjna, kiedy wymagała tego sytuacja, by zaraz potem pokazać

pazurki. Kiedy czegoś chciała, na pewno bez trudu potrafiła to wyegzekwować. Jej czujne, stanowcze spojrzenie nie uszło jego uwadze. Czego chciała teraz? Stafford nie miał pojęcia. Może rzeczywiście pełniła li tylko obowiązki pani domu zabawiając gościa rozmową?

— Poznał pan Staggenhama? — spytała.

— Tak. Zamieniliśmy parę słów przy stole. Nie znałem go przedtem.

— Podobno jest bardzo ważną osobą. Jak pan zapewne wie, jest prezesem P.B.F.

— Człowiek powinien znać się na

tych sprawach — odparł sir Stafford. — P.B.F., D.C.Y. i L.Y.H. Cały ten zagmatwany świat skrótowców.

— Zgadzam się, to naprawdę okropne. Bezosobowe, nie ma w tym śladu człowieka. Tylko skrót. Ten świat jest taki okropny! Czasem zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby coś z tym zrobić...

Czy naprawdę chciała dać mu coś do zrozumienia? Po krótkim namyśle stwierdził, że raczej tak. Ciekawe, naprawdę ciekawe.

*

Grosvenor Square pogrążony był w ciszy. Na chodnikach ciągle jeszcze leżały odłamki szkła. Pośród kamieni, zgniłych jaj i pomidorów widać było porzucone w beładzie metalowe pręty, jakiś transparent. Nad tym wszystkim trwało w bezruchu rozgwieżdżone niebo. Eleganckie limuzyny podjeżdżały pod ambasadę zabierając gości. Opodal przechadzali się mundurowi policjanci. Panowano nad sytuacją. Jeden z gości zamienił kilka słów z oficerem policji, po chwili wrócił i oznajmił:

— Aresztowali tylko osiem osób. Rozprawa jutro na Bow Street, z samego rana. Ci co zwykle. Petronella, no i

oczywiście Stephen ze swoją bandą. Ci studenci naprawdę mają zdrowie...

— Mieszka pan niedaleko, prawda?
— odezwał się głos tuż za plecami Stafforda. Głęboki kobiecy kontralt.

— Mogę pana podrzucie do domu.

— Ależ nie, dziękuję. To tylko dziesięć minut piechotą.

— Żaden kłopot, zapewniam pana — nalegała hrabina Zerkowski. — Zatrzymałam się w St. James's Tower.

St. James's Tower był jednym z tych nowych, szykownych hoteli w centrum.

— Bardzo miło z pani strony.

Szofer otworzył drzwi wielkiego, drogiego samochodu. Sir Stafford Nye puścił hrabinę przodem i usiadł obok niej na tylnym siedzeniu. Renata Zerkowski podała szoferowi adres Stafforda. Samochód ruszył.

— A więc pani wie, gdzie mieszkam?

— Czemuż by nie? — odparła.

Przez chwilę rozważał w myślach jej odpowiedź. Czemuż by nie, w rzeczy samej.

— Wie pani o tylu sprawach, prawda? Dziękuję, że zechciała pani

zwrócić mój paszport.

— Nie chciałam narażać pana na kłopoty. Bezpieczniej będzie go spalić. Dostał pan nowy, jak sądzę.

— Słusznie pani sądzi.

— Swój płaszcz znajdzie pan w dolnej szufladzie szafy. Poleciałam zanieść go tam dziś wieczorem. Przypuszczałam, że nie chciałby się pan z nim rozstać, a kupienie podobnego byłoby, moim zdaniem, raczej niemożliwe.

— Po tych wszystkich przygodach będzie mi droższy niż kiedykolwiek. Cieszę się, że dobrze spełnił swe

zadanie.

— Ocalił mi życie — odparła hrabina.

Stafford milczał. Przypuszczał, że Renata oczekuje, że będzie zadawał pytania, że będzie chciał za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś więcej. Spodziewała się, że będzie okazywał zainteresowanie, ale Stafford nie zamierzał dać jej tej satysfakcji. Celowo i nie bez pewnej przyjemności przemilczał tę kwestię. Usłyszał jej delikatny śmiech. Nie był to śmiech zakłopotania, raczej uznania.

— Jak się pan bawił na przyjęciu? — spytała.

— Bardzo udane, ale prawdę mówiąc Milly Jean zawsze potrafi urządzić dobre przyjęcie.

— Tak dobrze pan ją zna?

— Poznałem ją w Nowym Jorku, jeszcze zanim została panią ambasadorową. Kieszonkowa Venus.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— To pański termin?

— Prawdę mówiąc, nie. Usłyszałem go od pewnej leciwej damy, mojej krewnej.

— Ach tak. Rzeczywiście nieczęsto

słyszy się dzisiaj tak poetyckie porównania. Przyznaję, że to określenie bardzo do niej pasuje. Chociaż z drugiej strony...

— Tak?

— Wenus jest uwodzicielska, prawda? Ale czy jest również ambitna?

— Uważa pani, że Milly Cortman jest kobietą ambitną?

— Z całą pewnością.

— I myśli pani, że być żoną ambasadora, to jeszcze nie jest szczyt ambicji?

— Oczywiście, że nie. To ledwie początek.

Nic nie odrzekł. Spojrzał przez okno. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Spojrzała na niego ukradkiem, ale nie przerwała ciszy. Dopiero kiedy przejeżdżali przez most na Tamizie, sir Stafford postanowił zareagować.

— Nie odwozi mnie pani do domu, ani też nie jedzie do St. James's Tower. Gdzie mnie pani zabiera?

— Ma pan coś przeciwko temu?

— Szczerze mówiąc, tak. Najwyraźniej porwania są dziś w modzie. Zostałem porwany. Mogę

wiedzieć, dlaczego?

— Ponieważ znów potrzebuję pańskiej pomocy. Zresztą nie tylko ja.

— Doprawdy?

— Nie wygląda pan na zachwyconego.

— Czy nie lepiej było zwyczajnie poprosić?

— Gdybym poprosiła, zgodziłby się pan?

— Może tak, może nie.

— Przepraszam.

Jechali w milczeniu przez noc. Samochód mknął główną szosą. Raz po raz reflektory wyławiały z mroku tablice z nazwami miejscowości, więc Stafford bez trudu mógł się zorientować, gdzie jadą. Przekroczyli granicę Surrey i wjechali do hrabstwa Sussex. Co jakiś czas samochód zjeżdżał z głównych dróg i kluczył wąskimi wiejskimi drózkami. Stafford chciał nawet zapytać, czy hrabina obawia się, że są śledzeni, ale po namyśle zrezygnował. Zamierzał kontynuować swą taktykę milczenia. To do niej należały wyjaśnienia. Jednak Renata postanowiła być enigmatyczna.

Wyjechali z Londynu po przyjęciu samochodem drogiej, ekskluzywnej

marki. To oczywiste, że porwanie było z góry ukartowane. Sprawna, dobrze zorganizowana akcja. Wkrótce miał nadzieję dowiedzieć się, jaki jest cel tej niespodziewanej podróży. Chyba że tajemnicza hrabina planuje podróż promem na kontynent. Haslemere, głosił drogowskaz. Wjechali do Godalming. Bogate rezydencje, wysokie mury otaczające wspaniałe wiejskie posiadłości. Samochód skręcił kilka razy i po chwili Stafford stwierdził, że dotarli do celu. Brama. Przy bramie niewielka stróżówka. Długa aleja wysadzana dobrze utrzymanymi rododendronami. Żwirowany podjazd. — Nowobogacki Tudor — mruknął Stafford pod nosem. Jego towarzyszka

spojrzała pytająco.

— Komentarz — wyjaśnił. — Proszę nie zwracać uwagi. Jesteśmy na miejscu, jak sądzę?

— Nie widzę zachwyty w pańskich oczach.

— No cóż, przyznaję, że ładna posiadłość. Utrzymanie tego wszystkiego musi kosztować majątek. W sumie całkiem miłe miejsce.

— Wygodne, lecz niezbyt piękne. Człowiek, który tu mieszka, przedkłada wygodę nad wszystko inne.

— Możliwe. Ale nie można mu

odmówić pewnego gustu.

Podjechali pod oświetlony ganek. Sir Stafford wysiadł i podał ramię swojej towarzyszce. Szofer wszedł po schodach i nacisnął dzwonek. Spojrzał na hrabinę.

— Nie jestem już dzisiaj potrzebny, proszę pani?

— Nie. Możesz iść spać. Zadzwonię rano.

— Dobranoc pani. Dobranoc panu.

Zapłonęło światło w hallu i drzwi wejściowe otworzyły się. Sir Stafford spodziewał się kamerdynera, lecz miast tego ujrzał wysoką kobietę o posturze

grenadiera. Siwowłosa, o zaciętej twarzy, kompetentna i godna zaufania. Taka pokojówka to prawdziwy skarb w dzisiejszych czasach.

— Obawiam się, że nieco się spóźniliśmy — rzekła Renata.

— Pan czeka w bibliotece. Polecił mi, abym państwa niezwłocznie zaprowadziła na górę.

Rozdział dziewiąty

Posiadłość pod Godalming

Zaprowadziła ich na górę po szerokich schodach. Dom rzeczywiście urządzone był komfortowo. Boazeria z ciemnego dębu, przepiękna rzeźbiona balustrada, stopnie wygodne, nie za wysokie. Obrazy ładne, lecz bez wyraźnej koncepcji w doborze stylu. Dom bogatego człowieka. Człowieka o konwencjonalnych, niewyrafinowanych gustach. Gęsty dywan o wysokim włosie

i miłym dla oka ciemnofioletowym kolorze.

Pokojówka otworzyła drzwi na pierwszym piętrze i przepuściła ich przodem, nie trując się anonsowaniem nazwisk. Stafford wszedł za Renatą. Usłyszał, jak drzwi za plecami zamykają się cicho.

W pokoju były cztery osoby. Za wielkim biurkiem zasłanym papierzyskami, mapami, dokumentami siedział potężny, tęgi mężczyzna. Jego twarz miała niesamowity, żółty kolor. Sir Stafford widział tę twarz już wcześniej, ale nie mógł jej skojarzyć z nazwiskiem. Spotkał tego człowieka przy jakiejś okazji, pamiętał jedynie, że

było to jakieś ważne spotkanie. Znał go na pewno, jednak za nic nie potrafił sobie przypomnieć, kto to taki.

Z pewnym wysiłkiem gospodarz podniósł się zza biurka, by powitać gości. Wyciągnął rękę do hrabiny.

— Dobrze, że jesteście — powiedział.

— Proszę pozwolić, że przedstawię, choć z pewnością panowie się znają. Sir Stafford Nye, pan Robinson.

Naturalnie! Robinson, to nazwisko było mu dobrze znane. Kojarzyło mu się z jeszcze jedną osobą, pułkownikiem Pikeawayem. Przesadą byłoby

twierdzić, że zna Robinsona. Wiedział o nim tyle, ile on sam chciał, by o nim wiedziano. Podobno Robinson to było jego prawdziwe nazwisko, choć niektórzy twierdzili inaczej. Wysokie czoło, smutne ciemne oczy, szerokie, wydatne usta i wielkie białe zęby, prawdopodobnie sztuczne, niemniej jednak zęby jak u wilka z Czerwonego Kapturka.

Stafford wiedział również, kim był Robinson. Dla określenia tego wystarczyło jedno proste słowo. Robinson reprezentował Pieniądz przez duże „P”. Pieniądz w każdym aspekcie tego słowa. Międzynarodowy kapitał, prywatne inwestycje, banki, pożyczki na

wielką, państwową skalę. Przedsięwzięcia przemysłowe, udziały w wielkich spółkach. Jednym słowem reprezentował pieniądź, ale nie w takim sensie, w jakim widzą to słowo przeciętni zjadacze chleba. Trudno go było nazwać bogatym. Oczywiście, miał wielkie dochody, ale to nie miało dla niego znaczenia. On był twórcą pieniądza, jednym z tych, którzy decydują o jego wartości. Na pozór miał niewyrafinowany gust, ale Stafford śmiał w to wątpić. Robinson lubił wygodę, nawet luksus, ale nic ponad to. A więc za tym tajemniczym przedsięwzięciem stoją duże pieniądze, pomyślał.

— Słyszałem o panu ostatnio — rzekł Robinson. — Od naszego wspólnego przyjaciela, pułkownika Pikeawaya.

Wszystko zatem się zgadzało. Teraz sobie przypomniał, że kiedy spotkał Robinsona, Pikeaway był również obecny. Horsham również wspominał o Robinsonie. Tak więc z jednej strony mamy Robinsona i pułkownika Pikeawaya, pomyślał. Do tego Mary Ann (lub, jak kto woli, hrabina Renata Zerkowski). Pieniądz, władza i operatywność. Spojrzał w głąb pomieszczenia, w kierunku pozostałych trzech mężczyzn. Był ciekaw, kim są i czy łatwo mu będzie zgadnąć, kogo lub co reprezentują.

W przypadku pierwszych dwóch nie musiał zgadywać. Człowiek w wysokim wózku inwalidzkim siedzący przy kominku był powszechnie znany w całej Anglii. Wszyscy go znali, choć ostatnimi czasy nie występował publicznie. Był stary i schorowany. Mówili, że każde publiczne wystąpienie przyplacał wielkim bólem. Lord Altamount. Wychudła twarz, blada cera, pokaźny nos, siwe włosy lekko cofnięte na skroniach, spływające gęstą falą z tyłu. Nieco odstające uszy, które tak chętnie wykorzystywano w karykaturach, i głębokie spojrzenie, które nie tyle patrzyło, co przewiercało na wylot. Teraz te bystre, przenikliwe oczy były wbite w sir Stafforda. Nye podszedł

bliżej i uścisnął wyciągniętą dłoń starca.

— Proszę wybaczyć, że nie wstaję — rzekł lord Altamount. — Kręgosłup nie pozwala. Podobno był pan na Malajach?

— Tak.

— I co, warto było jechać tak daleko? Pan zapewne myśli, że nie warto. Ale cóż, takie jest życie dyplomaty. Oczekują od nas, byśmy kryli swe kłamstwa w tysiącach zbędnych ozdobników. Cieszę się, że mógł pan się u nas zjawić. Zresztą, jak znam Mary Ann, nie miał pan wyboru.

Zatem nie tylko Horsham znał ją jako Mary Ann, stwierdził Stafford. To

dowodziło, że dziewczyna pełni w tej grupie istotną rolę. Lord Altamount. Postać równie ważna, ba, o wiele ważniejsza niż Robinson. Altamount bowiem reprezentował państwo, władzę. Był nieomal symbolem Anglii i pozostanie nim po kres swych dni, póki jego doczesne szczątki nie spoczną w Westminster Abbey u boku innych sławnych polityków. Altamount wiedział wszystko o każdym, nawet najmniej znacznym urzędniku państwowym. Potrafił na pierwszy rzut oka ocenić wartość polityczną człowieka nie zamieniwszy z nim nawet słowa.

— To jest sir James Kleek — rzekł

Altamount. Stafford widział go pierwszy raz. Nigdy o nim nie słyszał. Sir James był typem niespokojnym i ruchliwym. Jego wzrok nieustannie błędził po pomieszczeniu nie spoczywając na niczym dłużej niż parę sekund. Wyglądał jak wierny pies myśliwski czekający na komendę. Gotów zerwać się na najmniejszy gest swego pana.

Kto był jego panem? Robinson czy Altamount?

Stafford zerknął na czwartego mężczyznę, który powstał z krzesła i wyciągnął rękę na powitanie. Bujny wąs, uniesione brwi, spokojna, nieruchoma twarz. Stafford poznał go bez trudu.

— Pan Horsham — rzekł. — Witam.

— Miło mi pana widzieć, sir.

Cóż za interesujący zestaw, pomyślał Stafford.

Renata przyjęła podsunięte krzesło. Usiadła przy kominku, tuż obok lorda Altamount. Starzec ujął jej dłoń w swoje dłonie.

— Niepokoję się o ciebie, moja droga. Tak bardzo ryzykujesz...

Dziewczyna odparła: — Ty mnie tego nauczyłeś. Nie potrafię żyć inaczej.

Lord Altamount podniósł wzrok na Stafforda.

— Ale muszę przyznać, że na ludziach znasz się lepiej niż ja. Potrafisz dobierać sobie współpracowników. Znam pańską ciotkę, miody człowieku — zwrócił się do Nye'a. — Czy może babkę...

— Lady Matyldę Cleckheaton?

— Tak. Cudowna osoba. Ma chyba z dziewięćdziesiątkę. Jedna z tych niezmordowanych wiktoriańskich dam. Ostatnio rzadko się widujemy, nie więcej niż dwa razy w roku, lecz ilekroć ją widzę, nie mogę nadziwić się tej niespożytej energii w tak wątłym

przecież ciebie. Zazdroszczę jej tego, proszę mi wierzyć.

— Napije się pan czegoś, Nye? — spytał sir James Kleek.

— Ginu z tonikiem, jeśli łaska. Hrabina odmówiła ruchem głowy.

James Kleek podał mu szklaneczkę. Stafford sączył drinka leniwie. Nie zamierzał odzywać się jako pierwszy. Wreszcie Robinson zdecydował się przerwać milczenie.

— Nie ma pan żadnych pytań, sir Staffordzie?

— Mam — odrzekł Stafford. —

Tysiące. Jednak czy nie lepiej byłoby usłyszeć wyjaśnienia, zaś pytania zostawić na potem?

— Skoro pan tak uważa...

— To znacznie uprości sprawę.

— Dobrze więc. Zaczniemy od kilku prostych faktów. Nie wiem, czy przybył pan tutaj z własnej woli, choć mam powody przypuszczać, że raczej nie.

— Zostałem porwany. Muszę jednak przyznać, że z fantazją i w pięknym stylu.

— Co niewątpliwie rodzi w pańskim umyśle szereg pytań, czyż nie? — rzekł

Robinson.

— Ściśle mówiąc, jedno. Dlaczego?

— Otóż to. Dlaczego. Podziwiani pańską oszczędność w słowach. Osoby zebrane tu dzisiaj tworzą coś w rodzaju komisji. Komisji, która ma na celu zbadać przyczyny pewnych, nazwijmy to, zjawisk życia publicznego. Zjawisk o zasięgu międzynarodowym.

— Brzmi interesująco — odparł Stafford.

— To jest więcej, niż interesujące — włączył się lord Altamount. — To kwestia szczególnie ważka i paląca. Osoby zebrane w tym pokoju

reprezentują cztery różne strony życia publicznego. Ja sam wprawdzie wycofałem się już z aktywnego uczestnictwa w sprawach wagi państwowej, ale mam honor pełnić od czasu do czasu zaszczytną rolę konsultanta i doradcy wielu ważnych osób. Poproszono mnie, bym prezydował w tym szczególnym zebraniu. Naszym celem jest zbadać, co leży u podstaw pewnych niepokojących tendencji. James, moja prawa ręka, wtajemniczy pana w szczegóły.

Pies gończy z ochotą ruszył do akcji. Nareszcie, zdawały się mówić jego oczy, nareszcie! Sir James pochylił się w swoim krześle.

— Wszystkie rzeczy muszą mieć swoją przyczynę — zaczął. — Nietrudno jest dostrzec objawy, ale pan przewodniczący — tu skinął głową w kierunku lorda Altamount — pan Robinson oraz pan Horsham uważają, iż nie one są istotne. Spróbujmy sobie uzmysłwić pewien mechanizm. Weźmy jakąś siłę sprawczą, źródło energii. Silny strumień wody, która napędza turbinę. Uran, który kryje w sobie niespożyta moc. Kiedy człowiek nauczył się wykorzystywać węgiel i inne minerały, stwierdził, że ma nieograniczoną moc. Tak jest wszędzie. Na każdym kroku spotyka się siły, które niosą z sobą pewne korzyści. Lecz za każdą z tych sił stoi *ktoś, kto ją*

kontroluje. Musimy odkryć, kto kryje się za tą siłą, która zdobywa sobie coraz większe rzesze zwolenników. I to nie tylko w tym kraju, nie tylko w Europie, lecz na całym świecie. Musimy zbadać przyczynę, która ją zrodziła, musimy dowiedzieć się, co wprawia w ruch tę maszynę. Jedną z rzeczy, które są zdolne poruszać tryby historii, jest *pieniądz*.

Tu spojrzął na Robinsona.

— Pan Robinson jest jednym z największych autorytetów na świecie, jeśli idzie o pieniądze.

— Sprawa jest prosta — dodał Robinson. — Tak wielkie

przedsięwzięcia, tak poważne ruchy społeczne muszą być jakoś finansowane. Przez kogo? Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Kto za tym stoi? Skąd pochodzi kapitał? Którędy wędruje? James mówi prawdę, bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że wiem o pieniądzach wszystko.

— Poza tym są jeszcze trendy — podjął James.

— To słowo jest ostatnio bardzo modne. Trendy, tendencje, nazwijmy to, jak chcemy. Wprawdzie to nie to samo, ale znaczenie jest podobne. Występują zatem pewne tendencje do buntu. Niech pan spojrzy wstecz. Takie nastroje rodzą się okresowo, występują co jakiś czas

poprzedzone typowymi oznakami. To wzór, który trudno pomylić z innymi. Dążenie do buntu. Żądza niszczenia. Rewolucja, jej sposoby, jej oznaki. To nie jest sprawa charakterystyczna dla danej kultury, dla danego kraju. To jest jak epidemia, która nie zna granic. Czy nie tak, milordzie? Staram się wiernie powtarzać pańskie słowa.

— Doskonale, mój drogi — rzucił lord Altamount.

— Mów dalej.

— To jest wzór, nieuchronny schemat, który powtarza się bardzo często w naszej historii. Nietrudno go rozpoznać. W średniowieczu ludzi ogarnęła pasja

krucjat. W całej Europie tysiące rycerzy ruszyło, by wyzwalać grób Jezusa z rak niewiernych. To była idea, która poruszała tłumy, doskonały przykład powstawania pewnych wzorów. Rzesza historyków szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego, z jakich powodów pojawiają się takie zachowania? Nie zawsze zresztą chodzi o przyczyny materialne. Bunt rodzi się z wielu rozmaitych powodów: sprzeciw wobec tyranii, walka o wolność słowa, o sposób, wyznawania wiary. Wszystkie te idee mogą być pretekstem do rebelii. Potrafią nakłonić ludzi do walki zbrojnej, do emigracji, do tworzenia nowych religii, które często okazują się o wiele bardziej bezwzględne niż te,

które leżały u źródeł sprzeciwu. Pod pewnymi względami przypomina to chorobę zakaźną. Wirus może przekraczać granice, przedostawać się przez oceany i łańcuchy górskie. Nic go nie powstrzyma. Zdaje się siłą samą w sobie. Ale czy tak jest naprawdę? Coś musiało powołać go do istnienia. Podobnie jest z ideami. Coś musi być u ich źródła. Powiem więcej, za ideami stoją ludzie. Jeden człowiek lub grupa ludzi, którzy zdolni są podsunąć tłumom ideę i uruchomić tę potężną maszynę. Tak więc nie należy leczyć objawów, lecz trzeba dotrzeć do przyczyny, do siły sprawczej, do ludzi, którzy rozpowszechniają niezdrowe nastroje. Krucjaty, fanatyzm religijny, rewolucje

— to jedynie objawy. Trzeba dotrzeć do sedna problemu, uderzyć w zarodek. Za tymi wzorami zachowań kryją się idee, wizje, marzenia. Rację miał prorok Joel, kiedy mówił: „starcy wasi będą śnili, a młodzieńcy wasi będą mieli widzenia”! Sny nie są destruktywne, natomiast wizje — te mogą otworzyć przed nami nowe światy, ale potrafią również niszczyć zastany porządek rzeczy.

James Kleek zwrócił się nagle w stronę lorda Altamount. — Nie wiem, czy wiąże się to z lematem, sir, ale opowiadał mi pan kiedyś historię pewnej kobiety z ambasady w Berlinie...

— Ach, to! Tak, pamiętam, że bardzo

mnie to podówczas zaintrygowało. Rzeczywiście, ta sprawa rzuci nieco światła. Jedna z kobiet w berlińskiej ambasadzie, żona pewnego dyplomaty, postanowiła kiedyś obejrzeć na własne oczy przemówienie Hitlera. Było to tuż przed wojną. To była młoda kobieta, bardzo inteligentna, wykształcona. Chciała sprawdzić, ile prawdy kryje się w zachwytach nad oratorskim talentem führera. Poszła zatem i po powrocie rzekła mi: „Ach, to naprawdę było wspaniałe. Nigdy bym nie uwierzyła. Wprawdzie mój niemiecki jest cokolwiek słaby, jednak mnie porwało. Teraz rozumiem, na czym polega jego wielkość. Jego pomysły były wspaniałe. Słuchałam go i w pewnej chwili zdałam

sobie sprawę, że mówi o rzeczach oczywistych, że to jedyna droga i nie ma innej, że ten człowiek zdolny jest zbudować nowy świat, jeśli pójdą za nim. Wie pan, nie potrafię tego teraz przekazać, spróbuję zapisać to, co mówił, i dam panu do przeczytania”. Powiedziałem jej, że to znakomity pomysł. Następnego dnia przyszła do mnie i mówi: „Nie wiem, czy pan w to uwierzy. Chciałam to wszystko zapisać, ale nagle *stwierdziłam, że nie mam o czym pisać*. To przerażające, odkryłam, że *nie potrafię przypomnieć sobie ani jednego sensownego zdania*. Mam tu parę oderwanych słów i myśli, ale one nic nie znaczą. Nie rozumiem, co się stało”. To, moi drodzy, dowodzi czegoś,

z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Otóż są ludzie, którzy potrafią uzewnętrznić swe własne emocje, swój entuzjazm, swoją wizję świata. Są w stanie przekazać słuchaczom; swoje uczucia, ale nie jest istotne to, co mówią, nie chodzi tu o słowa. Mają szczególną moc hipnotyzowania tłumów, porywania ich za sobą. Nie wiem, czy to ton głosu, gesty, czy może jakaś tajemna moc promieniująca bezpośrednio z ich ciał. Nie wiem, co to jest, ale wiem jedno. To coś istnieje. Tacy ludzie dysponują jakąś zadziwiającą mocą. Tak duchowi przywódcy, wielcy nauczyciele wiary, jak i ludzie podli. Wiara rodzi się tam, gdzie jest ktoś, kto potrafi dotrzeć do serc milionów. Obiecuj nowe

niebo i nową ziemię, a ludzie pójdą za tobą na śmierć.

Ściszył głos prawie do szeptu i dodał:
— Jan Smuts powiedział kiedyś:
„Władza jest wielką siłą twórczą, lecz
niekiedy bywa diaboliczna.”

Stafford Nye poprawił się w krześle.

— Rozumiem panów doskonale. To
bardzo interesujący wykład, lecz nie
potrafię stwierdzić, ile w nim prawdy.

— Sądzi pan, że przesadzam?

— To niezupełnie tak — odparł
Stafford. — Czasem coś, co wygląda na
przesadzone, okazuje się prawdziwe.

Uznajemy to za przesadę, bo nigdy wcześniej nie przyszło nam to do głowy. To, co usłyszałem, brzmi tak niewiarygodnie, że nie pozostaje mi nic innego, jak uwierzyć, że tak jest w istocie. Męczy mnie inna wątpliwość. Jeżeli to prawda, co pozostaje nam czynić?

— Jeśli mamy jakiegokolwiek podejrzenia — powiedział lord Altamount — jedyne, co można zrobić, to sprawdzić, w jakim stopniu są słuszne. Musimy się dowiedzieć, skąd ci ludzie czerpią fundusze, skąd czerpią idee. Kto napędza ten *mechanizm*? Właśnie to próbujemy odkryć. Chcielibyśmy prosić pana o pomoc w

tym dziele.

Był to jeden z tych nielicznych momentów, w których zdarzyło się sir Staffordowi wpaść w prawdziwe, niekłamane osłupienie. Zazwyczaj potrafił ukrywać swe reakcje, lecz tym razem nie wiedział wprost, co ma powiedzieć. Spoglądał na zebrane w pokoju osoby. Na Robinsona i jego beznamiętną żółtą twarz, na Jamesa Kleeka, który siedział szczęśliwy z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, na lorda Altamount, z jego siwą głową obramowaną wysokim oparciem wózka. Światło w pokoju było skąpe. W migotliwym blasku padającym z kominka starzec wyglądał jak

marmurowy posąg świętego w niszy gotyckiej katedry. Ascetyczny. Nie z tej epoki. Wielki człowiek. O tak, Altamount był jednym z wielkich ludzi przeszłości. Stafford nie wątpił w to ani przez chwilę, lecz wiedział też, że czasy tego polityka dawno już odeszły w mrok dziejów. Teraz był to stary, schorowany człowiek. Stąd pewnie niezawodna opiekuńcza obecność Kleeka. Stafford przeniósł wzrok na chłodną, enigmatyczną kobietę, która przywiodła go w to miejsce. Hrabina Renata Zerkowski, alias Mary Ann, alias Daphne Theodofanus. Jej twarz nie powiedziała mu nic. Renata nie spoglądała nawet w jego stronę. W końcu jego oczy zatrzymały się na

Horshamie.

Ze zdumieniem stwierdził, że Henry Horsham z Security uśmiecha się do niego szelmowsko.

— Nie, no słuchajcie... — Stafford Nye porzucił formalny ton. — Czemu ja, na miłość boską? Przecież ja nic nie wiem! Szczerze mówiąc nie jestem nawet dobrym dyplomata. W Foreign Office mają o mnie nie najlepsze zdanie.

— Wiemy — rzekł lord Altamount. Z kolei James Kleek się uśmiechnął.

— To nawet i lepiej — powiedział. Czując na sobie ostrzegawcze spojrzenie lorda Altamount dodał pośpiesznie: —

Przepraszam, sir.

— Dla nas — włączył się Robinson — nie jest istotne, co pan robił wcześniej ani co sądzą o panu inni. Nasza komisja ma przed sobą określone cele. Jest nas niewielu. Zwracamy się do pana z prośbą o pomoc, gdyż uważamy, że posiada pan określone cechy, które mogą okazać się przydatne w naszej pracy.

Sir Stafford spojrział na Horshama. — A pan co na to powie? Nie mogę uwierzyć, że i pan tak uważa.

— Czemu nie? — odparł Horsham.

— Co to za cechy, o których

mówicie? Nawet ja sam nie znajduję w sobie żadnych przydatnych cech.

— Nie jest pan łatwowierny — rzekł Horsham. — Oto najważniejsza cecha. Należy pan do tych, którzy potrafią z miejsca przejrzeć oszustwo. Brak panu respektu wobec powszechnie uznanych wartości.

Ce riest pas un garçon sérieux, przemknęło mu przez myśl. Cóż za osobliwy powód, by powierzyć mi odpowiedzialną misję.

— Muszę was ostrzec — powiedział. — Powszechnie wiadomo, że mam także pewną złą cechę, która kosztowała mnie już niejedną posadę. Otóż jestem, jakby

to ująć, zbyt mało odpowiedzialny.

— Proszę mi wierzyć — rzucił Horsham — że to jedna z cech, dla których wybraliśmy właśnie pana. Nieprawdaż, milordzie? — spojrzał na lorda Altamount.

— Niech pan posłucha opinii starego wyjadacza, młody człowieku — rzekł lord Altamount. — Jedną z podstawowych wad ludzi na wysokich stanowiskach jest to, że biorą siebie zbyt poważnie. Poza tym Mary Ann ręczy za pana.

A więc hrabina Zerkowski była znowu Mary Ann. Stafford spojrzał na nią.

— Proszę wybaczyć śmiałość — rzekł — ale kim pani jest naprawdę? To znaczy, czy jest pani prawdziwą hrabiną?

— Najprawdziwszą. Geboren, jak mówią Niemcy. Mój ojciec był arystokratą, zapalonym myśliwym i właścicielem romantycznego, choć nieco podupadłego zameczku w Bawarii. Mam szerokie koneksje wśród znakomitych europejskich rodów. Europa wciąż nie jest wolna od snobizmu, ciągle jeszcze każde drzwi otwierają się przed zubożałą hrabiną, podczas gdy bogate Amerykanki z milionami na kontach trzymane są w przedpokojach .

— A Daphne Theodofanus?

— Praktyczne nazwisko do paszportu. Moja matka była Greczynką.

— A Mary Ann?

Uśmiechnęła się. Był to pierwszy uśmiech, który Stafford ujrzał na jej twarzy.

— To pewnie dlatego — odparła — że traktują mnie tu jak pomoc do wszystkiego. Pojedź tu. pojedź tam, zrób to, zrób tamto. Prawda, wujaszku? — spojrzała na lorda Altamount.

— Dokładnie, moja droga. Dla nas zawsze będziesz Mary Ann.

— Wtedy na lotnisku, czy przewoziła pani coś ważnego?

— Tak. Pewne osoby wiedziały, że to przewożę. Gdyby nie pańska pomoc, no cóż, mogłoby mnie tu dzisiaj nie być. Wypadki chodzą po ludziach, jak pan wie.

— Co pani wiozła? A może nie powinienem pytać? Czy są rzeczy, których nigdy się nie dowiem?

— Jest mnóstwo takich rzeczy. Rzeczy, których się pan nie dowie, rzeczy, o które nie będzie pan mógł zapytać. Ale sądzę, że na to pytanie mogę panu odpowiedzieć. Jeżeli oczywiście zgodzą się inni — ponownie

spojrzała na swego wuja.

— Ufam twym sądom — rzekł starzec.

— Ja też uważam, że powinien wiedzieć — dodał Horsham. — Ja bym mu nie mówił, ale ja jestem przecież z Security. Powiedz mu, Mary Ann.

— Tylko jedno zdanie. Wiozłam metrykę. Tylko tyle. Więcej się pan nie dowie, więc proszę nie pytać.

Stafford Nye spojrział po zgromadzonych.

— No dobrze — rzekł. — Zgadzam się. Pochlebia mi wasza propozycja. Co mam robić?

— Pan i ja — powiedziała Renata — wyjedziemy jutro rano. Pojedziemy na kontynent. Pewnie pan słyszał, że w Bawarii odbywa się teraz festiwal muzyczny. To dosyć nowa impreza, pojawiła się dwa lata temu. Ma niemiecką nazwę, która w tłumaczeniu znaczy tyle, co „Stowarzyszenie Młodych Śpiewaków”. Festiwal jest wspierany przez rządy kilku krajów. Pomyślano go jako przeciwwagę tradycyjnych spotkań w Bayreuth. Większość kompozycji to muzyka współczesna, szansa dla młodych twórców, którzy mogą zademonstrować swoje dzieła. Jedni uważają ten festiwal za wydarzenie, inni zaś mają o nim jak najgorszą opinię.

— Owszem, czytałem o tym — odrzekł Stafford. — Czy właśnie tam się wybieramy?

— Mamy bilety na dwa wieczory muzyczne.

— Czy ten festiwal ma coś wspólnego z naszymi poszukiwaniami?

— Nie — odparła Renata. — To tylko preludium do następnego etapu naszej podróży.

Spojrzał na pozostałych. — Jakieś instrukcje? — zapytał. — Czy dostanę rozkazy w zapieczętowanej kopercie?

— Jest niezupełnie tak, jak pan sobie

wyobraża. Pana zadaniem jest odkrywanie. W trakcie podróży będzie pan zbierał informacje. Pojedzie pan pod własnym nazwiskiem, wiedząc tylko tyle, ile wie pan teraz. Będzie pan po prostu młodym człowiekiem, zmęczonym pracą w służbie dyplomatycznej, który przyjechał na festiwal z racji swych zainteresowań muzyką współczesną. Nie musi pan wiedzieć nic ponad to. Tak będzie bezpieczniej.

— Tylko tyle? Będziemy się ograniczać do Bawarii?

— Bawaria jest jednym z punktów naszych zainteresowań.

— Ale nie jedynym?

— Nie. Na świecie jest sporo takich miejsc. Jak dalece są one ważne? Mam nadzieję, że pan dostarczy nam informacji na ten temat.

— Od was zatem nie dowiem się niczego?

— Możemy podać tylko ogólne zarysy. Jeden z ośrodków, w naszym przekonaniu najważniejszy, mieści się w Ameryce Południowej. Wiemy również o dwóch w USA: jeden jest w Kalifornii, drugi w Baltimore. Poza tym Szwecja. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wzrosła aktywność na terenie Włoch. Niewielkie centra mieszczą się w Hiszpanii i Portugalii. Oczywiście Paryż. Poza tym cała masa niewielkich

ośrodków, które, można powiedzieć, dopiero wchodzą na arenę.

— Ma pani na myśli Wietnam i Malaje?

— Nie, nie. To już nie gra roli. To było dobre jako pretekst do wystąpień antywojennych. Musi pan zrozumieć, że interesuje nas zorganizowany ruch młodzieży przeciwko rządowi, obyczajom, bardzo często również przeciw wierze, w której została wychowana. Ten zataczający coraz szersze kręgi kultu permissywizmu i z drugiej strony przemocy. Przemoc nie jest tu bynajmniej metodą zdobywania funduszy, lecz raczej sztuką dla sztuki.

To jest właśnie największe niebezpieczeństwo.

— A permissywizm i narkotyki?

— Kult narkotyków został celowo wykreowany. Wprawdzie wielu zrobiło fortuny na handlu narkotykami, ale sądzimy, że motyw finansowy odgrywa tu drugorzędną rolę.

Wszyscy spojrzeli na Robinsona, który z wolna pokiwał głową.

— Zgadza się — rzekł. — Pozory zdają się sugerować, że chodzi o pieniądze. Policja zatrzymuje handlarzy, próbuje dotrzeć do grubych ryb. Ale za sprawą narkotyków kryje się coś

więcej. Zgoda, to znakomity interes, ale jest w tym jeszcze coś.

— Ale kto...? — zaczął Stafford.

— Kto, kiedy, jak, dlaczego — przerwał mu Robinson. — To są pytania, na które nie mamy odpowiedzi. I to jest pańskie zadanie. Pan musi się tego dowiedzieć. Pan i Mary Ann. To nie będzie łatwe, a jeszcze trudniejsze będzie dochowanie tajemnicy. Proszę o tym pamiętać.

Stafford Nye zmierzył wzrokiem Robinsona. Być może tu właśnie tkwiła tajemnica sukcesu bankiera. Sekret polegał na trzymaniu języka za zębami. Robinson uśmiechnął się, jakby chciał

pokazać, że ma za czym trzymać swój język.

— Kiedy człowiek ma ważne informacje — podjął — łatwo może ulec pokusie. Nie idzie wcale o to, że chce o nich mówić, że chce je sprzedać lub zdradzić. Pragnie zwyczajnie pokazać, że jest kimś ważnym, że wie coś, czego inni nie wiedzą. To takie proste, że aż banalne. Prawdę mówiąc — Robinson zmrużył oczy — wszystko na tym świecie jest banalnie proste. Tego właśnie ludzie nie potrafią pojąć.

Renata podniosła się z krzesła, Stafford poszedł za jej przykładem.

— Życzę miłych snów — rzekł

Robinson. — Mam nadzieję, że spędzą państwo tę noc wygodnie i spokojnie.

Stafford nie zdążył stwierdzić, czy jego łóżko jest wygodne. Ledwie złożył głowę na poduszce, zasnął jak zabity.

Księga druga
Młody Zygfryd

Rozdział dziesiąty

Der Schloss

Wyszli z sali koncertowej prosto w orzeźwiający chłód wieczoru. Nisko w dole widać było światła restauracji. Na zboczu wzgórza była druga, mniejsza gospoda. Ceny w obu przybytkach różniły się nieco, lecz obie były raczej drogie. Renata miała na sobie czarną suknię z aksamitu, Stafford był we fraku i w białym krawacie.

— Cóż za wyrafinowane towarzystwo — mruknał. — Muszą mieć mnóstwo pieniędzy. I pomyśleć, że większość z nich nie przekroczyła jeszcze

trzydziestki.

— Zadbano o to.

— Subsydia dla elity młodzieży?

— Coś w tym guście.

Szli w kierunku gospody na zboczu.

— Ile mamy czasu?

— Przerwa trwa godzinę, ale myślę, że spokojnie możemy doliczyć jeszcze kwadrans.

— Odniosłem wrażenie, że ci młodzi ludzie na widowni są prawdziwymi miłośnikami sztuki.

— Owszem. To bardzo ważne.

— Co przez to rozumiesz?

— Entuzjazm musi być niekłamany. I to po obu stronach sceny.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Ci, którzy organizują i praktykują przemoc, powinni kochać przemoc, pragnąć jej, tęsknić za nią.

Ekstaza w każdym akcie bestialstwa. Tak samo jest z muzyką. Słuchacz musi chłonąć każdy najdrobniejszy fragment harmonii. W tej grze nie ma miejsca na pozory.

— Czy można wiązać te dwie sprawy? Sądzisz, że da się połączyć żądze niszczenia z miłością do muzyki, do sztuki?

— To nie zawsze jest łatwe, ale myślę, że tak. Są tacy, którzy to potrafią. Bezpieczniej jest jednak, gdy nie muszą grać kilku ról jednocześnie.

— Banalna prostota, jak by ujął to nasz przyjaciel, Robinson. Niech terroryści kochają przemoc, zaś melomani muzykę. To chciałaś powiedzieć?

— Tak.

— Bardzo mi się tu podoba. Te dwa

wieczory muzyki to prawdziwa uczta dla melomana. Wprawdzie nie wszystkie produkcje przypadły mi do gustu, ale widać nie jestem wystarczająco nowoczesny. Szczególnie interesujące są stroje.

— Mówisz o kostiumach?

— Nie. Mam na myśli widownię. Ty i ja nie pasujemy do otoczenia w tych staromodnych, tradycyjnych strojach wieczorowych. Frak jest niewygodny i niepraktyczny. Spójrz na tę młodzież. Te jedwabie, te marszczone koszule, koronki, awangardowe luksusy wzorujące się na modzie dziewiętnastowiecznej, a nawet sięgające do wzorów elżbietańskich,

spójrz na te fryzury jak z van Dycka.

— Tak, masz rację.

— Ani trochę nie jestem bliższy rozwiązania. Niczego się nie dowiedziałem, niczego nie odkryłem, jestem w punkcie wyjścia.

— Cierpliwości. To jest festiwal dla bogatych, przeznaczony dla młodzieży i dotowany przez...

— Przez kogo?

— Tego nie wiemy. Ale z czasem będziemy mogli odpowiedzieć na to pytanie.

— Twoja pewność siebie poprawia mi humor.

Weszli do restauracji i usiedli przy jednym ze stolików. Jedzenie było dobre, acz niewyszukane. Stafford spotkał kilku starych znajomych, którzy wyrazili zdumienie i radość ze spotkania, lecz nie wdawali się w dłuższą rozmowę. Renata miała szersze grono znajomych, w większości Niemców i Austriaków, choć zdarzali się również Amerykanie. Rozmowy były krótkie i zdawkowe, wymieniano uprzejmości i opinie o programie muzycznym. Wszyscy spieszyli się, by nie opuścić następnego koncertu.

Po kolacji wrócili do sali

koncertowej na finał wieczoru. Najpierw odegrano poemat symfoniczny młodego zdolnego kompozytora o nazwisku Solukonow, zatytułowany *Radość dezintegracji*, a potem rozległy się dumne tony marsza ze *Śpiewaków norymberskich*.

Po zakończeniu koncertu wyszli na ulicę, gdzie czekała na nich wynajęta limuzyna. Samochód zatrzymał się przy niewielkim, ale ekskluzywnym hoteliku na skraju miasta. Stafford życzył Renacie dobrej nocy. Na odchodnym dziewczyna szepnęła mu do ucha:

— Pamiętaj, czwarta rano. Nie zaśpij.

Każde z nich ruszyło do swego

pokoju.

Dokładnie trzy minuty przed czwartą Stafford usłyszał delikatne skrobanie w drzwi. Staął w progu, gotowy do drogi.

— Samochód czeka — szepnęła. —
Chodź.

Obiad zjedli w małej górskiej gospodzie. Pogoda była wspaniała. Stafford od czasu do czasu zastanawiał się, co u diabła robi w tym zapomnianym przez Boga zakątku. Powoli przestawał rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Renata nie była rozmowna. Złapał się na tym, że

wpatruje się w jej profil. Gdzie ona go wiezie? Jakie ma plany? Wreszcie, kiedy słońce zaczynało już znikać za horyzontem, zdecydował się przerwać ciszę.

— Mogę zapytać, dokąd jedziemy?

— Zapytać możesz — odparła.

— Ale mi nie powiesz, tak?

— Mogłabym. Mogę powiedzieć ci wiele rzeczy, ale co z tego zrozumiesz? Wolałabym nie wtajemniczać cię w to, co zobaczysz. W ten sposób twoje wnioski będą o wiele bardziej cenne.

Spojrzał na nią zamyślony. Miała na

sobie elegancki płaszcz wełniany, podszyty futrem. Wyglądał jak z najdroższego magazynu w Paryżu.

— Mary Ann... — zaczął.

— Już nie — przerwała. — Teraz jestem hrabiną Zerkowski.

— Rozumiem. Twoje rodzinne strony?

— Mniej więcej. Wychowałam się w tej okolicy. Ojciec miał niedaleko stąd mały, jak to nazywamy, Schloss, do którego przyjeżdżaliśmy każdej jesieni.

Uśmiechnął się. — *Schloss*. Ładne słowo. Brzmi tak solidnie.

— W dzisiejszych czasach Schlösser nie są już takie solidne jak kiedyś. Większość to ruiny.

— To tu Hitler przyjeżdżał na odpoczynek?

— Tak. Berchtesgaden leży kilka mil na północ.

— Czy twoi krewni, znajomi akceptowali Hitlera? Czy wierzyli w niego? Przepraszam, jeśli poruszam drażliwe kwestie.

— Nienawidzili go i wszystkiego, czego był symbolem. Ale mówili „Heil Hitler”, jak każdy. Godzili się na to, co działo się w ich kraju. Co mieli robić?

Czy ktokolwiek wtedy mógł coś zrobić?

— Te góry to Dolomity?

— Jakie to ma znaczenie?

— Przecież jestem na wycieczce poznawczej, prawda?

— Tak, ale nie geografia jest naszym głównym przedmiotem zainteresowania. Jedziemy spotkać się z ważną osobistością.

— Czuję się tak — Stafford spojrział za okno na nagie, posępne szczyty — jakbyśmy jechali z wizytą do Starca z Gór.

— Mistrz assasynów, który odurzał swych żołnierzy narkotykami, by szli na śmierć w obronie świętej wiary. Kochali go jak ojca, i choć wiedzieli, że zginą, wierzyli, że po śmierci znajdą się w muzułmańskim raju, gdzie będą hurysy, haszysz i erotyczne sny, gdzie ich dusze zaznają wiecznego szczęścia.

Urwała na chwilę, po czym dodała z rosnącym gniewem:

— Wizjonerzy i oszuści. Zawsze byli, w każdej epoce. Ludzie, którzy kazali innym wierzyć w swe posłannictwo, dla których ginęły tysiące. Nie tylko assasyni. Także chrześcijanie.

— Święci męczennicy? Na przykład

lord Altamount?

— Czemu on ci przyszedł na myśl?

— Tak go jakoś widzę. Tego wieczoru wyglądał jak wyryty w kamieniu w trzynastowiecznej katedrze.

— Tak. W tej walce może polec wielu. Może nawet jedno z nas.

Chciał coś powiedzieć, lecz nie dała mu dojść do słowa:

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której często myślę. Pamiętasz ten werset z Nowego Testamentu? Łukasz, o ile dobrze pamiętam. Podczas Ostatniej Wieczerzy Chrystus powiedział: „Lecz

oto ręka mojego zdrajcy jest ze Mną na stole”. Boję się, że jeden z nas jest zdrajcą.

— Czy to możliwe?

— Nawet bardzo prawdopodobne. Ktoś, kogo darzymy zaufaniem, zasypia co dzień marząc nie o męczeństwie, lecz o trzydziestu srebrnikach.

— Chciwość?

— Ambicja jest lepszym słowem. Jak poznać zdrajcę? Szatan ma wiele postaci, ale wyróżnia się spośród tłumu swoją chęcią przewodzenia.

Przez chwilę siedziała pogrążona w

milczeniu.

— Moja znajoma opowiadała mi kiedyś, że widziała Pasję w Oberammergau. Po spektaklu powiedziała do towarzyszącej jej Niemki, jak bardzo poruszyło ją to widowisko. Niemka zaś powiedziała jej: „Wy, obcokrajowcy, nie rozumiecie Niemców. My nie potrzebujemy Jezusa Chrystusa. My, Niemcy mamy swojego führera. Kimże jest Jezus w porównaniu z Hitlerem?” Ta Niemka była prostą, zwyczajną kobietą. Ale tak właśnie czuła. Hitler był wizjonerem. Mówił, a tysiące słuchały jego słów i akceptowały okrucieństwa, komory gazowe, tortury Gestapo...

Wzruszyła ramionami, po czym dodała spokojniejszym głosem: — Tak czy inaczej to dziwne, że wspomniałeś Starca z Gór.

— Chcesz powiedzieć, że taki ktoś istnieje?

— Nie tyle Starzec z Gór, co raczej Stara Kobieta z Gór.

— Stara Kobieta z Gór. Kto to taki?

— Przekonasz się jeszcze dziś.

— Jakie mamy plany na dziś wieczór?

— Mamy zamiar złożyć wizytę towarzyską.

— Dochodzę do wniosku, że patrzenie z góry na innych wpływa źle na moralność.

— Mówisz o wyższych sferach?

— Nie, mówię w kategoriach czysto geograficznych. Jeżeli mieszkasz w zaniku na szczycie wysokiej góry, zaczynasz pogardzać prostymi ludźmi hen. w dole. Czujesz się wielka niczym Bóg. Tak właśnie czuł się Hitler patrząc z okien Berchtesgaden.

— Dziś wieczorem musisz być ostrożny — powiedziała. — Czeka nas ekscytująca misja.

— Jakieś rozkazy?

— Pamiętaj, że jesteś człowiekiem rozczarowanym. Nie cierpisz establishmentu, nie cierpisz konwencji. Jesteś buntownikiem, ale skrytym. Potrafisz to zagrać?

— Spróbuję.

Kraj za oknami samochodu stawał się coraz bardziej dziki. Jechali ostrymi serpentynami, mijali górskie osady, czasem między zboczami otwierał się szeroki widok na płynącą w dole rzekę, gdzieś w dali błyszczała wieża kościoła oświetlona promieniami zachodzącego słońca.

— Mary Ann, dokąd jedziemy?

— Do orlego gniazda.

Szosa wiodła teraz lasem. Stafford zauważył kilka saren. Od czasu do czasu mijali także mężczyźni w kurtkach z brązowej skóry, ze strzelbami przewieszonymi przez ramię. Wreszcie jego oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach. Na wysokiej skalnej turni stał wspaniały Schloss. Był częściowo zrujnowany, lecz główna bryła budynku została niedawno odrestaurowana. Budowla była masywna i budząca respekt swą potęgą, lecz widać było, że owa potęga odchodziła powoli w mroki dziejów.

— To była pierwotnie siedziba Wielkiego Księstwa Liechtenstolz.

Zamek wybudowany został przez księcia Ludwika w szesnastym wieku — rzekła Renata.

— Kto tu teraz mieszka? Obecny Wielki Książę?

— Nie. Dynastia Liechtenstolzów wygasła przed wojną.

— Kto zatem?

— Osoba, która posiada wielką władzę.

— A więc pieniądze.

— Zgadłeś.

— Czy spotkamy pana Robinsona cudem przeniesionego z Anglii?

— Robinson byłby ostatnią osobą, którą by wpuszczono do tego zamku, zapewniam cię.

— Szkoda. Polubiłem go. Ma w sobie coś. Kim on naprawdę jest? Skąd pochodzi?

— Obawiam się, że na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. Każdy twierdzi coś innego. Niektórzy mówią, że jest Turkiem, inni, że Ormianinem, Holendrem; są też tacy, którzy uważają go po prostu za Anglika. Słyszałam także, że jego matka była rosyjską księżną, indyjską maharani i tym

podobne brednie. Pewien człowiek twierdził, że matka Robinsona to Szkotka, z domu panna McLellan. Równie prawdopodobne jak cała reszta dociekań.

Samochód zatrzymał się u stóp szerokich schodów. Dwóch służących w liberiach zeszło po bagaże. Obaj kłaniali się w pas, co Staffordowi wydało się trochę przesadzone. Zaczął wreszcie rozumieć, po co wozili z sobą tyle walizek. Wieczorowe stroje miały się wkrótce przydać.

Ledwie zdążył się przebrać, kiedy rozległ się gong wzywający na kolację. Stafford zszedł na dół i poczekał w hallu na Renatę. Hrabina miała na sobie

ciemnowiśniową suknię z aksamitu, wokół jej szyi błyszczał naszyjnik z rubinów. Podszedł lokaj, by wskazać drogę w labiryncie korytarzy. Otworzył jakieś drzwi i oznajmił:

— Gräfin Zerkowski i sir Stafford Nye.

— Obecny — mruknął Stafford pod nosem.

Z satysfakcją poprawił spinę w krawacie, przepiękny drobiazg wysadzany szafirami i diamentami. Ruszył za Renatą. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. W najśmielszych przypuszczeniach nie spodziewał się ujrzeć czegoś takiego.

Znajdowali się w ogromnej rokokowej sali, sofy i fotele pokryte były najdelikatniejszymi pluszami i brokatami. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów, wśród tych, które Stafford zdążył rozpoznać, był Cezanne, Matisse, Renoir. Każdy z nich był wart fortunę.

W wielkim fotelu, który przypominał raczej tron, siedziała ogromnych rozmiarów kobieta. Wieloryb, pomyślał Stafford, było to bowiem najtrafniejsze porównanie. Jej wielki brzuch trząsał się jak galareta przy najmniejszym poruszeniu. Jej podbródków trudno się było wprost doliczyć. Ubrana była w pomarańczową atłasową suknię. Jej

głowę zdobiła stylizowana korona wysadzana szlachetnymi kamieniami. Dłonie spoczywające na oparciach były również olbrzymie. Tłuste, niezgrabne, z palcami przypominającymi parówki. Na każdym palcu lśnił pierścień. Rubin, szafir, szmaragd, diament, bladozielony kamień, prawdopodobnie chryzopraz, inny połyskujący żółto — zapewne topaz albo żółty diament. Okropna kobieta, pomyślał. Niezmierzona góra tłuszczu. Jej twarz była wielką pofałdowaną masą, pokrytą białą tłustą skórą. W tej masie, niczym rodzynki w drożdżowym cieście, tkwiły małe czarne oczka. Oczka chytre i ruchliwe, patrzące na świat podejrzliwie, oceniające. Stara kobieta nie patrzyła na Renatę — ją

zapewne dobrze znała. Zadaniem hrabiny było przywieść Stafforda tutaj. Nie ona więc była ważna, lecz on. To *na nim* ta odstręczająca baba skupiła swój taksujący wzrok. Czego chciała?

Muszę za wszelką cenę odkryć, czego ode mnie oczekuje, pomyślał. Inaczej — jeden gest tłustej ręki, a strażę zrzucą go z najwyższej wieży prosto w przepaść. To niepoważne, myślał. Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć w dwudziestym wieku. Gdzie ja jestem? Co to za maskarada?

— Jesteś bardzo punktualna, moje dziecko.

Jej głos był szorstki, astmatyczny, dawniej zapewne władczy i może nawet

piękny, teraz zaś śmieszny i karykaturalny. Renata podeszła bliżej, złożyła ukłon. Ujęła tłustą rękę i złożyła na niej ceremonialny pocałunek.

— Proszę pozwolić przedstawić sobie: sir Stafford Nye. Gräfin Charlotte von Waldsauen.

Wielka dłoń wyciągnęła się w jego kierunku. Stafford pochylił się nad nią. Gräfin rzekła coś, co wprawilo go w niepomierne zdumienie.

— Znam twoją ciotkę, młodzieńcze.

Podniósł na nią zdziwiony wzrok. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Spodziewała się takiej reakcji.

Zarechotała okropnym, zgrzytliwym śmiechem.

— Powinnam raczej powiedzieć: znałam ją. Wiele, wiele lat minęło, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Byłyśmy razem w Szwajcarii, w Lozannie, jako małe dziewczynki. Matylda. Lady Matylda Baldwin—White.

— Co za zdumiewający zbieg okoliczności — rzekł Stafford.

— Jest starsza ode mnie. Jak się miewa?

— Jak na swoje lata świetnie. Mieszka na wsi. Narzeka na artretyzm.

— Ach, choroba wieku podeszłego. Powinna brać zastrzyki prokainy. To cudowne lekarstwo. Czy lady Matylda wie o pańskiej u mnie wizycie?

— Obawiam się, że nie. Mówiłem jej, że wybieram się na festiwal.

— I jak wrażenia?

— To były niezapomniane chwile. Budynek opery jest doprawdy wspaniały.

— To najwspanialsza opera na świecie. Bayreuth Halle wygląda przy niej jak kurnik. Wie pan, ile kosztowała jej budowa?

Rzuciła jakąś kwotę w milionach marek. Stafford nie próbował ukryć zdumienia, co wprawiło starą Charlotte w zadowolenie.

— Pieniądze mogą kupić wszystko, młody człowieku. Pod warunkiem, że umie się ich właściwie używać. Pieniądz to siła.

Ostatnie słowa podkreśliła osobliwym mlaśnięciem, które Stafford uznał za wysoce obrzydliwe.

— Widzę, że również piękno można kupić — rzekł patrząc na ściany sali.

— Jest pan znawcą sztuki? Nie musi pan odpowiadać, widzę, że tak jest

istotnie. Tu, na wschodniej ścianie, wisi najpiękniejszy Cezanne na świecie. Niektórzy utrzymują, że ten... zapomniałam tytułu... ten, który wisi w nowojorskiej Metropolitan, jest lepszy. To bzdura. Najlepszy Cezanne, najlepszy Matisse, najpiękniejsze dzieła wielkich mistrzów znajdują się u mnie. W mojej górskiej pustelni.

— Są wspaniałe — odparł Stafford.
— Naprawdę wspaniałe.

Podano napoje. Stafford zauważył, że Stara Kobieta z Gór nie piła alkoholu. Możliwe, że przy takiej tuszy nie chciała ryzykować zdrowiem.

— Gdzie pan spotkał naszą uroczą

Renate?

Pułapka? Możliwe, ale nie miał innego wyjścia.

— W ambasadzie amerykańskiej. W Londynie.

— Ach, tak, słyszałam. A jak się miewa nasza... jak jej tam... ach, Milly Jean... Urocza pani ambasadorowa? Śliczna, prawda?

— Czarująca, przyznaję.

— A ten stary nudziarz, Sam Cortman?

— Miły człowiek — odparł Stafford.

Zarechotała.

— Widzę, że jest pan taktowny, młody człowieku. Stary Sam robi, co mu każą, jak przystało na polityka. Ambasador w Londynie: trudno wyobrazić sobie lepszą pozycję. Milly Jean potrafi zatroszczyć się o swego męża. Z tym jej wypchanym portfelem mogłaby załatwić wszystko. Jej ojciec jest właścicielem połowy ropy w Teksasie. Ma ziemię, kopalnie złota, wszystko. To wyjątkowo brzydki i wulgarny człowiek. Za to ona, Milly Jean, to kobieta z klasą. Delikatna, skromna, prawdziwa arystokratka. Bardzo sprytne z jej strony, nieprawdaż?

— Owszem — zgodził się Stafford.

— A pan, młody człowieku? Czy jest pan bogaty?

— Chciałbym, ale cóż...

— W Foreign Office nie płacą już tak jak kiedyś, prawda?

— Nie ujmowałbym tego w taki sposób. Przecież mogę podróżować, spotykać ciekawych ludzi, mieć część udziału w tym, co się dzieje na świecie.

— Nie pragnie pan więcej?

— Trudno wymagać więcej.

— Nie marzył pan nigdy, by wiedzieć, co dzieje się za kulisami?

— Cóż, nie przeczę... — starał się wyrażać oględnie.

— Słyszałam, że miewa pan czasem ciekawe pomysły. Nazwijmy to, niekonwencjonalne.

— Owszem. W rodzinie uchodziłem niegdyś za czarną owcę — roześmiał się Stafford.

Stara Charlotte zawtórowała mu swym zgrzytliwym śmiechem.

— Jest pan niezwykle szczery, młody człowieku.

— Po co udawać? Ludzie i tak wiedzą zawsze, co ukrywam.

Spojrzała na niego z uwagą.

— Niech mi pan powie, czego pan żąda od życia?

Wzruszył ramionami. Znowu nadszedł czas na improwizację.

— Chyba niczego — odparł.

— I chce pan, żebym w to uwierzyła?

— To prawda. Nie mam żadnych ambicji. Proszę powiedzieć, czy wyglądam na ambitnego?

— Przyznaję, że nie — stwierdziła.

— Nie mam wygórowanych pragnień.

Chcę się dobrze bawić, wygodnie żyć,
mieć przyjaciół.

Stara kobieta pochyliła się w fotelu.
Jej głos zabrzmiał jakoś inaczej, niczym
syk węża.

— Czy potrafi pan nienawidzić?

— Nienawiść to strata czasu.

— Ach tak. Rozumiem. Wygląda pan
na zadowolonego, młody człowieka, a
pańska twarz na szczerą. A mimo to
sądzę, że jest pan gotów ponieść trudy,
by zdobyć to, czego pan pragnie.
Sprawia pan wrażenie beztroskiego,
lecz przy pomocy właściwych doradców
zyska pan wiele, jeśli oczywiście potrafi

pan chcieć.

— Gräfin, umie pani czytać w myślach. Widzi pani wiele, zbyt wiele.

W drzwiach stanął służący.

— Podano do stołu — oznajmił.

Ceremonia, która nastąpiła, miała w sobie coś z etykiety dworu królewskiego. Wielkie drzwi na końcu sali otwały się ukazując jadalnię jasno oświetloną trzema ogromnymi żyrandolami. Sufit jadalni pokryty był freskami. Do Gräfin podeszły dwie kobiety w średnim wieku i stanęły po obu stronach fotela. Miały na sobie ciemne suknie, ich siwiejące włosy były

starannie upięte w kok, każda nosiła diamentową broszę. Stafford jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że są to właściwie opiekunki. Były zapewne, pomyślał, nie tyle strażą przyboczną, co raczej wykwalifikowanym personelem medycznym odpowiedzialnym za zdrowie, higienę i inne intymne szczegóły codziennego życia swej pani. Po ceremonialnych ukłonach każda z kobiet ujęła Gräfin pod rękę. Z wprawą wynikającą z wieloletniej praktyki uniosły staruchę z godnością i pomogły stanąć na nogi.

— Proszę na kolację — rzekła Charlotte.

Przy pomocy dwóch asystentek

ruszyła do jadalni. Idąc niezdarnie jeszcze bardziej przypominała wielką górę trzęsącej się galarety, choć nie można jej było odmówić pewnej dozy dostojęstwa. W jej ruchach znać było, że nie jest jedynie starą otyłą kobietą. Była kimś, wiedziała, że jest kimś, i nie pozwalała innym zapomnieć, że jest kimś. Stafford ujął Renatę pod rękę i ruszył w ślad za gospodynią.

Jadalnia wyglądała raczej jak wielka sala przyjęć. Po obu stronach stali członkowie gwardii przybocznej. Byli to młodzi, przystojni chłopcy o jasnych włosach. Odziani byli w specjalne uniformy. Na widok Charlotte jak jeden mąż dobyli swoich szabli i z głośnym

szczękiem skrzyżowali je nad głową Gräfin. Charlotte uwolniła się od opieki asystentek i z godnością ruszyła wzdłuż szpaleru w stronę wysokiego, pięknie rzeźbionego krzesła u szczytu stołu. Krzesło było naprawdę wspaniałe, pokryte złocistym brokatem, ze złotymi poręczami. Uczestnicy ceremoniału przypominali nieco orszak ślubny jakiegoś wysoko postawionego oficera, lecz bez udziału pana młodego.

Stafford spojrział na umundurowaną gwardię. Wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni, żaden z nich nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Byli postawni, tryskający zdrowiem. Na ich twarzach nie było śladu uśmiechu, wszyscy byli

śmiertelnie poważni, byli — Stafford próbował znaleźć właściwe słowo — tak, byli oddani. A zatem ceremonia nie tyle wojskowa, co raczej religijna. Po chwili weszli służący starej daty z tacami pełnymi wyszukanych potraw. Stafford miał wrażenie, że uczestniczy w jakiejś hollywoodzkiej historycznej superprodukcji. Nad tym wszystkim zaś na wysokim tronie siedziała nie królowa, nie cesarzowa, lecz stara, tłusta, nadzwyczaj brzydka kobieta w obrzydliwej pomarańczowej sukni. Kim była? Jaką rolę grała w tym przedstawieniu?

Po co ta cała maskarada? Po co ta gwardia? Tysiące pytań cisnęły się na

myśl, tysiące dociekań.

Pojawili się inni domownicy. Składali ukłony pani domu, po czym skromnie zajmowali swe miejsca przy stole. Wszyscy mieli na sobie stroje wieczorowe. Nikt nie troszczył się o prezentację gości.

Stafford miał wieloletnią wprawę w ocenianiu ludzi. Rozejrzył się po twarzach obecnych. Było tam kilku prawników, tych wyłowił z tłumu bez trudu. Przypuszczalnie też paru księgowych, jeden czy dwaj oficerowie w cywilnych ubraniach. Niewątpliwie świta, czyli operując terminami epoki feudalnej ludzie niżej postawieni.

Potrawy były iście królewskie. Wielka głowa dzika w auszpiku, kuropatwy, bażanty, chłodny, orzeźwiający sorbet cytrynowy, ogromna konstrukcja *millefeuille* — istne cudo cukierniczego fachu.

Gräfin jadła chciwie, żarłocznie czerpiąc rozkosz z każdego kęsa. Z zewnątrz dobiegł jakiś obcy dźwięk. Za oknami mignął zarys sportowego samochodu, ryk silnika przycichł i zgasł. Umundurowani chłopcy poczęli skandować: „Heil! Heil! Heil Franz!”

Gwardia przegrupowała szyki ze sprawnością dobrze wyszkolonego oddziału. Domownicy powstali, jedynie Gräfin pozostała na swoim tronie

podnosząc dumnie głowę i wpatrując się w drzwi. Stafford zaobserwował dziwne podniecenie, które ogarnęło wszystkich obecnych w sali.

Domownicy w jednej chwili zniknęli niczym spłoszone jaszczurki, które chowają się w szczelinach i załomach skał. Złotowłosi chłopcy uformowali szyk, dobyli szabli i złożyli swej pani żołnierski salut. Kiedy ta skinęła głową przyzwalająco, schowali szable i defiladowym krokiem wyszli przez szerokie drzwi na zewnątrz. Gräfin odprowadziła ich wzrokiem, po czyni spojrzała na Renatę i Stafforda.

— Jak wam się podobało? — spytała.

— Co powiecie o moich chłopcach?

— Wspaniali — rzekł Stafford Nye zwracając się do niej jak do monarchini.

— Są wspaniali, madame.

— Ach! — Skinęła głową. Uśmiechnęła się, przez co na jej twarzy pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek. Przypominała teraz krokodyla.

Okropna baba, pomyślał, obrzydliwa. Czy to sen? Gdzie ja jestem? Co się tu dzieje? Drzwi w końcu sali otwały się z łoskotem. Złotowłosi gwardziści wmaszerowali do sali. Tym razem jednak nie wymachiwali szabelkami, lecz śpiewali. Ich śpiew brzmiał nadspodziewanie czysto i pięknie.

Zmęczony rockowymi produkcjami Stafford poczuł nagle niewysłowioną radość. Głosy gwardzistów były doskonale wyszkolone. To nie był chaotyczny wrzask śpiewającego wojska, lecz wspaniale brzmiący chór. Młodzi ludzie śpiewali równo, oszczędzając struny głosowe, nie pozwalając sobie na najdrobniejszy fałsz. Z pewnością uważali się za forpoczcie nowego ładu, ale ich pieśń nie była nowa. Stafford znał ją dobrze. *Preislied*. Zewsząd płynęły dźwięki muzyki, Stafford przypuszczał, że orkiestra kryje się na galeryjce biegnącej wokół sali. To, co słyszał, było mistrzowską adaptacją kilku Wagnerowskich motywów.

Gwardziści ponownie utworzyli szpaler. Tym razem jednak nie dla starej cesarzowej, która siedziała na swym tronie wpatrując się w drzwi.

Nareszcie zjawił się oczekiwany gość. Wraz z jego pojawieniem orkiestra zmieniła temat grając teraz ów motyw, który Stafford znał na pamięć. Melodia Młodego Zygfyryda. Zew rogu młodego bohatera, pełen triumfu i młodzieńczej siły, zapowiedź nowego świata, który legnie u stóp herosa.

W drzwiach, między rzędami wyprężonych na baczność młodzieńców w mundurach, stanął najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Stafford widział w swoim życiu. Jasnowłosa, niebieskooki,

o perfekcyjnych proporcjach, niby mityczna postać sprowadzona laseczką czarodzieja. Uderzał urodą, przywoływał legendy o bohaterach, obietnicę lepszego świata. Był wszystkim: ideałem piękna, siły, pewności siebie, pychy.

Młodzieniec szedł między gwardzistami, aż znalazł się u stóp tronu. Uklęknął na jedno kolano, podniósł dłoń Gräfin do swych ust, po czym powstał i wyrzucił rękę do góry w salucie dobywając z gardła to samo pozdrowienie, które Stafford słyszał z ust żołnierzy. Głos nie dochodził zbyt wyraźnie, ale brzmiało to jak: „Heil, wielka matko!”.

Młody bóg rozejrzał się po sali. Zmierzył Renatę obojętnym wzrokiem, unosząc brew na znak, że ją poznał. Jednak kiedy jego wzrok padł na Stafforda, w jego niebieskich oczach pojawił się błysk zainteresowania. Ostrożnie, pomyślał Stafford. Ostrożnie. Teraz trzeba zagrać swą rolę. Tylko jaką rolę? Czego od nich obojga oczekują? Heros przemówił.

— A więc — rzekł — mamy gości. — Po czym dodał z arogancją młodego człowieka, który wie, że jest o niebo wspanialszy od całej reszty świata. — Witajcie, drodzy goście, witajcie.

Gdzieś w odległym krańcu zamku rozdźwięczał się dzwon. Nie było w nim

pogrzebowych tonów, brzmiał świeżo i czysto, niósł ze sobą porządek i' dyscyplinę, niczym dzwon klasztorny wzywający mnichów na mszę.

— Już późno — rzekła stara Charlotte. — Spotkamy się jutro o jedenastej.

Spojrzała na Renatę i Stafforda.

— Służba odprowadzi państwa na pokoje. Życzę dobrej nocy.

Iście królewski ton.

Stafford Nye spostrzegł, że ręka Renaty unosi się w górę w faszystowskim pozdrowieniu. Jego

towarzyszka nie patrzyła jednak na Charlotte, lecz na złotowłosego młodzieńca. Usłyszał jej głos: „Heil, Franz Joseph!” Powtórzył gest i również powiedział: „Heil!”.

— Jeśli macie ochotę — rzekła Gräfin — proponuję zacząć dzień od konnej przejażdżki.

— To wspaniały pomysł — odparł Stafford.

— A ty, moja droga? Co o tym sądzisz?

— Z radością skorzystam, Gräfin.

— Doskonale zatem. Wydam

stosowne polecenia. Spijcie dobrze. Cieszę się, że mogę was gościć u siebie. Franz Joseph, podaj mi ramię. Pójdziemy do chińskiego buduaru. Musimy porozmawiać, a czasu jest niewiele. Pamiętaj, że ruszasz jutro skoro świt.

Lokaje odprowadzili Renatę i Stafforda do ich apartamentów. Na progu Stafford zawahał się przez moment.

Może uda się zamienić z nią kilka słów właśnie teraz? Po namyśle jednak odrzucił ten pomysł. Póki znajdowali się na zamku, bezpieczniej było zachować wszelkie środki ostrożności. Nigdy nic nie wiadomo, te ściany z pewnością

miały uszy.

Prędzej czy później będzie musiał zadać kilka ważnych pytań. Jego umysł domagał się wyjaśnień. Ktoś próbuje mną manipulować, pomyślał. Chcą mnie wciągnąć w jakąś tajemniczą grę. Ale w jaką? Czego ode mnie oczekują?

Sypialnia była ładna, ale na swój sposób przytłaczająca. Ciężkie aksamitne kotary wokół wielkiego łóżka wydzielały specyficzną woń starości, złagodzoną zapachem ziół. Stafford zastanawiał się, jak często zdarzało się Renacie bywać w tym ponurym miejscu.

Rozdział jedenasty

Piękni i młodzi

Ubierając się rano Stafford Nye odkrył w jednej z walizek strój do konnej jazdy. Przyjaciele z Godalming przewidzieli i tę ewentualność.

Po śniadaniu zszedł na dół. W hallu dostrzegł Renatę. Na zewnątrz czekał na nich stajenny trzymając za uzdy dwa konie.

Renata zamieniła z chłopcem parę słów po niemiecku, po czym dosiadła

wierzchowca i ruszyła krętą dróżką w dół zbocza. Stafford wsiadł na konia i pogalopował za nią.

— O czym rozmawialiście?

— Pytał, czy potrzebujemy przewodnika. Powiedziałam mu, że znam dobrze okolicę.

— Często tu bywasz?

— Ostatnio bardzo rzadko. W młodości spędzałam tu dużo czasu.

Zmierzył ją baczny wzrokiem. Nie odwzajemniła spojrzenia. Jadąc strzemię w strzemię obserwował jej piękny profil — jej szlachetny nos,

dumnie uniesioną głowę. Prowadziła konia ze swobodą i dużą wprawą.

Choć bardzo się starał, nie mógł pozbyć się natrętnej myśli, która dręczyła go od samego rana. Nie mógł tego zrozumieć...

Wrócił myślami do poczekalni na frankfurckim lotnisku. Ta młoda kobieta, która zwracała się o pomoc. Szklanka pilznera na stoliku... Wszystko było tak, jak należy. Podjął wtedy ryzyko, przyjął propozycję bez zastrzeżeń. Skąd więc teraz ten dziwny niepokój, te podejrzenia?

Spięli konie do cwału i mknęli wąską dróżką przez las. Posiadłość była

naprawdę urocza. W oddali Stafford dostrzegł parę jeleni. Prawdziwy raj dla myśliwych, raj dla tych, którzy kochali tradycję i rozrywki wyższych sfer. Raj, zaś w samym jego środku czaił się wąż. Jak było na początku, teraz i zawsze... Ściągnął wodze i koń posłusznie zwolnił. Jechali stępą. Nareszcie byli sami, żadnych ścian, żadnych mikrofonów. Nadszedł czas na pytania.

— Kim jest ta kobieta?

— Odpowiedź jest prosta. Tak prosta, że aż trudno w to uwierzyć.

— A więc... — nalegał.

— Ropa. Miedź. Kopalnie złota w

RPA. Szwedzki przemysł zbrojeniowy. Złóża uranu na północy. Doświadczenia z bronią atomową. Kobalt. Ona jest tym wszystkim.

— Dlaczego więc nigdy o niej nie słyszałem?

— Ona woli pozostawać w cieniu. Nie chce, żeby świat wiedział, kim jest.

— Czy takie rzeczy można utrzymać w tajemnicy?

— To łatwe, kiedy masz wystarczająco dużo miedzi, uranu, broni i całej tej reszty. Pieniądz umie się reklamować, ale potrafi też zamykać usta.

:— Ale kim jest *naprawdę*?

— Jej dziad był Amerykaninem. Kolej, jeśli dobrze pamiętam. Jeden z tych chicagowskich potentatów. Trudno dzisiaj powiedzieć, to zamierzchłe czasy. Poślubił Niemkę. Pewnie o niej słyszałeś, nazywali ją Wielka Belinda. Broń, transport, wielki majątek przemysłowej Europy. Charlotte odziedziczyła to wszystko, ale nie poprzestała na tym. Miała głowę do interesów.

Potrafiła troszczyć się o swoje pieniądze. Wszystko, czego się tknęła, zamieniało się w złoto. Nasza gospodyni potrafiła lokować swój kapitał. Słuchała rad innych, ale decyzje podejmowała

samodzielnie. I zawsze z tym samym skutkiem. Pieniądz rodzi pieniądz. Nigdy byś nie uwierzył, że można mieć taką fortunę.

— Dobrze, ale po co jej to wszystko?

— Sam przed chwilą powiedziałaś. Władza.

— I mieszka tu, na tym pustkowiu? Czy może...

— Czasami jeździ do Ameryki, do Szwecji. Podróżuje, ale niezbyt często. Woli być tu, jak wielki pajak w samym środku swej sieci, mając pieczę nad każdą nitką. Kontroluje finanse, ale nie tylko.

— Co jeszcze?

— Sztukę. Muzyka, malarstwo, literatura. Ludzi, zwłaszcza młodzież.

— No tak. Rzeczywiście muszę przyznać, że jej kolekcja jest imponująca.

— Widziałeś ledwie cząstkę. Na wyższych piętrach zamku są całe galerie. Rembrandt, Giotto, Rafael, co tylko sobie wymarzysz. I klejnoty, całe skrzynie najpiękniejszych kamieni świata.

— I wszystko to należy do starej, brzydkiej kobiety. Czy jest szczęśliwa?

— Jeszcze nie, ale już wkrótce będzie.

— Czego zatem chce? Co planuje?

— Widzisz, ona kocha młodzież. To jest jej styl rządzenia. Przejąć kontrolę nad młodzieżą. Świat jest pełen młodych ludzi, którzy chcą zmienić świat. Ona chce im pomóc. Młodzi filozofowie, myśliciele, pisarze — to ona nimi kieruje, ona ich opłaca.

— Ale jak, na Boga...?

— Nie potrafię ci odpowiedzieć, bo sama nie wiem. To niezwykle skomplikowana intryga. Charlotte popiera rozmaite osobliwe akcje

charytatywne, funduje stypendia dla studentów, artystów, młodych twórców.

— A jednak mówisz, że...

— Tak, bo ten obraz nie jest jeszcze kompletny. Szykuje się wielka rewolucja. Młodzi ludzie wierzą, że zbudują raj na ziemi. Od tysięcy lat obiecywano nam nowy wspaniały świat. Kapłani przyciągali tłumy w imię Mesjasza, Mahometa i Buddy. Politycy snuli wspaniałe wizje. Obiecywano nam raj, taki w jaki wierzyli asasyni, jaki obiecał Starzec z Gór swoim wyznawcom. I w pewnym sensie jego zwolennicy dostali to, o czym marzyli.

— Sugerujesz, że Charlotte kontroluje

również handel narkotykami?

— Tak. To sposób, by nakłonić ludzi do posłuszeństwa. W pewnej mierze również metoda eliminacji słabszych jednostek. Tych, które uznała za zbędne, choć kiedyś pokładała w nich nadzieje. Ona sama nigdy nie sięgnęłaby po narkotyki. Jest silna. Ale narkotyk zabija słabych łatwiej niż cokolwiek innego.

— A siła? Przecież nie wszystko da się załatwić samą propagandą.

— Oczywiście, że nie. Propaganda służy do tego, by przygotować grunt. To pierwsza faza. Za tym wszystkim kryją się zbrojenia na wielką skalę. Pomyśl o broni, która wędruje do krajów

trzeciego świata, zaś stamtąd przerzucana jest gdzie indziej. Czołgi, samoloty, broń nuklearna — wielkie ilości wszelkiego rodzaju broni sprzedawane są do Afryki, Azji. Szczególnym regionem jest Ameryka Południowa, gdzie szkoli się tysiące ochotników z całego świata. Nie zawahają się nawet przed użyciem broni chemicznej.

— Ależ to koszmar! Skąd ty to wiesz?

— Częściowo stąd, że przekazywano mi informacje, częściowo zaś dlatego że sama przyczyniłam się do odkrycia pewnych rzeczy.

— *Ty?* Nie rozumiem. Ty i ona?

— Czasem zdarza się, że jakaś idiotyczna historia wpływa na całe twoje przyszłe życie — zaśmiała się. — Widzisz, Charlotte kochała się w moim dziadku. Głupia sprawa, a jednak... Mój dziadek miał zamek o parę mil stąd.

— Czy miał wyjątkowe zdolności? Talenty?

— Nie, nic z tych rzeczy. Był po prostu przystojny. Kobiety za nim szalały. I dlatego właśnie, przez sentyment, Charlotte wzięła mnie pod swoją opiekę. Zostałam jej zausznicą, niewolnicą, nazwij to, jak chcesz. Pracuję dla niej. Kaptuję jej zwolenników. Wożę jej rozkazy po całym świecie.

— Czy...

— Czy co?

— Nic, tak się zastanawiam... —
odparł Stafford. Rzeczywiście miał się
nad czym zastanawiać. Patrzył na nią i
znów przypomniał sobie zdarzenie na
lotnisku. Pracował dla Renaty, pracował
z, nią. To ona przywiozła go do zamku.
Czy taki był rozkaz starej Gräfin?
Wielkiej, grubej Charlotte siedzącej w
środku swej potężnej pajęczyny? Miał
reputację nieodpowiedzialnego
dyplomaty. Taki człowiek mógł być
przydatny dla celów tej potężnej
organizacji. Jakże to upokarzające.
Renata??? Ryzykował dla niej, pomógł

jej wtedy, ocalił jej życie. Ale kim ona była? Kim tak naprawdę była ta dziewczyna? Nie wiedział. Nie był pewny. Nikomu nie można ufać, przypomniał sobie. Nikomu. Czy zatem zdarzenie na frankfurckim lotnisku było z góry ukartowane? Zaplanowane tak, by zaufał Renacie, by uwierzył w to, co mówi?

— Może ruszymy galopem? — zaproponowała. — Konie męczą się jadąc stępa.

— Za chwilę — odparł. — Nie powiedziałaś mi jeszcze, jaka jest twoja rola w tej całej historii.

— Ja tylko wykonuję rozkazy.

— Czyje?

— Są ludzie, którzy nie potrafią patrzeć obojętnie na to, co się dzieje na świecie. Ludzie, którzy nie mogą pozwolić, żeby ten świat obrócił się wniwecz.

— A ty jesteś z nimi, tak?

— Tak mówię.

— Ten młody człowiek wczoraj wieczorem...

— Franz Joseph?

— To jego prawdziwe imię?

— To imię, pod którym go znają.

— Ale on ma również inne imię.

— Tak sądzisz?

— To młody Zygfyrd, prawda?

— A zatem zauważyłeś!

— Nietrudno się było domyśleć. Piękny, silny. Aryjczyk. W tych stronach ciągle wierzy się w czystość rasy. Nazywacie to *übermensch*, prawda?

— Tak. Ta idea ciągle jeszcze żyje. Nie mówi się o tym otwarcie, ale Niemcy wciąż pamiętają obietnice Hitlera. Zresztą nie tylko oni. Podobnie

jest w Ameryce Południowej, w RPA...

— — Co robi ten nasz młody Zygfryd? Czy jego rola jest czysto dekoracyjna?

— Jest wspaniałym mówcą. Tłumy jego zwolenników gotowe są umrzeć dla niego.

— Czy to prawda?

— On w to wierzy.

— A ty?

— Sądzę, że mogłabym w to uwierzyć. Sztuka oratorska to przerażająca siła. Głos potrafi wiele

działać, nawet gdy słowa pozbawione są treści. Jego głos brzmi jak dzwon, kobiety płaczą i mdleją. Zresztą przekonasz się na własne oczy. Widziałeś gwardię starej Charlotte, ale to nie wszystko. Młodzież uwielbia mundury. Takich samych młodych ludzi spotkasz na całym świecie. Każdy z nich nosi mundur: niektórzy wojskowy w kroju, inni z dumą obnoszą swe długie włosy, brody i kwieciste koszule. Wszędzie jest tak samo, wszyscy oni mówią o pokoju, o nowym świecie, o rajku na ziemi, który zbudują na gruzach starego porządku. Ich pokój to niszczenie, destrukcja, bunt. Chcą anarchii. To, co nam wydaje się przerażające, dla nich jest piękne, bo

rodzi się w cierpieniu, w męczeństwie.

— A więc tak widzisz ten nowy świat?

— Widzę go takim, jaki jest.

— Jaka jest zatem moja rola? Co mam robić?

— Iść za swym przewodnikiem. Ja jestem twoim przewodnikiem. Jak Wergiliusz Dantego, tak ja zaprowadzę cię do piekła. Zobaczysz sadyzm żywcem skopiowany z czasów SS, pokażę ci ludzi, którzy czczą przemoc, okrucieństwo i ból. Pokażę ci wizje raju na ziemi, pokój i piękno, aż sam przestaniesz wiedzieć, co dobre, a co

złe. Ale musisz podjąć decyzję.

— Nie wiem, czy mogę ci ufać.

— To właśnie decyzja, którą podejmiesz. Możesz odejść, ale możesz też pójść za mną i zobaczyć, jaki świat szykują nam inni.

— Domki z kart — odparł. Spojrzała na niego pytająco.

— Jak w *Alicji w krainie czarów* — wyjaśnił. — Karty, tekturowe konstrukcje unoszące się w powietrzu.

— O czym mówisz?

— Mówię, że wszystko to jest na

niby. Nierealne. Cała ta cholerna sprawa jest jedną wielką fikcją.

— W pewnym sensie masz rację.

— Każdy udaje kogoś innego, gromada przebierańców jak w jakimś idiotycznym przedstawieniu. Czy tak?

— I tak, i nie.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Wielka Charlotte kazała ci przywieźć mnie tutaj. Dlaczego? Co o mnie wie? Jakie ma plany w związku ze mną?

— Tego nie wiem. Może widzi cię w roli szarej eminencji? To do ciebie pasuje.

— Ale przecież nie ma zielonego pojęcia, kim ja jestem!

Renata wybuchła nagle niepohamowanym śmiechem. — Ach, o to ci chodzi! — wykrztusiła.

— Czemu się śmiejesz? Nie rozumiem. Może mi wyjaśnisz?

— Przecież to takie proste! Naprawdę się nie domyślasz?

— Czy dowiem się wreszcie, o czym mówisz?

— Pamiętasz to stare porzekadło? Nieważne, *kim jesteś*. Ważne, kogo *znasz*. Charlotte i twoja ciotka Matylda

chodziła razem do szkoły!

— A więc...

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Po chwili odchylił głowę i sam począł się śmiać jak opętany.

Rozdział dwunasty

Nadworny błazen

Opuścili zamek w południe zegnając się z Charlotte von Waldsauen. Samochód jechał wąską szosą wijącą się pośród wspaniałych, alpejskich lasów. Po kilku godzinach jazdy dotarli do amfiteatru wyciosanego w zboczu góry. Służył on za miejsce koncertów i spotkań młodzieży.

Siedząc na ławie z litej skały Stafford obserwował bacznie to, co działo się wokół. Było tam mnóstwo ludzi, tłum

falował niespokojnie w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia. Stafford widywał takie zgromadzenia już wcześniej. Wszystkie one były podobne. Tłumy w Madison Square Garden na kazaniu charyzmatycznego pastora, koncerty w cieniu opactwa gdzieś w Walii, kibice na meczu futbolowym czy wreszcie uczestnicy wielkiej demonstracji — wszędzie tam ludzkie masy zachowywały się tak samo.

Renata przywiozła go tutaj, aby pokazać mu znaczenie słów „Młody Zygfryd”.

Franz Joseph stał na proscenium i przemawiał do zebranych tłumów. Jego głos to wznosił się, to opadał. Jego

słowa niosły z sobą potężny ładunek emocji wprawiając młodych słuchaczy w ekstatyczną hipnozę. Każda fraza zdawała się brzemienna w znaczenia. Widownia z zapartym tchem chłonęła każde zdanie reagując tak nieomylnie, jak reaguje orkiestra na najdrobniejszy ruch batuty dyrygenta. A jednak Stafford nie potrafił wyłowić żadnego przesłania, żadnej myśli przewodniej. Kiedy przebrzmiały ostatnie słowa, nie umiał przypomnieć sobie nic prócz emocji, obietnic, pustych frazesów. Przemówienie dobiegło końca. Tłumy zerwały się z miejsc i wiwatowały. Dziewczęta piszczały z emocji, niektóre nawet mdlały. Co za świat, pomyślał Stafford. Dyscyplina? Powściągliwość?

Dziś już nie ma miejsca na stare wartości. Dziś liczy się tylko zmysłowe doznanie.

Jak się to skończy? Dokąd zmierza świat?

Jego przewodniczka ujęła go za ramię i wyprowadziła z rozentuzjasmowanego tłumu. Wrócili do samochodu. Szofer prowadził wóz po krętych drogach, które najwyraźniej znał na pamięć. Wreszcie dotarli do gospody na skraju małej górskiej wioski, gdzie mieli zarezerwowane pokoje.

Po kolacji wyszli oboje na spacer. Wędrowali wąską ścieżynką pod górę. Po jakimś czasie zmęczeni przysiedli na

kłodzie zwalonego drzewa. Siedzieli tak chwilę w milczeniu patrząc na cichą dolinę, która leżała u ich stóp.

— Więc? — Renata przerwała ciszę.

— Co takiego?

— Chciałam wiedzieć co o tym sądzisz.

— Nie jestem wcale przekonany — odparł.

Odetchnęła z wyraźną ulgą.

— Wiedziałam, że tak powiesz.

— Wszystko to jest jednym wielkim

kłamstwem. Jednym wielkim
przedstawieniem starannie
wyreżyserowanym i opłaconym. Franz
Joseph nie jest reżyserem, on tylko gra
główną rolę.

— Co o nim myślisz?

— On też nie jest prawdziwy. To
aktor, zresztą świetny.

Renata podniosła się nagle na równe
nogi i roześmiała szczerze i radośnie.
Sprawiała wrażenie uradowanej i
szczęśliwej.

— Wiedziałam! Wiedziałam, że nie
dasz się omamić! Zawsze wierzyłam w
twój rozsądek. Wierzyłam, że potrafisz

przejrzeć największe oszustwo i że trudno cię oszukać pozorami. Wielcy królowie mieli swoich błaznów, którzy mówili im, co jest prawdą, a co pozorem, którzy mieli więcej zdrowego rozsądku, niż cała reszta dworu i potrafili wyszydzić to, co złe.

— A więc uważasz mnie za takiego błazna?

— Tak, jesteś królewskim błaznem. Nie widzisz tego? Właśnie takiej osoby nam trzeba! Sam powiedziałaś, że to jedno wielkie kłamstwo. Ogromna, doskonale wyreżyserowana mistyfikacja. Ale ludzie dają się na to nabrać.

Uważają, że to takie piękne, takie ważne. To nieprawda, ale trzeba im to najpierw uzmysłwić. Trzeba im pokazać, że padli ofiarą oszustwa. Właśnie to musimy zrobić, ty i ja.

— Wierzysz, że to się uda?

— Wiem, że to trudne. Ale kiedy pojmą, że to nieprawda, że to jedno wielkie oszustwo...

— Chcesz zatem iść w świat i głosić chwałę zdrowego rozsądku?

— Oczywiście, że nie. Przecież nikt by nam nie uwierzył.

— Nikt. Przynajmniej nie teraz.

— No właśnie! Najpierw trzeba im dać dowody, fakty. Prawdę.

— Trzeba je najpierw zdobyć.

— Mamy je. Mamy dowód, sam przyczyniłeś się do tego. To ta rzecz, którą wiozłam z sobą z Frankfurtu. Dzięki tobie przesyłka dotarła do miejsca przeznaczenia.

— Nie rozumiem.

— Przyjdzie czas, gdy zrozumiesz. Na razie musimy grać swoje role. Musimy udawać, że jesteśmy gotowi przejść na ich stronę. Jesteśmy młodzi. Jesteśmy zwolennikami młodego Zygfyda.

— Wiem, że ty potrafisz to zagrać. Ale nie jestem pewien, czy mnie się to uda. Nie nadaję się na ślepego wyznawcę. Sama powiedziałaś, że jestem królewskim błaznem. Nie umiem trzymać języka na wodzy. Nie sądzę, żeby wzbudziło to ich entuzjazm.

— Musisz nad tym panować. No, chyba że będzie mowa o politykach, dyplomatach, Foreign Office i całej reszcie establishmentu. Wtedy możesz być złośliwy, szyderczy i okrutny.

— Mimo to ciągle jakoś nie widzę się w roli bojownika.

— Ależ to proste! Twoja rola jest oczywista i każdy będzie umiał

zrozumieć twoje pobudki. Jesteś zawiedziony w swoich ambicjach. Twoi przełożeni nie potrafili docenić twojej wartości. Zygfyrd jest nadzieją na zemstę. Dasz mu wszelkie informacje, które posiadasz, zaś on w nagrodę obieca ci stanowisko, które będzie odpowiadać twoim aspiracjom. Obieca ci władzę w twoim kraju.

— Sugerujesz, że ten nich ma zasięg międzynarodowy. Czy to prawda?

— Niestety tak. To jest jak te wielkie huragany, które noszą kobiece imiona. Flora albo Mała Annie. Nadchodzą nie wiadomo skąd i niszczą wszystko na swojej drodze. Właśnie tego chcą ci ludzie. Europa. Azja, obie Ameryki.

Może także Afryka, choć w niniejszym stopniu. Tam jeszcze nie ustabilizowała się władza w naszym rozumieniu tego słowa. O, tak. To ruch międzynarodowy. Ruch młodzieży prowadzony z młodzieńczą energią i bezwzględnością. Oni nie mają wiedzy, nie mają doświadczeń, ale mają za to swoje wizje i poparcie niektórych możnych tego świata. Mają pieniądze, rzeki pieniędzy, choć podobno walczą z materializmem. Ten ruch opiera się na nienawiści, więc nie może zajść daleko. Pamiętasz, przed wojną każdy mówił, że komunizm jest odpowiedzią na wszystko. Doktryna marksistowska obiecywała, że stworzy świat oparty na zupełnie nowych zasadach. Głoszono

piękne, szczytne idee. Ale w końcu realizacja tych idei przypadła w udziale ludziom. A ludzie się nie zmieniają. Zawsze będą tacy sami. Można próbować stworzyć nowy świat, ale ludzie będą tacy sami, więc rządzić będą tym nowym światem dokładnie tak samo, jak rządzili starym. Wystarczy zajrzeć do podręcznika historii.

— Ale czy ktokolwiek dzisiaj interesuje się historią?

— Nie. Wolą spoglądać w przyszłość. Kiedyś uważano, że nauka potrafi zaradzić wszelkim problemom. Psychoanaliza i nieskrępowany seks miały być kolejnym rozwiązaniem dla ludzkiej niedoli. Gdyby wtedy ktoś

powiedział, że w wyniku tych naukowych metod domy wariatów zapełnią się jeszcze bardziej, nikt by mu nie uwierzył.

— Chciałbym ci zadać jedno pytanie
— przerwał jej sir Stafford.

— Słucham?

— Co robimy dalej? Gdzie teraz jedziemy?

— Do Ameryki Południowej. Może do Pakistanu i Indii. Na pewno do USA. Tam dzieje się wiele ciekawych rzeczy. Szczególnie w Kalifornii.

— Uniwersytety? — westchnął

Stafford. — Jakie to nudne. Ci studenci działają mi na nerwy, tak się powtarzają.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Słońce znikało za horyzontem barwiąc czerwienią szczyty gór.

— Gdybym miał wybrać muzykę na tę okazję — rzekł Stafford z nostalgią — wiesz, na co miałbym ochotę?

— Na Wagnera? A może Wagner również działa ci na nerwy?

— Wyobraź sobie, że zgadłaś. Najlepszy byłby ten moment, kiedy Hans Sachs siedzi pod krzakiem bzu i mówi o świecie: „Szalony, szalony, po trzykroć

szalony”.

— To rzeczywiście odpowiedni motyw. Ale my nie jesteśmy szaleni.

— Jesteśmy najzupełniej zdrowi na umyśle — zgodził się Stafford. — W tym cały problem. Męczy mnie jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Nie wiem, czy potrafisz mi na to odpowiedzieć. Ale postaraj się. Jak myślisz, czy w całej tej zwariowanej sprawie znajdzie się miejsce na dobrą zabawę?

— Możesz być pewien.

— To dobrze. Przynajmniej nie będziemy się nudzić. Czy będziemy żyli długo i szczęśliwie, kiedy się to wszystko skończy?

— Nie wiem. Chyba nie.

— Cudownie. A zatem bawmy się, póki czas po temu. Jestem z tobą, droga przewodniczko. Na dobre i na złe. Powiedz mi jeszcze, czy dzięki naszym wysiłkom świat stanie się lepszy?

— Raczej wątpię. Ale jest szansa, że stanie się przyjemniejszy.

— Dobrze i to — odparł Stafford Nye.
— A zatem w drogę!

Księga trzecia

W kraju i za granicą

Rozdział trzynasty

Konferencja w Paryżu

W pewnym paryskim pokoju spotkało się pięciu mężczyzn. Był to pokój, który widział już niejedno historyczne spotkanie, a nawet dość dużą ich ilość, to jednakże różniło się od poprzednich z wielu względów. Mimo wszystko zapowiadało się na równie pamiętne.

Przewodniczył monsieur Grosjean. Był wyraźnie podenerwowany, czyniąc jednocześnie wysiłki, by podporządkować sobie bieg wydarzeń z

taką samą gładkością i równie łatwo, jak częstokroć udawało mu się w przeszłości. Dzisiaj jednak nie było to wcale proste. Signor Vitelli przybył samolotem z Włoch zaledwie godzinę temu. Jego zachowanie wskazywało, że znajduje się na granicy rozstroju nerwowego.

— To są szczyty — wykrzykiwał właśnie — to przekracza ludzkie wyobrażenie!

— Ci studenci — odparł monsieur Grosjean — wszystkim nam dali się we znaki.

— To nie tylko oni. To więcej niż studenci. Do czego to można porównać?

To rój rozwścieczonych pszczół! To klęska żywiołowa, gorsza niż sobie można wyobrazić. Są coraz bliżej. Mają karabiny maszynowe. Podobno zdobyli też samoloty. Planują zajęcie północnych Włoch. To czyste szaleństwo! Przecież to zwykłe dzieciaki, a mają bomby, materiały wybuchowe... W samym tylko Mediolanie jest ich więcej niż policji. Pytam, co możemy zrobić? Wojsko? Także armia jest ogarnięta rewolucją. Trzymają z młodymi. Mówią, że jedyną nadzieją dla świata jest anarchia. Opowiadają o jakimś nowym świecie, ale to jakieś brednie.

Monsieur Grosjean westchnął. — Tak, anarchia jest bardzo popularna

wśród młodzieży — powiedział.

— Wiara w anarchię. Znamy ją od czasu wydarzeń w Algierii, które przysporzyły tylu kłopotów naszemu państwu i naszym posiadłościom kolonialnym. Ale jak możemy temu zaradzić? Wojsko w końcu poprze studentów.

— Ci studenci, ach, ci studenci — rzekł monsieur Poissonier.

Był to członek francuskiego rządu, a słowo „student” zdawało mu się wyzwiskiem. Gdyby ktoś go zapytał o zdanie, przyznałby się, że od studentów wolałby nawet azjatycką gripę lub epidemię czarnej ospy. Świat bez

studentów! Monsieur Poissonier czasem widział to we snach. Takie dobre sny nie zdarzały się jednak zbyt często.

— Nawet sądownictwo — podjął monsieur Grosjean.

— Co się dzieje z naszą władzą sądowniczą? Policja jest ciągle jeszcze lojalna, ale sędziowie odmawiają wydawania wyroków! Nie chcą sądzić młodych ludzi oskarżonych o niszczenie cudzej własności, własności rządowej, prywatnej, jakiegokolwiek. Bóg jeden wie dlaczego. Ostatnio próbowałem dowiedzieć się czegoś w prefekturze. Powiedzieli mi, że standard życia władz sądowniczych, zwłaszcza na prowincji, jest zbyt niski.

— Hola! — odezwał się monsieur Poissonier.

— Niechże pan będzie ostrożny z takimi sugestiami.

— Ależ doprawdy, dlaczego mam być ostrożny? Trzeba to w końcu powiedzieć. Mieliśmy już przecież afery, i to gigantyczne, a pieniądź lubi krążyć. Pieniądze, duże pieniądze, a my nie wiemy, skąd pochodzą.

W prefekturze powiedziano mi jednak, i ja im wierzę, że zaczynają się domyślać, dokąd one idą. Czy bierzemy pod uwagę możliwość, że całe państwo może być skorumpowane pieniędzmi

pochodzącymi z obcych źródeł?

— We Włoszech jest to samo — wtrącił signor Vitelli. — Długo by opowiadać o naszych podejrzeniach. Ale kto miałby korumpować świat? Grupa przemysłowców? Rekiny finansjery? Jak to możliwe?

— To się musi skończyć — orzekł monsieur Grosjean. — Trzeba podjąć zdecydowaną akcję. Akcję militarną, nawet użyć lotnictwa. Trzeba zdławić te wybryki anarchistów i chuliganów, tych wyrzutków społecznych.

— Użycie gazów łzawiących przyniosło mierne rezultaty — zauważył Poissonier z powątpiewaniem.

— Same gazy łzawiące nie wystarczą — wyjaśnił monsieur Grosjean. — Równie dobrze moglibyśmy zatrudnić studentów do obierania cebuli, też zalewałiby się łzami. Potrzeba nam konkretów.

Monsieur Poissonier spojrział na niego w najwyższym zdumieniu, i

— Chyba nie sugeruje pan broni atomowej?

— Broń atomowa? Cóż za pomysł! Po co nam broń atomowa? Co stałoby się z francuską ziemią, francuskim powietrzem, gdybyśmy użyli broni atomowej! Owszem, możemy zniszczyć Rosję, to wiemy. Wiemy również, że

Rosja może zniszczyć nas.

— Czy sądzi pan, że te grupy demonstrujących studentów stanowią zagrożenie dla władzy?

— Tak właśnie uważam. Otrzymałem takie ostrzeżenia. Gromadzona jest broń, także rozmaite bojowe środki chemiczne i inne rzeczy. Dostałem raporty od znakomitych naukowców. Wiele sekretów wagi państwowej zostało ujawnionych. Tajne arsenały zostały obrabowane.

Co będzie następnym posunięciem? Pytam panów, co się teraz wydarzy?

Odpowiedź na to pytanie została

udzielona prędej i bardziej nieoczekiwanie, niż oczekiwał tego monsieur Grosjean. Drzwi otworzyły się nagle i pojawił się w nich jego sekretarz z wyrazem zaaferowania na twarzy. Monsieur Grosjean spojrział na niego z dezaprobatą.

— Czy nie mówiłem ci, że nie życzę sobie, by mi przeszkadzano?

— Tak, Monsieur le Président, ale to jest sprawa niezwykłej wagi... — sekretarz schylił się do ucha swego pracodawcy. — Jest tutaj Marszałek. Domaga się wstępu.

— Marszałek? Czy naprawdę...

Sekretarz energicznie pokiwał głową kilka razy, by dać mu do zrozumienia, że naprawdę. Monsieur Poissonier przyglądał się tej scenie z zakłopotaniem.

— Żąda, by go wpuścić. Nie dopuszcza odmowy. Dwóch pozostałych mężczyzn spojrzało najpierw na Grosjeana, potem na podekscytowanego Włocha.

— Czy nie byłoby lepiej — odezwał się monsieur Coin, minister spraw wewnętrznych — gdybyśmy...?

Urwał na ostatnim słowie, gdyż drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wkroczył mężczyzna dobrze znajomy

wszystkim zebrany. Człowiek, którego słowo było nie tylko prawem, ale stało ponad prawem w państwie francuskim od wielu już lat. Jego widok w takiej chwili był niemiłą niespodzianką dla zgromadzonych.

— Witam drogich przyjaciół — odezwał się Marszałek. — Przybywam z pomocą. Nasze państwo jest w niebezpieczeństwie. Należy podjąć natychmiastowe działanie. Przychodzę, by służyć wam swoją osobą. Biorę na siebie odpowiedzialność za wszelkie zajścia związane z kryzysem. Wisi nad nami niebezpieczeństwo. Jest to sprawa wiadoma, więc obrona honoru Francji jest konieczna. Bo właśnie idą ku nam.

Duży tłum studentów, kryminalistów wypuszczonych z więzienia, na niektórych z nich ciąży zbrodnia morderstwa. Część z nich to podpalacze. Idą wykrzykując nazwiska. Śpiewają pieśni. Powołują się na nazwiska swoich nauczycieli, filozofów, tych, którzy wprowadzili ich na ścieżkę rewolucji. Tych, którzy spowodują upadek Francji, jeżeli nie podejmiemy działania. Panowie tutaj siedzą, roztrząsają i ubolewają nad tymi zajściami. Sytuacja jednak wymaga działania. Posłałem po dwa regimenty. Ogłosiłem stan gotowości bojowej w lotnictwie, wysłałem zakodowane telegramy do naszego sojusznika, do Niemiec, bo w tym kryzysie oni są

naszym najbliższym sojusznikiem! Ten bunt musi zostać zdławiony. To powstanie! Rebelia! Śmiertelne niebezpieczeństwo dla kobiet, mężczyzn i dzieci, dla własności. Wyruszam teraz stawić czoła tej rebelii, przemówię do nich jako ich ojciec, jako wódz. Ci studenci, nawet kryminaliści, są moimi dziećmi. Są młodociaą Francji. Idę im o tym powiedzieć. Będą mnie słuchali, gdy im o tym powiem. Obiecuję im zmianę rządu, prawo do powrotu na studia. Ich stypendia były zbyt niskie, w ich życiu brakowało piękna, zabrakło im dobrego przykładu. Obiecuję im to wszystko. Przemówię w swoim własnym imieniu, ale także w imieniu panów, w imieniu rządu. Uczyniliście co

w waszej mocy, postępowaliście zgodnie z własnym sumieniem. Ale sytuacja wymaga mocniejszej ręki. Mojej ręki! Teraz idę. Mam tu listę następnych zakodowanych telegramów do wysłania. Takie pociski nuklearne, jakich używa się na poligonach, mogą być wprowadzone do akcji w zmodyfikowanej postaci — posieją panikę w tłumie, ale my będziemy wiedzieli, że nikomu nie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Pomyślałem o wszystkim. Zaraz wcielę swój plan w życie. Chodźcie, moi lojalni przyjaciele, możecie mi towarzyszyć.

— Panie Marszałku, nie możemy

pozwolić... nie może pan się tak narażać... Trzeba...

— Nie będę słuchał waszych ostrzeżeń. Wychodzę na spotkanie własnemu losowi.

Marszałek skierował się ku drzwiom.

— Moi ludzie czekają na zewnątrz. Moja doborowa straż przyboczna. Idę teraz, by przemówić do tych młodych rebeliantów, przypomnieć im o ich obowiązkach.

Zniknął za drzwiami z majestatem aktora grającego swą ulubioną rolę.

— Dobry Boże, on to naprawdę chce

zrobić! — wykrzyknął monsieur Poissonier.

— On się naraża na niebezpieczeństwo — dodał signor Vitelli. — Kto wie? To bardzo odważny człowiek. Bardzo rycerski czyn z jego strony, ale czym to grozi? Młodzi są w takim nastroju, że mogą go nawet zabić!

Zadowolony pomruk wyrwał się z ust monsieur Poissoniera. Może mieć rację, pomyślał. Tak, to może być racja.

— Zupełnie możliwe — powiedział głośno. — Owszem, mogą go zabić.

— Nie można do tego dopuścić, oczywiście — odezwał się monsieur

Grosjean ostrożnie.

Monsieur Grosjean bardzo chciał właśnie do tego dopuścić. Miał na to nadzieję, aczkolwiek wrodzony pesymizm przestrzegał go, że wydarzenia rozgrywają się po naszej myśli tylko w wyjątkowych przypadkach. W rzeczy samej, obawiał się znacznie gorszej ewentualności. Było zupełnie możliwe, że sobie tylko wiadomym sposobem uda mu się skłonić dużą grupę rozentuzjasmowanych i spragnionych krwi studentów do wysłuchania go, zaufania mu i rozpoczęcia walki o przywrócenie mu władzy. Tak zdarzyło się już co najmniej dwa razy w karierze Marszałka. Jego

osobista charyzma była tak wielka, że inni politycy tracili władzę w chwili, w której się tego najmniej spodziewali.

— Musimy go powstrzymać! — zawołał.

— Tak, tak — poparł go signor Vitelli. — To byłaby zbyt wielka strata.

— Trochę budzi moje obawy fakt — odezwał się monsieur Poissonier — że Marszałek ma tak wielu przyjaciół w Niemczech, a wiecie wszyscy, że Niemcy są prędcy w sprawach militarnych. Mogą skorzystać z takiej okazji.

— Dobry Boże, dobry Boże —

wzdychał monsieur Grosjean wycierając pot z czoła. — Co mamy zrobić? Co możemy zrobić? Co to za hałas? Czy to odgłosy wystrzałów?

— Nie, nie — uspokoił go monsieur Poissonier — to w kuchni coś upadło.

— Jest taki cytat, który doskonale odpowiada sytuacji — zaczął monsieur Grosjean, który był wielkim miłośnikiem dramatu. — Ale nie mogę go sobie przypomnieć. Cytat z Szekspira. „Kto uwolni mnie od tego...

— ...niesfornego, kaznodziei” — dokończył monsieur Poissonier. — To o Beckecie.

— Szaleniec taki jak Marszałek jest gorszy od kaznodziei. Ksiądz przynajmniej byłby nieszkodliwy, ale w rzeczy samej nawet do Jego Świątobliwości przysłał wczoraj delegacja studentów. Wiecie, co zrobił? Pobłogosławił ich. Nazywał ich dziećmi.

— To bardzo chrześcijański gest — rzekł monsieur Coin z powątpiewaniem.

— Nawet chrześcijańskie gesty można doprowadzić do przesady — skwitował monsieur Grosjean.

Rozdział czternasty

Konferencja w Londynie

W pokoju przy Downing Street 10 Mr Cedric Lazenby, premier Wielkiej Brytanii, siedział u szczytu długiego stołu i ponuro przyglądał się zebranych członkom swojego gabinetu. Na jego twarzy nie malował się nawet najmniejszy cień zadowolenia i dawało to premierowi, jak się zdaje, pewną ulgę. Przyszło mu nawet do głowy, że tylko w zaciszu tego pokoju może sobie pozwolić na okazywanie złego humoru, nie musiał tu, tak jak to robił dla

publiczności, ubierać twarzy w maskę mądrego optymizmu, co wybawiło go zresztą już z wielu politycznych kryzysów.

Premier spojrział na Gordona Chetwynda, którego czoło pokryte było siecią pełnych frasunku zmarszczek, przeniósł wzrok na sir George'a Packhama, jak zwykle zatopionego w rozmyślaniach, potem nieprzeniknioną twarz pułkownika Munro. wreszcie na marszałka Kenwooda, głównodowodzącego sił powietrznych, który nigdy nie krył się ze swoim brakiem zaufania do polityków. Dalej siedział admirał Blunt, potężny mężczyzna, który bębnił palcami po

stole czekając, aż przyjdzie na niego kolej.

— Nie jest zbyt dobrze — mówił Kenwood — trzeba to otwarcie przyznać. Pięć naszych samolotów zostało uprowadzonych zaledwie w zeszłym tygodniu. Wylądowali w Mediolanie. Wyszadzili tam pasażerów i znowu gdzieś poleciecieli, do Afryki, jeżeli chodzi o ścisłość. Tam czekali na nich piloci. Czarni.

— Czarna siła — stwierdził pułkownik Munro w zadumie.

— Może raczej czerwona siła — zasugerował Lazenby. — Wydaje mi się, że wszystkie nasze problemy są

rezultatem rosyjskiej indoktrynacji. Gdyby można było skontaktować się z Rosjanami... naprawdę rozważam osobistą wizytę na najwyższym szczeblu...

— Lepiej niech pan nie ingeruje, panie premierze — odezwał się admirał Blunt. — Lepiej nie zaczynać znowu z Ruskimi. Im zależy głównie na tym, żeby trzymać się z daleka od naszych kłopotów. Ich studenci zachowują się spokojnie. Na razie więc na wszelki wypadek patrzą na ręce Chińczykom.

— Lecz jestem przekonany, że osobisty kontakt...

— Niech pan się martwi o własny

kraj, panie premierze — uciał admirał Blunt stanowczo.

— Może byśmy lepiej zapoznali się z jakimś dokładnym raportem na temat aktualnych wydarzeń?

— Gordon Chetwynd spojrział w stronę pułkownika Munro.

— Chce pan faktów? Zupełnie słusznie. Nie są wcale miłe. Przypuszczam, że życzy pan sobie raczej informacji o ogólnej sytuacji światowej, nie zaś szczegółów na temat wydarzeń lokalnych?

— Zgadza się.

— Tak więc we Francji Marszałek ciągle jeszcze przebywa w szpitalu. Ma dwie kule w ramieniu. W kręgach politycznych prawdziwe piekło. Wszystkie drogi wyjazdowe z Paryża opanowane są przez oddziały tak zwanych Sił Młodzieży.

— Czy sugeruje pan, że są uzbrojeni?
— zapytał Gordon Chetwynd z przerażeniem.

— Po same zęby — odparł pułkownik. — Doprawdy nie wiem, skąd to wszystko wzięli. Mamy pewne podejrzenia — niedawno cały transport broni został wysłany ze Szwecji do Afryki Zachodniej.

— A co to ma z tym wspólnego? —
oburzył się Mr Lazenby. — Kogo
obchodzi Afryka Zachodnia? Niech się
tam wystrzelają co do nogi.

— Jest w tej sprawie coś
podejrzanego, tak przynajmniej wynika z
raportów wywiadu. Tutaj mam wykaz
całego uzbrojenia, które zostało wysłane
do Afryki. Ciekawe jest to, że cały ten
sprzęt został z Afryki gdzieś odesłany.
Odbiór jest potwierdzony,
prawdopodobnie opłacony, ale sprzęt
wywędrował gdzieś z kraju przed
upływem pięciu dni. Został odesłany w
dalszą drogę.

— Ale o co tu chodziło?

— Wydaje się — odparł Munro — że ta broń nigdy nie była przeznaczona dla Afryki Zachodniej. Została opłacona i przetransportowana gdzie indziej. Może na Bliski Wschód, nad Zatokę Perską, do Turcji albo Grecji. Transport samolotów trafił do Egiptu, stamtąd zaś przewieziono go do Indii. Z Indii powędrował z kolei do Rosji.

— Wydawało mi się, że ta broń pochodziła właśnie z Rosji.

— ...natomiast z Rosji przewieziono je do Pragi. To wszystko wygląda jak na wariackich papierach.

— Nic nie rozumiem — wtrącił sir George. — Zastanawiam się, czy...

— Można przypuszczać, że rządzi tym wszystkim jakaś centralna organizacja, która koordynuje dostawy. Samoloty, broń, czołgi, również broń biologiczna, wszystkie te transporty przesuwają się w nieprzewidywalnych kierunkach. Docierają określonymi drogami do różnych punktów zapalnych na świecie i trafiają do rąk przywódców tych, jak je nazywają, Sił Młodości. Głównie zaopatrują młodych partyzantów, głosicieli anarchii, którzy dostają, bo wątpię, że za nie płacą, wszystkie najnowocześniejsze modele.

— Czy sugeruje pan, że grozi nam wojna na światową skalę? — Cedric Lazenby był wstrząśnięty.

Spokojny człowiek o azjatyckich rysach twarzy, który siedział przy końcu stołu i nie zabierał dotychczas głosu, podniósł do góry uśmiechniętą łagodnie twarz i rzekł:

— Takie właśnie nasuwa się wrażenie. Z naszych obserwacji wynika...

Lazenby przerwał mu w pół słowa.

— Będziecie musieli przerwać wasze obserwacje. ONZ sama będzie musiała chwycić za broń i położyć temu kres.

Twarz jego interlokutora nawet nie drgnęła.

— To byłoby sprzeczne z naszymi zasadami — padła odpowiedź.

Pułkownik Munro tymczasem kontynuował swój raport.

— Ciężkie walki toczą się w większości zapalnych rejonów świata. Południowo-wschodnia Azja ogłosiła niepodległość dawno temu, a teraz mamy cztery lub pięć nowych podziałów w Ameryce Południowej, na Kubie, w Peru, Gwatemali i tak dalej. Jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, to panowie wiedzą, że Waszyngton został niemal doszczętnie spalony, a całe zachodnie wybrzeże opanowane jest przez bojówki Sił Młodzieży. W Chicago ogłoszono stan wyjątkowy. Słyszeli panowie o

Samie Cortmanie? Zeszłej nocy został zastrzelony na schodach tutejszej amerykańskiej ambasady.

— Miał tu dzisiaj być — przypomniał sobie Lazenby. — Miał nam przedstawić swój punkt widzenia na tę sprawę.

— Nie sędzę, żeby to coś zmieniło — ocenił pułkownik Munro. — Miły był z niego człowiek, ale marny polityk.

— Ale kto za tym wszystkim stoi? — głos Lazenby'ego podniósł się histerycznie. — Możliwe, że Rosjanie... — ciągle jeszcze nie mógł rozstać się z pomysłem lotu do Moskwy.

Pułkownik Munro pokręcił głową. —
Bardzo wątpliwe — odparł.

— Ja bym zaryzykował — ciągnął
Lazenby z twarzą rozjaśnioną nadzieją.
— Całkowicie nowe strefy wpływów.
Może to Chińczycy...?

— Ani Chińczycy — zgasił go
pułkownik Munro. — Zdaje pan sobie
sprawę, że w Niemczech odnotowują
niezwykły rozkwit neofaszyzmu?

— Chyba nie myśli pan poważnie, że
Niemcy...

— Nie twierdzę, że stoją za tym
wszystkim, ale mogliby z łatwością. Już
to kiedyś robili. Przygotowywali

wszystko z wyprzedzeniem kilkuletnim, planowali, zapinali na ostatni guzik. Niemcy są dobrzy w planowaniu. Wspaniale ze sobą współpracują. Podziwiam ich za to i nic na to nie poradzę.

— Ale Niemcy wydawały się takim spokojnym i dobrze zarządzanym krajem.

— Oczywiście, ma pan rację. Ale na przykład w Ameryce Południowej aż się roi od młodych niemieckich neofaszystów, założyli tam nawet liczną Federację Młodzieżową. Nazywają się Super-Aryjczykami lub podobnie. Odgrzebują stare tradycje hitlerowskie, też używają swastyki, salutują, ich

przywódca nazywa się Młody Wotan, czy Młody Zygfyrd, nie pamiętam. Jakieś aryjskie bzdury.

Rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się w nich sekretarz.

— Przybył profesor Eckstein, sir.

— Chyba lepiej będzie, jak go poprosimy — stwierdził Lazenby. — Tylko on potrafi powiedzieć nam coś o najnowszej broni. Może wkrótce już będziemy mieli asa, który pozwoli zakończyć tę awanturę. — Oprócz tego, że był profesjonalnym rozjemcą niosącym pokój w różne części świata, Mr. Lazenby był też nieuleczalnym optymistą, mimo że fakty rzadko go do

optymizmu skłaniały.

— Przydałaby się jakaś tajna broń —
ucieszył się Kenwood.

Profesor Eckstein, uważany przez wielu za największego brytyjskiego naukowca, na pierwszy rzut oka wyglądał bardzo niepozornie. Był niskiego wzrostu, nosił staromodne baczki i astmatycznie pochrząkiwał. Sprawiał wrażenie człowieka, który przeprosza, że żyje. Wydawał pomruki w rodzaju „ach!”, „hmm...” lub „eee...”, głośno wycierał nos, chrząkał i nieśmiało wyciągał na powitanie rękę, gdy przedstawiano go zgromadzonym. Wielu z nich już wcześniej znał i tych witał nerwowym skinięciem głowy.

Następnie usiadł na wskazanym mu krześle i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem, po czym przystąpił do obgryzania paznokci.

— Zebrali się tutaj ludzie na najwyższych stanowiskach — zaczął George Packham. — Czekamy na pańską opinię w sprawie dalszego postępowania.

— Och! — westchnął profesor Eckstein. — Postępowania? Tak, tak, postępowania.

Na chwilę zapadła cisza.

— Na świecie panuje anarchia — podjął sir George.

— Tak to wygląda, prawda? Przynajmniej tak przedstawiają to gazety. Ale ja wcale w to nie wierzę. Doprawdy, co ci dziennikarze wypisują. Żadnej odpowiedzialności.

— Słyszeliśmy, że dokonał pan ostatnio jakichś nadzwyczajnych odkryć, profesorze — rzekł Cedric Lazenby zachęcająco.

— A owszem, owszem — profesor Eckstein rozchmurzył się lekko. — Wynaleźliśmy bardzo nieprzyjemną broń, gdyby nam była do czegoś potrzebna. Broń biologiczną, panowie, gaz, który jest w stanie zatruć całą wodę i powietrze. Jeżeli panowie sobie życzą, mogę wytruć połowę ludności w Anglii

w ciągu trzech dni — zatarł ręce. — Czy tego właśnie panowie oczekiwali?

— Skądże znowu, niech ręka boska broni! — zaprotestował Mr Lazenby.

— W tym właśnie problem. Kwestia nie polega na braku wystarczającej ilości śmiertelnej broni. Tej mamy nawet zbyt wiele. Jest zbyt śmiertelna. Problem polega na zachowaniu przynajmniej części ludzi przy życiu. Ludzi odpowiedzialnych za wszystko, na przykład nas — dokończył profesor i zaśmiał się malutkim, dychawicznym śmiechem.

— Ale nam wcale o to nie chodzi — upierał się Lazenby.

— Nieważne, o co wam chodzi, liczy się tylko to, co mamy. Wszystko, co posiadamy, jest przerażająco śmiercionośne. Jeżeli pan chce zlikwidować wszystkich ludzi poniżej trzydziestki, może pan to uczynić bez większego trudu. Ale, uwaga, przy okazji pozbawi pan życia również wielu starszych. Trudno jest oddzielić jednych od drugich. Ja osobiście odradzałbym takie posunięcie. Mam wielu bardzo zdolnych młodych asystentów. Trochę zwariowani, ale byłoby ich szkoda.

— Mój Boże, do czego ten świat zmierza... — jęknął Kenwood.

— Dobre pytanie — pochwalił profesor Eckstein.

— Tego akurat nie wiemy. Nie mamy o tym pojęcia, mimo że wiemy to i owo na różne inne tematy. Na przykład ostatnio sporo dowiedzieliśmy się na temat księżyca, wiemy dużo o biologii, potrafimy transplantować serca i wątroby. Pewnie wkrótce również mózgi, chociaż wcale nie jestem tego taki pewien. Ale nie wiemy, kto stoi za tym zamieszaniem. A ktoś na pewno stoi i to ktoś raczej potężny. Są różne przejawy tej działalności, afery przemytnicze, narkotykowe i inne takie. Potężna grupa kierowana przenikliwymi umysłami. Nagle coś się zaczyna dziać w tym kraju, potem w tamtym, od czasu do czasu na skalę europejską. Ale tym

razem jest to coś poważniejszego, zwłaszcza po tamtej stronie globu, na południowej półkuli. Przypuszczam, że wkrótce obejmie to nawet Antarktydę — profesor wydawał się być zadowolony ze swojej diagnozy.

— Ludzie złej woli...

— Owszem, można to ująć i tak. Zła wola bezinteresowna, lub też zła wola za pieniądze i władzę. Trudno to odróżnić. Oni sami pewnie tego nie wiedzą. Chcą przemocy, bo lubią przemoc. Nie podoba im się świat ani nasze materialistyczne podejście. Nie mogą znieść myśli o naszych sposobach robienia pieniędzy ani o naszych krętactwach. Nie podoba im się nędza.

Chcą lepszego świata. — Wydaje mi się, że stworzenie lepszego świata nie jest wcale niemożliwe, jeżeli się to dobrze przemyśli. Ale nie wolno zapominać, że gdy coś się likwiduje, należy to czymś zastąpić. Natura nie znosi próżni, to stara, ale dobra maksyma. Do licha, to trochę tak, jak transplantacja serca: zabiera się jedno, ale trzeba włożyć w to miejsce inne, sprawne. I to sprawne serce należy sobie załatwić, zanim się wyjmie poprzednie. W rzeczy samej uważam, że lepiej zostawić większość z tych spraw własnemu biegowi, ale nikt mnie nie posłucha, jak przypuszczam. Zresztą, to nie mój obszar zainteresowania.

— A więc co z tym gazem? — zapytał pułkownik Munro.

Profesor Eckstein rozchmurzył się.

— Mamy w zanadrzu wiele gazów. Niektóre z nich są nawet dosyć nieszkodliwe. Łagodne środki prewencyjne, można powiedzieć. Mamy tego mnóstwo — uśmiechnął się niczym handlarz zachwalający swój towar.

— Może broń atomowa? — zasugerował Mr Lazenby.

— Lepiej z nią nie igrzać! Nie chce pan chyba radioaktywnej Anglii albo całego kontynentu?

— A więc nie potrafi pan nam pomóc? — podsumował pułkownik Munro.

— Nie, aż do czasu, gdy będziemy więcej wiedzieć — odparł profesor Eckstein. — Muszę panom przypomnieć, że większość rzeczy, nad którymi pracuję, jest naprawdę *niebezpieczna* — położył nacisk na ostatnie słowo. — *Niezwykle* niebezpieczna.

Patrzył na nich wzrokiem zaniepokojonego wujka, który dał dzieciom do zabawy pudełko zapalek, wiedząc, że mogą z łatwością puścić z dymem cały dom.

— No cóż, dziękujemy, profesorze —

rzekł Lazenby, ale w jego głosie nie dało się odczuć specjalnej wdzięczności.

Profesor, słusznie domyślając się, że został odprawiony, uśmiechnął się do wszystkich i drobnym kroczkiem opuścił pokój.

Ledwo zamknęły się za nim drzwi, Lazenby dał upust swym uczuciom.

— Ach, ci naukowcy, wszyscy tacy sami! — wykrzyknął z goryczą. — Żadnego z nich pożytku. Najpierw rozszczepiają atom, a potem podnoszą wrzask, żeby tego nie wykorzystywać.

— A więc równie dobrze możemy o

nim zapomnieć — uznał admirał Blunt. — Szukamy czegoś znajomego i nieszkodliwego w działaniu, jak selektywny środek chwastobójczy, który... — przerwał nagle. — Zaraz zaraz...

— Tak, admirale? — zapytał premier uprzejmie.

— Nic, coś mi to przypomina. Ale nie wiem co... Lazenby westchnął.

— Jest tam jeszcze jakiś naukowy ekspert na tapecie? — zapytał Gordon Chetwynd spoglądając z nadzieją na swój zegarek.

— Mam wrażenie, że jest jeszcze

stary Pikeaway — odparł Lazenby. —
Przyniósł jakiś rysunek czy mapę lub coś
w tym rodzaju i chce nam to pokazać.

— A o co konkretnie chodzi?

— Nie mam pojęcia. Przypomina
jakieś kółka — wyjaśnił Lazenby
niepewnie.

— Kółka? Jak to kółka?

— Sam nie wiem. No cóż —
westchnął — myślę, że powinniśmy
rzucić na to okiem.

— Jest tu też Horsham.

— Może on przyniósł jakieś nowiny

— rzekł Chetwynd.

Do pokoju wkroczył pułkownik Pikeaway obejmując ramionami wielki rulon papieru, który rozwinął przy pomocy Horshama i zawiesił na stojaku, tak by siedzący wokół stołu mogli go dobrze widzieć.

— Nie jest jeszcze dobrze wyskalowany, ale może dać panom pewne pojęcie — zaczął pułkownik Pikeaway.

— A co to przedstawia?

— Kółka? — mruknął sir George. Po chwili przyszło mu coś do głowy. — Czy to jakiś nowy gaz?

— Niech pan wygłosi wykład,
Horsham — rzekł pułkownik Pikeaway.
— Pan wie, o co tu chodzi.

— Wiem tylko tyle, ile usłyszałem. To
jest orientacyjny schemat podziału
światowej władzy.

— Między kogo?

Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.9.16

— Między grupy mające dostęp do źródeł siły.

— A te litery?

— Oznaczają osoby lub grupy. Tu mamy przecinające się okręgi, które obejmują cały świat. Okrąg oznaczony literą A oznacza *armaments*: uzbrojenie. Ktoś, lub jakaś grupa, kontroluje uzbrojenie wszelkich typów. Środki wybuchowe, karabiny, pojazdy. Na całym świecie broń produkowana jest zgodnie z jakimś planem, rozsyłana ostentacyjnie do najbiedniejszych, zacofanych krajów, w których toczą się walki. Ale ta broń wcale tam nie pozostaje. Jest stamtąd odsyłana w inne miejsca. Na przykład do partyzantów

południowoamerykańskich, do przywódców zamieszek w Stanach Zjednoczonych, do stref czarnej siły, a także do różnych krajów Europy.

— D oznacza *drugs*: narkotyki. Sieć dostawców rozprowadza je po świecie z różnych składów i magazynów. Wszelkie rodzaje narkotyków, od lekkich środków odurzających do prawdziwych trucizn. Siedziba władz tego okręgu jest usytuowana gdzieś na Bliskim Wschodzie, stamtąd towar wędruje przez Turcję, Pakistan, Indie i Centralną Azję.

— Czy to przynosi pieniądze?

— Ogromne sumy pieniędzy. Ale to

więcej niż grupa handlarzy narkotyków. To coś o wiele groźniejszego. Ich zadaniem jest wyniszczenie słabszych jednostek, robienie z nich niewolników. Całkowite zniewolenie, tak żeby nie mogli żyć ani pracować bez swojej działki narkotyku.

Kenwood gwizdnął.

— A to ponura historia! Czy wiecie, kim są ci handlarze?

— Znamy kilku z nich. Ale tylko płotki ani jednej grubszej ryby. Jak przypuszczamy, ich kwatera główna znajduje się w Azji Środkowej lub na Bliskim Wschodzie. Narkotyki są przewożone w oponach

samochodowych, w cemencie, w betonie, w różnego rodzaju maszynach i produktach przemysłowych. Są rozprowadzane po całym świecie i sprzedawane bez kłopotu jak zwykłe towary.

— F to *finanse*. Pieniądze! Pajęczyna utkana z pieniędzy w samym środku tego systemu. Jeżeli chcecie usłyszeć coś więcej na ten temat, musicie udać się do pana Robinsona. Ja wiem tylko tyle, że pieniądze pochodzą z Ameryki oraz z Bawarii. Mają wielkie rezerwy w Afryce Południowej, głównie w złocie i diamentach. Większość z tych środków idzie do Ameryki Południowej. Jednym z najważniejszych szefów od finansów,

jeżeli mogę tak to ująć, jest bardzo potężna i uzdolniona kobieta. Nie jest już młoda, faktycznie zbliża się już do śmierci. Ale ciągle jest silna i aktywna. Nazywa się Charlotte Krapp. Jej ojciec był wielkim posiadaczem ziemskim w Niemczech. Ona sama wyrosła na finansowego geniusza i zrobiła karierę na Wall Street. Inkasowała fortunę za fortuną ze swoich inwestycji na wszystkich krańcach świata. Obecnie jest właścicielką wielu koncernów przemysłowych. Mieszka na zamku w Bawarii i stamtąd kieruje strumieniami pieniędzy w różne strony.

— S to *science*, czyli nauka. Ogrom wiedzy na temat nowych środków

bojowych, chemicznych i biologicznych. Wielu młodych naukowców, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, oddało swoje umysły w służbę anarchii.

— Walka o anarchię? To przecież wewnętrzna sprzeczność. Czy to w ogóle możliwe?

— W anarchię wierzą głównie ludzie młodzi. Chcą lepszego świata, a najlepiej przystąpić do takiej zmiany burząc stary porządek. Zupełnie tak, jak burzymy stary dom, jeżeli chcemy postawić nowy. Ale jak ten świat będzie wyglądał, jeżeli mało kto wie, dokąd to wszystko zmierza, dokąd ci ludzie idą, a raczej dokąd są popychani? Jak oni sami będą wyglądali u kresu drogi? Część z

nich będzie niewolnikami, część zaślepiona nienawiścią i przemocą, zarówno tą głoszoną jak i praktykowaną. Inna część, a tych już tylko Bóg może uratować, pozostanie idealistami, wierzącymi w słuszność głoszonych zasad, tak jak ludzie w czasie rewolucji francuskiej wierzyli, że rewolucja przyniesie im dobrobyt, pokój i szczęście.

— A jaka jest nasza rola w tym wszystkim? Czy mamy jakiś plan? — zapytał admirał Blunt.

— Nasza rola? Robimy, co możemy. Zapewniam pana, że każdy z tu zebranych robi dokładnie wszystko, co

w jego mocy. Mamy ludzi pracujących dla nas w wielu krajach. Mamy agentów, wywiadowców, ludzi, którzy non stop dostarczają nam informacji...

— Zaś informacja to podstawa — wtrącił pułkownik Pikeaway. — Najpierw musimy wiedzieć, kto jest kim, kto jest z nami, a kto przeciw nam. Dopiero wtedy jesteśmy w stanie zorientować się, co właściwie możemy zrobić.

— Nazwaliśmy ten schemat Pierścieniem. Tutaj jest wykaz naszych wiadomości o przywódcach Pierścienia. Niektórych znamy tylko z pseudonimu, innych tylko podejrzewamy o udział w Pierścieniu.

PIERŚCIEN

F Wielka Charlotte — Bawaria

A Eric Olafsson — Szwecja,
producent uzbrojenia

D używa pseudonimu

Demetrios — Smyrna, narkotyki

S Dr Sarolensky — Kolorado, USA,

Lekarz, farmaceuta.

Tylko podejrzenia.

J — Kobieta. Używa pseudonimu
Juanita.

Podobno niebezpieczna.

Prawdziwe nazwisko nieznane.

Rozdział piętnasty

Ciotka Matylda jedzie do wód

I

— Może do wód? — zasugerowała lady Matylda.

— Do wód? — powtórzył doktor Donaldson. Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, tracąc swą maskę medycznej nieomyślności. Lady Matylda pomyślała sobie, że niestety takie są

właśnie skutki zmiany lekarza ze starszego, z którym się człowiek zdążył żyć przez lata, na młodszego.

— Tak się to nazywało w moich czasach —: wyjaśniła cierpliwie ciotka Matylda. — Gdy ja byłam młoda, jeździło się do wód. Do Marienbadu, Karlsbadu, Baden—Baden i innych. Kilka dni temu przeczytałam w gazetach o jakimś nowym kurorcie. Zupełnie nowe miejsce, bardzo nowoczesne. Podobno całe wyposażenie zbudowane jest tam według najnowszych technologii. Niech pan sobie nie myśli, że tak gonię za nowoczesnością, ja się jej po prostu nie boję. Przypuszczam zresztą, że to nie będzie nic nowego. Pewnie będzie woda

o zapachu zgniłych jaj, najnowsza dieta, kąpiele o jakiejś nieprzyzwoicie wczesnej godzinie. Niewykluczone, że będą też masaże, kiedyś robiono je za pomocą wodorostów. Ale ta nowa miejscowość jest gdzieś w górach, w Bawarii czy Austrii, czy gdzieś tam. Więc nie sądzę, żeby mieli wodorosty. Prędzej mech. I może jakąś smaczniejszą wodę mineralną zamiast jajeczno-siarkowej. I z pewnością mają nowoczesne budynki. Jedyna rzecz, jaka nie podoba mi się w tych dzisiejszych budynkach, to brak poręczy. Robią schody z marmuru, ale nie pomyślą o poręczach. Człowiek nie ma się na czym wesprzeć.

— Wydaje mi się, że wiem, o które miejsce pani chodzi — powiedział doktor Donaldson. — Ostatnio bardzo je reklamują w gazetach.

— Zdaje pan sobie sprawę, jacy są starsi ludzie — ciągnęła ciotka Matylda. — Lubią spróbować czegoś nowego. Ot tak, dla zabawy. Nie przypuszczam, żeby mogło to pomóc mojemu zdrowiu. Ale przyzna pan, że to nie taki zły pomysł, prawda, doktorze?

Dr Donaldson przyjrzał się starszej pani uważnie. Wcale nie był taki młody, za jakiego lady Matylda go brała. Zbliżał się właśnie do czterdziestki i starał się być bardzo taktowny i wyrozumiały dla swych starszych

pacjentów, oczywiście w pewnych rozsądnych granicach.

— Jestem pewien, że wyjazd taki nie wyrządzi pani żadnej krzywdy — przyznał w końcu. — To nawet niezły pomysł. Oczywiście, podróż będzie trochę męcząca, mimo że w dzisiejszych czasach lata się szybko i łatwo.

— Szybko, owszem, ale nie łatwo — sprostowała lady Matylda. — Ruchome schody, mnóstwo korytarzy, autobusem z lotniska do samolotu, samolotem na inne lotnisko, stamtąd do innego autobusu. Wielkie zamieszanie! Mam nadzieję, że wolno mi zabrać mój wózek inwalidzki?

— Oczywiście, że wolno. Doskonały

pomysł. Jeżeli pani obieca, że go zabierze, i nie będzie się pani wydawało, że może wszędzie dojść o własnych siłach...

— Wiem, wiem — przerwała mu pacjentka. — Widzę, że pan rozumie. Jest pan bardzo wyrozumiałym człowiekiem. Każdy ma swoją dumę i dopóki może jeszcze poruszać się o własnych siłach lub z niewielką pomocą, nie chce z siebie robić kaleki. Byłoby mi łatwiej, gdybym była mężczyzną — zamyśliła się ciotka Matylda. — Mogłabym sobie owinać nogę ogromnym bandażem i udawać, że mam podagrę. Mężczyzna może mieć podagrę i nikt go przez to nie uważa za

kalekę. Co najwyżej jego przyjaciele myślą sobie, że to od nadmiaru trunków, ale to nieprawda. Kiedyś uważano, że alkohol wywołuje podagrę, teraz nikt już w to nie wierzy. Owszem, z wózkiem inwalidzkim mogłabym polecieć do Monachium albo nawet dalej. Można by zorganizować dla mnie jakiś samochód, który by mnie tam odebrał.

— Zabierze pani oczywiście pannę Leatheran.

— Amy? To zrozumiałe. Nigdzie się bez niej nie ruszam. Więc pan uważa, że nie ucierpię z powodu tej podróży?

— Jestem pewien, że poczuje się pani dużo lepiej.

— Jest pan bardzo miły.

Lady Matylda obdarzyła lekarza swoim słynnym perskim okiem.

— Jeżeli jest pan zdania, że wizyta w nowym miejscu i spotkanie nowych twarzy mnie ucieszy, to ma pan zupełną rację. Ale dla mnie liczy się również to, że jadę do wód czy, jak wy to teraz nazywacie, do uzdrowiska. Chociaż prawdę mówiąc, nie mam specjalnie czego uzdrawiać. Nie sądzi pan? Może z wyjątkiem starości, ale na to, zdaje się, nie ma lekarstwa.

— Najważniejsze, żeby się pani dobrze bawiła. A jeżeli robienie czegoś zmęczy panią, proszę przestać to robić i

tyle.

— Obiecuję, że będę pić jajeczną wodę szklankami. Nie dlatego, że mi smakuje albo żebym myślała, że mi dobrze zrobi. Ale ma bardzo sugestywne działanie. Starsze kobiety w naszej wiosce zawsze wybierały sobie porządne, mocne lekarstwa, czarne lub fioletowe w kolorze, o silnym smaku mięty. Wydawało im się, że są dużo lepsze niż jakieś niepozorne pigułki albo płyny wyglądające jak zwykła woda, bez żadnych egzotycznych dodatków.

— Jest pani znakomitym znawcą ludzkiej natury — skłonił się dr Donaldson.

— Jest pan bardzo uprzejmy — rzekła lady Matyllda.

— Będę to pamiętać. Amy!

— Słucham, lady Matylldo?

— Przynieś mi atlas. Zapomniałam, gdzie leży Bawaria i z kim sąsiaduje.

— Niech się zastanowię. Atlas. Chyba jest jakiś w bibliotece. Musi tu być parę atlasów, ale obawiam się, że wszystkie pochodzą co najmniej z dziewiętnastego wieku.

— Czy naprawdę nie mamy czegoś bardziej współczesnego?

— Atlas — powtórzyła Amy w głębokim zamyśleniu.

— Jeżeli nie ma, będziesz musiała jakiś kupić i przynieść tu jutro rano. To bardzo ważne, bo przecież wszystkie nazwy się pozmieniały, granice poprzesuwały i nie będę wiedziała gdzie jestem. Będziesz musiała mi w tym pomóc. Znajdź mi szkło powiększające, dobrze? Wydaje mi się, że gdy czytałam kiedyś w łóżku, wypadło mi i wsunęło się między łóżko a ścianę.

Minęło trochę czasu, nim wszystkie zalecenia ciotki Matyldy zostały wypełnione, ale w końcu Amy udało się zgromadzić dwa atlasy, jeden nowy i drugi starszy, dla porównania, oraz

szkło powiększające. Lady Matylda musiała przyznać w duchu, że Amy była bardzo pomocna.

— A więc to jest gdzieś tutaj. Zdaje się, że ciągle jeszcze nazywa się Monbrügge, czy coś takiego. Leży w Tyrolu albo w Bawarii. Wszystko się poprzesuwało na tej mapie albo zmieniło nazwę...

II

Lady Matylda rozglądała się po

swoim pokoju w pensjonacie. Był doskonale wyposażony, zresztą bardzo drogi. Łączył w sobie wygodę z wrażeniem surowości, przywodzącej na myśl ascetyczną dietę, wyczerpujące ćwiczenia fizyczne i serię bezlitosnych masaży. Urządzenie pokoju wydało się lady Matyldzie interesujące. Było odpowiednie dla wszelkich gustów. Na ścianie wisiała wypisana gotykiem sentencja oprawiona w ozdobną ramę. Niemiecki lady Matyldy nie był tak płynny jak w jej szkolnych dniach, ale wystarczył, by zrozumieć, że mówiła o wspaniałym powrocie do młodości. Przyszłość leżała w rękach młodych ludzi, a starsi byli delikatnie przekonywani, że drugi taki okres

pięknego rozkwitu właśnie się przed nimi otwierał.

A pensjonat właśnie zapewniał najrozmaitsze pomoce służące ułatwieniu osiągnięcia takiego celu, pod warunkiem oczywiście, że miało się wystarczającą ilość pieniędzy. Koło łóżka leżała podręczna Biblia, podobna do tych, jakie lady Matylda często znajdowała przy łóżku w trakcie swej podróży przez Stany Zjednoczone. Wzięła ją z zadowoleniem do ręki, otworzyła na chybił–trafił i zatrzymała palec przy jakimś wersecie. Przeczytała go z uwagą, pokiwała głową i zapisała sobie w notatniku leżącym na stoliku nocnym. Był to jej często stosowany

sposób na otrzymanie boskiej rady w chwili potrzeby.

„Byłem młody, teraz jestem stary, ale nigdy nie widziałem, żeby Bóg opuścił sprawiedliwych”.

Lady Matylda dalej rozglądała się po pokoju. Niezbyt na widoku, ale w dostępnym miejscu, na dolnej półce szafki nocnej, umieszczono *Almanach de Gotha*. Niebywale cenna pozycja dla wszystkich tych, którzy pragnęli zapoznać się z wyższymi sferami społeczeństwa sięgającymi swą historią kilkuset lat wstecz. To mi się przyda, pomyślała lady Matylda, mogę się z tego dowiedzieć dużo interesujących rzeczy.

Blisko biurka znajdowała się kolekcja tanich wydań książek autorstwa rozmaitych współczesnych proroków. Ci, którzy jeszcze do niedawna rozbrzmiewali głosem wołającego na puszczy, tkwili tu na półce, by przeczytał i docenił ich młody czytelnik, taki z długimi włosami, dziwacznie ubrany, lecz z otwartym sercem. Marcuse, Guevara, Lévi–Strauss, Fanon.

Na wypadek, gdyby przyszło jej rozmawiać ze złotą młodzieżą, lady Matylda postanowiła przejrzeć także kilka z tych książek.

W tej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi, które uchyliły się lekko i pojawiła się w nich głowa

wiernej Amy. Ależ ona będzie wyglądać zupełnie jak owca za jakieś dziesięć lat, przemknęło ciotce Matyldzie. Miła, uczynna, wierna owca. Na razie, przyznała ciotka, wyglądała jeszcze jak bardzo przyjemne jagniątko, z ładnymi loczkami i oczyma pełnymi dobroci.

— Mam nadzieję, że dobrze się pani spało.

— Wspaniale, moja droga, bardzo dobrze. Masz to coś?

Amy zawsze wiedziała, co jej pani miała na myśli. Bez wahania wręczyła „to coś” swojej chlebodawczyni.

— Ach, moja karta obiadowa. Co my

tu mamy? — lady Matylda przebiegła po niej wzrokiem. — Ależ to wszystko paskudne. Jaka jest ta woda, którą mi tu każą pić?

— Smakuje niezbyt dobrze.

— Tego się właśnie obawiałam. Przyjdź z powrotem za pół godziny, dam ci list do wysłania.

Odsunąwszy swą tacę śniadaniową, lady Matylda przeniosła się na biurko. Zamyśliła się na chwilę, po czym szybko skreśliła parę słów na papierze listowym.

— To powinno załatwić sprawę — mruknęła do siebie.

— Przepraszam, lady Matyldo, co pani powiedziała?

— Piszę właśnie do tej swojej przyjaciółki, o której ci wspominałam.

— Tej, której pani nie widziała od pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu lat?

Lady Matylda skinęła głową.

— Mam nadzieję... — zaczęła Amy z niepokojem w głosie. — To znaczy, minęło już tyle czasu. Ludzie tak szybko zapominają. Mam nadzieję, że ona jeszcze pamięta panią i wszystko...

— Oczywiście, że pamięta! — odparła lady Matylda.

— Najlepiej pamięta się ludzi, których się poznało w wieku od dziesięciu do dwudziestu lat. Tkwią w pamięci już na zawsze. Pamięta się, jakie nosili kapelusze, jak się śmiali, pamięta się ich wady, zalety i w ogóle wszystko. A ludzie, których poznałam, powiedzmy, dwadzieścia lat temu, nawet nie wiem, kim są! Nie poznaję nazwisk ani twarzy. Oh, ona mnie będzie pamiętać na pewno! Mnie i Lozannę. No, a teraz biegnij wysłać ten list. Ja mam trochę roboty.

Z tymi słowy wzięła do ręki *Almanach de Gotha* i wróciła do łóżka, by przestudiować problemy, które wydawały jej się istotne. Niektóre

powiązania rodzinne mogą być bardzo przydatne. Kto ożenił się z kim, kto gdzie mieszkał, jakie nieszczęścia kogo spotkały. Osoba, która interesowała lady Matyldę, wcale nie znajdowała się w *Almanachu*, ale mieszkała w zamku, który niegdyś należał do szlacheckiej rodziny, więc część splendoru, który otaczał poprzednich posiadaczy, naturalną rzeczą kolejną przypadła jej w udziale. Ale do powiązań z wysoko urodzonymi nie miała nawet żadnych aspiracji. Musiała radzić więc sobie za pomocą pieniędzy. Całych gór pieniędzy. Niewiarygodnych wręcz ilości pieniędzy. Lady Matylda Cleckheaton nie miała nawet cienia wątpliwości, że ją, córkę księcia, czeka

wkrótce zaproszenie na małe przyjęcie.
Kawa, a być może i pyszne kremowe
ciastka...

III

Lady Matylda Cleckheaton weszła do jednego ze wspaniałych salonów zamku, do którego przybyła po piętnastomilowej podróży. Na wizytę tę ubrała się z wielką starannością, aczkolwiek zupełnie nie po myśli Amy. Amy rzadko udzielała jej porad, ale tak jej zależało na tym, by jej pani odnosiła

sukcesy we wszystkim, do czego się zabierała, że tym razem zaryzykowała krytykę.

— Czy nie wydaje się pani, że ta czerwona suknia jest trochę zniszczona? Zwłaszcza tutaj, pod pachami, a poza tym jest nieco wytarta i ma plamę...

— Wiem, moja droga, wiem, To jest bardzo stara suknia, ale za to szyta u Patou. Teraz nie wygląda zbyt dobrze, ale czy ty wiesz, ile ona kiedyś kosztowała? Nie staram się wyglądać bogato czy ekstrawagancko. Jestem tylko zubożałą arystokratką. Jestem przekonana, że nikt poniżej pięćdziesiątki nie dałby za mnie złamanego grosza. Ale goszcząca mnie

osoba obraca się w środowisku, które każe czekać bogatym przy stole, aż usiądzie pewna starsza, zaniedbana kobieta o znakomitym pochodzeniu. Tradycji rodzinnych tak łatwo się nie gubi. Wręcz przeciwnie, tkwią one w człowieku, nawet gdy zmienia środowisko. Ach, właśnie, w mojej walizce jest boa. Bądź tak dobra i podaj mi.

— Ma pani zamiar założyć boa?

— Owszem. Boa ze strusich piór.

— Ojej, musi być okropnie stare!

— Nie przeczę, ale przechowywałam je bardzo starannie. Zobaczysz, że

Charlotte je pozna. Pomyśli, że córka angielskiego księcia zubożała do tego stopnia, że musi nosić te same stare łachy, co pięćdziesiąt lat temu. Założę też moje selskinowe futro. Jest nieco wyłysiałe, ale co to było kiedyś za futro!

T a k przygotowana, lady Matylda ruszyła do przodu. Amy towarzyszyła jej w eleganckim, ale nieco mniej wystawnym stroju.

Matylda Cleckheaton była przygotowana na, to, co zobaczy. Wieloryb, uprzedził ją Stafford. Wieloryb nurzający się we własnym tłuszczu, w pokoju zawieszonym obrazami o bajecznej wartości. Potwór rozłożony na tronie mogącym służyć za

rekwizyt w jakiejś niesamowitej sztuce o średniowieczu.

— Matylda!

— Charlotte!

— Po tylu latach! Aż nie chce się wierzyć.

Starsze panie wymieniały powitalne okrzyki częściowo po niemiecku, częściowo po angielsku. Niemiecki lady Matyldy był nieco niepoprawny, natomiast Charlotte mówiła tym językiem doskonale, podobnie zresztą jak angielskim, mimo że miała mocny, gardłowy akcent, w którym dawało się wyczuć lekką wymowę amerykańską.

Jest w stu procentach obrzydliwa, pomyślała lady Matylda. Przez chwilę nawet poczuła ciepło w okolicy serca, sięgające bardzo odległych czasów, lecz przypomniała sobie wnet, że Charlotte również jako dziewczyna była wyjątkowo niesympatyczna. Nikt jej nie lubił, łącznie z samą Matyldą. Ale nie oszukujmy się, ze znajomymi z lat szkolnych łączy nas więź wyjątkowo silna. Nieważne, czy Charlotte ją lubiła, czy nie. Dawna Charlotte podlizywała się jej, być może kierując się nadzieją na pobyt w prawdziwym angielskim zamku. Nawiasem mówiąc ojciec lady Matyldy, mimo że wywodził się z niezwykle szacownej rodziny, tonął w długach. Udało mu się zachować całość

posiadłości tylko dzięki bogatemu ożenkowi. Traktował swą żonę z najwyższym szacunkiem, natomiast ona korzystała z każdej okazji, by robić mu na złość. Lady Matyllda miała szczęście być jego córką z drugiego małżeństwa. Jej własna matka była bardzo miłą osobą, a przy tym uzdolnioną aktorką, odgrywającą rolę księżnej nawet lepiej, niż potrafiłaby to uczynić prawdziwa księżna.

Panie zajęły się następnie rozpamiętywaniem minionych dni, wspomnianiem różnych psikusów, które robiły swoim nauczycielom, plotkowaniem na temat szczęśliwych i nieszczęśliwych małżeństw, które stały

się udziałem ich szkolnych koleżanek. Lady Matyldzie udało się wtrącić kilka informacji zaczerpniętych ze stron *Almanachu gotajskiego*.

— Ależ to musiał być koszmar dla Elzy. Ten jej mężulek to chyba jeden z Bourbonów de Parme, prawda? Tak, tak, do czego to doszło... Bardzo smutne.

Wniesiono aromatyczną kawę i tace z kremowymi ciasteczkami.

— Ależ mi nie wolno — zaprotestowała lady Matylda. — Mój lekarz mi zabronił, a jest bardzo skrupulatny. Powiedział, że muszę ściśle przestrzegać diety, przynajmniej w

trakcie pobytu tutaj. Ale, co mi tam, raz się żyje. W końcu ten dzień, to jak powrót do młodości, prawda? Ale, o czym to ja miałam powiedzieć? Mój siostrzeniec, który odwiedził cię jakiś czas temu, zapomniałam, kto go tu przyprowadził, hrabina... jakieś nazwisko na Z...

— Hrabina Renata Zerkowski...

— Ach, tak, dokładnie! Bardzo urocza młoda dama, jak przypuszczam. Przyprowadziła go tu, do ciebie, to tak miło z jej strony. Był pod wielkim wrażeniem. Wszystko u ciebie mu ogromnie imponowało, twój styl życia, twój dom. Powiedział mi, że masz tu... jak on to nazwał? Wybór

najwspanialszej młodzieży. Złotą, piękną młodzież. Otaczają cię, wielbią cię — musisz mieć bardzo szczęśliwe życie. Ja bym nie mogła podjąć takiego życia. Muszę mieć dużo spokoju, rozumiesz — artretyzm. A do tego trudności finansowe. Tylko z trudem udaje mi się utrzymać rodzinny dom. Sama zresztą wiesz, jak jest w Anglii, nie tylko podatki i podatki.

— Pamiętam tego twojego siostrzeńca. Bardzo dobrze wychowany młody człowiek. Z korpusu dyplomatycznego, prawda?

— Ach, tak. Ale obawiam się, że nie jest dostatecznie doceniany. Oczywiście

wcale się nie skarży, ale czuje, że nie traktują go tam tak, jak na to zasługuje. Kim są ci, którzy tam zajmują wysokie stołki, znasz ich może?

— To hołota — rzuciła Charlotte.

— Intelktualiści bez wychowania. Nie to, co pięćdziesiąt lat temu — rozmarzyła się lady Matylda. — Dzisiaj awans przychodzi zbyt łatwo. Powiem ci coś, w sekrecie, ma się rozumieć, oni mu nie ufają. Podejrzewają go o sympatię do tych, no... tendencji rewolucyjnych. Nie rozumieją, jakie szerokie horyzonty ma ten człowiek.

— Rozumiem, że twój siostrzeniec nie sympatyzuje z tym, jak to w Anglii

nazywają, establishmentem?

— Sza! Nie wolno o tym wspominać, przynajmniej ja nie mogę — zaprotestowała lady Matylda.

— Ale to jest interesujące — odparła Charlotte. Matylda Cleckheaton westchnęła.

— Połóż to na karb miękkiego serca starszej krewnej. Staffy zawsze był moim ulubieńcem. Ma wdzięk i inteligencję, a to się liczy. Miewa również pomysły. Wyobraża sobie przyszłość zupełnie inną od terażniejszości. Niestety, nasz kraj jest obecnie w bardzo złym stanie pod względem politycznym. Stafford bardzo

się zapalił do tego, co ty mu naopowiadałaś lub pokazałaś. Potrzeba nam przywództwa nadrzędnej rasy.

— Racja, powinna być nadrzędna rasa. Adolf Hitler słusznie to ujął — stwierdziła Charlotte. — Sam był mało ważnym człowieczkiem, ale jego charakter posiadał rys artystyczny. No i miał talent przywódczy.

— Właśnie, brak nam przywództwa.

— W czasie ostatniej wojny wybraliście sobie niewłaściwych sojuszników, moja droga. Gdyby Anglia i Niemcy stanęły razem bok przy boku, gdyby miały takie same ideały: siłę i młodość! Wyobrażasz sobie? Dwa

aryjskie narody, gdzie byśmy teraz byli... Ale to jest nawet zbyt wąska perspektywa. W pewnym sensie komuniści dali nam nauczkę. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się? To za mało, robotnicy są tylko naszym materiałem. Powinno być: „Przywódcy wszystkich krajów, łączcie się!” Młodzi ludzie z talentem do rządzenia, właściwej rasy. Musimy zacząć, ale nie od panów w średnim wieku o skostniałych poglądach, powtarzających się jak zacięta płyta gramofonowa. Musimy szukać wśród studentów, młodych ludzi o odważnych sercach, z wielkimi ideałami, pragnącymi maszerować, zabijać i nie lękającymi się śmierci! Zabijać bez

wahania, bo przecież bez agresji, bez przemocy, bez ataku, nie mamy co myśleć o zwycięstwie! Muszę ci coś pokazać...

Po krótkiej walce Charlotte zdołała podnieść się z krzesła. Lady Matylda również wstała, udając, że ma z tym większe trudności, niż miała naprawdę.

— To było w maju czterdziestego roku — ciągnęła Charlotte — gdy Hitler Jugend przeszła transformację. Gdy Himmler otrzymał od Hitlera oficjalne zezwolenie na utworzenie słynnej SS. Została uformowana w celu zniszczenia ludów wschodnich, tych niewolników świata. W ten sposób chcieli zrobić miejsce dla nadrzędnej rasy niemieckiej.

Taki był początek przekazania władzy w ręce SS — dramatycznie zawiesiła głos. Przez chwilę stała pogrążona w pełnym czci milczeniu.

Matylda omal się nie przeżegnała przez pomyłkę.

— Order Trupiej Czaszki — rzekła Charlotte.

Z wysiłkiem przeszła przez pokój i zatrzymała się przed złotą ramą, w której na czarnym aksamicie wisiał Order Trupiej Czaszki.

— Spójrz, ten order jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadam. Wisi tu u mnie na ścianie. Moja złota młodzież salutuje

mu, gdy tu przychodzą. W archiwach mojego zamku znajdują się jego kroniki. Czytanie części z nich wymaga naprawdę żelaznego usposobienia, ale trzeba się przyzwyczaić. Egzekucje w komorach gazowych, tortury, procesy w Norymberdze, wszystko to krzyczy donośnym głosem, właśnie o tym. To była wielka tradycja. Przez ból do potęgi. Tamci chłopcy byli dobrze wyszkoleni, nie znali słabości. Nawet Lenin głosząc swą doktrynę wołał: „Precz ze słabością!”. To był jeden z jego podstawowych warunków stworzenia idealnego państwa. Ale my byliśmy zbyt krótkowzroczni. Chcieliśmy ograniczyć nasze plany do nadrzędnej rasy niemieckiej. Ale

przecież są na świecie inne rasy. One też mogą osiągnąć doskonałość na drodze cierpienia i przemocy, przez kontrolowaną anarchię. Musimy pozbyć się naszych słabości. Pozbyć się upokarzających form uprawiania kultu religijnego. Istnieje religia mocy, stara religia ludu Wikingów. Mamy też przywódcę, młodego, ale zdobywającego dzień za dniem coraz większą potęgę. Czyje to było powiedzenie? Dajcie mi narzędzia, a ja dokonam dzieła, albo jakoś tak. Nasz przywódca już ma potrzebne narzędzia. I będzie miał ich więcej. Będzie miał samoloty, bomby, gazy bojowe. Będzie miał żołnierzy. Będzie miał transport. Będzie miał okręty i ropę. Będzie miał

po prostu jak gdyby lampę Alladyna. Pocierasz lampę i pojawia się dżin gotowy na twoje usługi. Środki produkcji, pieniądze i nasz młody przywódca. Urodzony przywódca, całym sercem i umysłem. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Charlotte zakaszłała dychawicznie.

— Pozwól, że ci pomogę.

Lady Matylda odprowadziła ją z powrotem na miejsce. Siadając .Charlotte ciężko dyszała.

— To smutne być starym, ale ja pożyję wystarczająco długo, żeby zobaczyć triumf nowego świata. Tego właśnie chcesz dla swojego siostrzeńca.

Masz to jak w banku. On pragnie siły we własnym kraju, prawda? Czy jesteś gotowa poprzeć te dążenia?

— Kiedyś bardzo chętnie, miałam odpowiednie wpływy. Ale teraz... — lady Matylda smutnie potrząsnęła głową. — Wszystko się dla mnie skończyło.

— To powróci, moja droga — zapewniła ją przyjaciółka. — Miałaś rację zwracając się z tym do mnie. Ja posiadam znaczne wpływy.

— To bardzo ważne — odrzekła lady Matylda, po czym westchnęła i dodała cicho — Młody Zygfryd...

— Mam nadzieję, że miała pani udaną

wizytę — zagadnęła Amy w drodze powrotnej do pensjonatu.

— Gdybyś usłyszała te bzdury, które ja tam musiałam naopowiadać, nie wierzyłabyś własnym uszom — odparła lady Matylda Cleckheaton.

Rozdział szesnasty

Pikeaway zabiera głos

— Wieści z Francji są bardzo złe —
oznajmił pułkownik Pikeaway,
strzepując odrobinę popiołu z rękawa.

— Słyszałem, jak Winston Churchill
wyrzekł te słowa podczas ostatniej
wojny. To był człowiek, który potrafił
mówić wprost i nie powiedzieć ani
jednego zbędnego słowa. Robiło to
wielkie wrażenie. Przekazywał tylko
najistotniejszą informację i nic ponadto.
Dużo czasu minęło od tamtej pory, ale ja

to dzisiaj powtórzę. Wieści z Francji są bardzo złe.

Zakaszłał, pociągnął nosem i strzepnął z rękawa kilka innych pyłków.

— Wieści z Włoch są bardzo złe — podjął po chwili.

— Wieści z Rosji, jak przypuszczam, też byłyby złe, gdybyśmy je otrzymywali. Oni też mają problemy. Studenci maszerujący po ulicach, wybite szyby na wystawach, oblegane ambasady. Wieści z Egiptu są bardzo złe. Wieści z Jerozolimy są bardzo złe. Wieści z Syrii są bardzo złe. Ale ponieważ to jest mniej więcej normalne, nie martwiłbym się nimi zbytnio.

Natomiast wieści z Argentyny są raczej szczególne. Powiedziałbym nawet, że dziwne. Argentyna, Brazylia i Kuba zaczęły z sobą współpracować.. Nazywają się teraz Zjednoczonymi Stanami Złotej Młodości czy jakoś tak. Mają też wspólną armię. Dobrze wyszkoloną, nieźle uzbrojoną, pod mocnym dowództwem. Mają samoloty, bomby i Bóg jeden wie, co jeszcze. Co gorsza, sprawiają wrażenie, że wiedzą, jak ich używać. Są tam też u nich te śpiewające tłumy. Śpiewają wszystko, od przebojów z radia, przez lokalne piosenki ludowe do starych wojskowych hymnów. Wszystko to przypomina Armię Zbawienia; bez obrazy proszę, nie mam nic przeciwko starej dobrej Armii

Zbawienia, zawsze robili dobrą robotę. Te ich dziewczęta, rumiane jak maliny. Pułkownik mówił dalej:

— Doszły mnie słuchy o podobnych wydarzeniach również i w krajach cywilizowanych, nawet u nas. Bo przecież jesteśmy krajem cywilizowanym? Parę dni temu jeden z naszych polityków powiedział, że jesteśmy wspaniałym narodem, ponieważ jesteśmy pobłażliwi, mamy demonstracje, mamy akty wandalizmu, bijemy kogo popadnie, gdy nie mamy nic lepszego do roboty, okazujemy nasze dobre samopoczucie przez przemoc, a czystość moralną przez rozbieranie się prawie do naga. Nie wiem, czy ten

człowiek był świadomy tego, co mówi — to się rzadko zdarza politykom — ale potrafił nadać temu pozornie sensowne brzmienie. W końcu od czegoś się jest politykiem.

Tu przerwał i spojrzał na człowieka, do którego mówił.

— Bardzo to wszystko smutne — odezwał się sir George Packham. — Aż trudno w to uwierzyć... zastanawiam się właśnie... gdybym tylko... czy to już wszystkie wieści, jakie przynosisz?

— Jeszcze ci mało? Trudno ci dogodzić. Światowa anarchia w rozkwicie! Oto, do czego doszło. Jeszcze trochę chwiejna, nie całkiem

ustabilizowana, ale to już blisko.

— Ale chyba prowadzone są jakieś działania zapobiegawcze?

— To nie takie proste, jak myślisz. Gazy łzawiące na chwilę powstrzymują demonstrację i pozwalają odetchnąć policji. No i oczywiście mamy broń biologiczną i bomby nuklearne, i mnóstwo innych niespodzianek. Jak myślisz, co by się stało, gdybyśmy ich użyli? Masowa rzeź tych maszerujących chłopaczków i dziewczynek, robiących zakupy gospodyń, emerytów w parku, co bardziej zarozumiałych polityków, no i na dokładkę jeszcze ja i ty! Ha—ha!

— A poza tym — kontynuował

pułkownik Pikeaway — skoro tak czekasz na nowiny, zgaduję, że sam masz jakiś smaczny kąsek. To dziś przyjeżdża ten od twojej tajnej misji, prosto z Niemiec, ten Herr Heinrich Spiess, prawda?

— Skąd ty to, u licha, wiesz? To miało być ściśle...

— My tutaj wiemy o wszystkim — odparł pułkownik Pikeaway używając swego ulubionego zwrotu. — Po to jesteśmy.

— I przywozi z sobą zdaje się jakiegoś doktora — dodał po chwili.

— Tak, to Reichardt, chyba czołowy

naukowiec...

— Nie, to doktor medycyny, taki od wariatów.

— Myślisz, że to psycholog?

— Możliwe. Ci, którzy prowadzą szpitale dla wariatów to przeważnie tacy. Sprowadzili go chyba po to, żeby zbadał głowy naszych młodych podżegaczy. Całych nafaszerowanych niemiecką filozofią, filozofią czarnej siły, filozofią francuskich pisarzy i tak dalej. Może pozwolą mu zbadać głowy kilku naszych prawodawców, tych, którzy twierdzą, że należy zachować ostrożność, by nie zniszczyć ego młodego człowieka, na wypadek, gdyby

mu było kiedyś potrzebne. Bylibyśmy o wiele bezpieczniejsi, gdyby zwolnić ich z pracy, dać duży zasiłek, wysłać do domu i pozwolić czytać rozprawy filozoficzne w spokoju ducha. Wiem, że jestem nienowoczesny, nie musisz mi mówić.

— Należy brać pod uwagę nowe trendy filozoficzne — stwierdził sir George Packham. — Mam wrażenie... a raczej nadzieję, że... to trudno określić...

— To musi być dla ciebie przykre — stwierdził pułkownik Pikeaway — kiedy nie potrafisz się wysłowić.

Zadzwoił telefon. Podniósł

słuchawkę, po czym wręczył ją sir George'owi.

— Tak? — odezwał się sir George do telefonu.

— Tak? naprawdę? Tak, tak, zgadzam się. Nie, nie w ministerstwie, lepiej gdzieś prywatnie. Wydaje mi się, że może dobrze by było w... — sir George rozejrzał się ostrożnie.

— Ten pokój nie jest na podsłuchu — poinformował go pułkownik Pikeaway przyjaźnie.

— Hasło brzmi Błękitny Dunaj — powiedział sir George głośnym, chrapliwym szeptem. — Tak, tak.

Przyprowadzę z sobą pułkownika Pikeaway. Och, naturalnie, ma się rozumieć. Tak, tak. Trzeba go zawiadomić. Ale uprzedźcie go, że spotkanie będzie miało ściśle prywatny charakter.

— A więc nie możemy pojechać moim samochodem — odezwał się pułkownik Pikeaway. — Zbyt to rzuca się w oczy.

— Henry Horsham przyjedzie po nas swoim volkswagenem.

— Dobrze — stwierdził pułkownik Pikeaway — To wszystko wygląda bardzo interesująco.

— Czy nie sądzisz...? — zaczął sir George i zawahał się.

— Czy nie sędzę, że co?

— Chciałbym tylko zasugerować, czy nie masz nic przeciwko przetarciu szczotką swojego okrycia?

— Ach, o to ci chodzi! — pułkownik Pikeaway strzepnął lekko po swoim rękawie, wzniesając tym chmurę popiołu cygarowego, co przyprawiło sir George'a o atak kaszlu.

— Nanny! — zawołał pułkownik Pikeaway. Przycisnął kilka razy dzwonek na biurku.

W drzwiach pojawiła się natychmiast, niczym dżin wyczarowany przez lampę Alladyna, starsza kobieta ze szczotką w ręku.

— Teraz proszę wstrzymać oddech, sir George — powiedziała. — To może okazać się dosyć nieprzyjemne.

Sir George przeszedł na chwilę do pokoju obok, gdy pułkownik Pikeaway poddał się energicznemu szczotkowaniu, kaszląc i narzekając.

— Przekłête wymagania. Że też ludzie zawsze chcą, bym był elegancki jak manekin u fryzjera.

— Wcale pan tak nie wygląda,

pułkowniku Pikeaway. Powinien się pan już przyzwyczaić do mojego czyszczenia, poza tym proszę nie zapominać, że pan minister cierpi na astmę.

— To jego wina. Nie zadbał o to, by zlikwidować w Londynie zanieczyszczenia powietrza.

— Chodźmy już, sir George, posłuchajmy, co nasz przyjaciel z Niemiec ma do powiedzenia. Zapowiada się na coś poważnego.

Rozdział siedemnasty

Herr Heinrich Spiess

Herr Heinrich Spiess był zmartwiony. Wcale nie starał się ukryć tego faktu. Przyznawał otwarcie, że sytuacja, którą pięciu zebranych panów miało przedyskutować, była nad wyraz poważna. Emanowało jednak z niego poczucie pewności siebie, bardzo pomocne przy rozwiązywaniu trudnych problemów, jakie ostatnio zaczęły nękać Niemcy. Był rzetelnym, rozważnym człowiekiem, powszechnie znanym ze swego zdrowego rozsądku. Nie dawał

odczuć swej intelektualnej wyższości, co budziło do niego zaufanie. Inteligentni politycy byli przyczyną dwóch trzecich wszystkich kryzysów na świecie. Pozostała jedna trzecia była spowodowana przez polityków, w których przypadku wydało się przed społeczeństwem, że mimo faktu wybrania ich na drodze demokratycznej nie są oni właściwie obdarzeni żadnymi zaletami, zwłaszcza zaś umysłowymi.

— Mam nadzieję, że pan rozumie, że ta wizyta nie jest oficjalna — zaczął Kanclerz.

— To zrozumiałe.

— Dotarły do mnie pewne informacje,

które uznałem za wystarczająco ważne, by zapoznać z nimi panów. Rzucają dość interesujące światło na wydarzenia, które ostatnio sprawiły nam wiele kłopotów. Oto dr Reichardt.

Panowie zostali sobie po kolei przedstawieni. Dr Reichardt był potężnym mężczyzną o zadowolonym wyrazie twarzy i miał zwyczaj wtrącać od czasu do czasu „Ach, so”.

— Dr Reichardt zarządza dużą kliniką w pobliżu Karlsruhe. Leczy tam pacjentów chorych psychicznie. Nie popełnię chyba błędu, panie doktorze, jeżeli powiem, że leczy pan tam ponad pięciuset pacjentów?

— Ach, so — odparł dr Reichardt.

— Rozumiem, że ma pan do czynienia z kilkoma różnymi rodzajami choroby umysłowej?

— Ach, so. Spotykam się z różnymi rodzajami chorób umysłowych, ale szczególnie interesuje mnie pewna określona odmiana — tu dr Reichardt przeszedł na niemiecki, zaś Herr Spiess dokonał skrócowego przekładu tej wypowiedzi, na wypadek, gdyby angielscy słuchacze mieli kłopoty ze zrozumieniem. Było to zarówno taktowne, jak i konieczne, gdyż dwóch Anglików rozumiało tylko piąte przez dziesiąte, jeden zupełnie nic, a dwóch pozostałych nie wiedziało nawet, co się

dzieje.

— Dr Reichardt odniósł wielki sukces — wyjaśniał Herr Spiess — w leczeniu choroby, którą ja jako laik mogę określić jako megalomanię. Wiara w to, że jest się kim innym niż w istocie. Poczucie, że jest się kimś ważniejszym niż w rzeczywistości. Poczucie, że jeżeli ma się manię prześladowczą...

— Ach, nie! — wtrącił dr Reichardt. — Mania prześladowcza, tego nie leczę. Nie ma przypadków manii prześladowczej w mojej klinice. Przynajmniej nie w tej grupie, którą się zajmuję. Wręcz przeciwnie, oni mają złudzenia, które dają im szczęście. Oni

są szczęśliwi, ja im mogę dać to szczęście. Gdy ich wyleczę, nie będą już szczęśliwi. Muszę znaleźć lekarstwo, które odda im zdrowie psychiczne, ale nie odbierze szczęścia. Nazywamy to schorzenie... — tu dr Reichardt wydobył z siebie groźnie brzmiące niemieckie słowo składające się co najmniej z ośmiu sylab.

— Na użytek naszych angielskich przyjaciół nadal będę używał słowa megalomania, mimo że wiem — wtrącił Herr Spiess pośpiesznie — iż nie jest to termin używany obecnie przez lekarzy. Więc jak już mówiłem, dr Reichardt ma w swojej klinice około pięciuset pacjentów.

— A w okresie, który chcę panom opisać, miałem ośmiuset.

— Ośmiuset!

— To zdumiewające!

— Czy ma pan takie osoby, które...

— Przede wszystkim mam Boga Wszechmogącego — odparł dr Reichardt. — Rozumie pan?

Mr Lazenby wydawał się nieco zbity z tropu.

— Hm, oczywiście, ma się rozumieć. To bardzo zajmujące.

— Mam kilku młodych ludzi, którym wydaje się, że są Jezusem Chrystusem. Ale nic nie pobije popularności Wszchemogącego. Oczywiście, są też inni. W interesującym nas okresie miałem dwudziestu czterech Adolfów Hitlerów. Było to w czasach, gdy prawdziwy Hitler jeszcze żył — dr Reichardt zajrzał do wydobytego z kieszeni małego notatnika. — Mam tu parę zapisków. Ach, so. Piętnastu Napoleonów, Napoleon zawsze ma powodzenie. Dziesięciu Mussolinich, pięć reinkarnacji Juliusza Cezara i dużo innych przypadków, wszystkie bardzo ciekawe. Ale nie będę panom nimi zawracał głowy, gdyż nie są panowie specjalistami w tej dziedzinie. Przejdę

teraz do spraw najistotniejszych.

Dr Reichardt ponownie przeszedł na niemiecki, zaś Herr Spiess podjął tłumaczenie.

— Któregoś dnia odwiedził zakład wysoki urzędnik państwowy, bardzo wówczas poważany, a działo się to w czasie wojny. Nazwijmy go na razie Martinem B. Wkrótce się panowie dowiedzą, kogo mam na myśli. Przyprowadził on z sobą swego szefa. Jeśli chodzi o ścisłość, przyprowadził samego Führera.

— Ach, so — powiedział dr Reichardt.

— Był to wielki zaszczyt, panowie rozumieją, że sam Führer przyszedł na inspekcję — kontynuował lekarz. — Był dla mnie bardzo uprzejmy. Powiedział, że wiele słyszał o moich sukcesach. Rozmawiał ze mną również o swych kłopotach. Były przypadki chorób psychicznych w armii. Kilka razy zdarzyli się oficerowie uważający się za Napoleonów lub jego marszałków, a do tego czasem zachowujących się zgodnie z tym przekonaniem, wydający dziwaczne rozkazy, co oczywiście stało się przyczyną wielu problemów. Z radością udzieliłbym mu swojej medycznej wiedzy na temat podobnych przypadków, ale Martin B. stwierdził, że nie jest to konieczne. Nasz wielki

Führer — ciągnął dr Reichardt spoglądając na Herr Spiessa z lekkim niepokojem — nie interesował się jednakże takimi drobiazgami. Powiedział, że lepiej będzie, jeżeli ludzie z wykształceniem medycznym i doświadczeniem na polu neurologii przyjdą do mnie na konsultację. On chciał tylko u mnie się rozejrzeć, a wkrótce przekonałem się, co go naprawdę interesowało. Nie powinienem być tym zaskoczony. Był to dosyć klasyczny symptom. Taki jest po prostu wpływ życia pełnego stresów.

— Pewnie uważał się już za Boga Wszechmogącego — wtrącił pułkownik Pikeaway i zachichotał.

Dr Reichardt zamilkł, wstrząśnięty.

— Poprosił mnie o wyjaśnienie kilku spraw — podjął po chwili. — Powiedział, że słyszał od Martina B., że mam dosyć dużą ilość pacjentów uważających się za samego Adolfa Hitlera. Wyjaśniłem mu, że to zupełnie naturalne: szacunek i uwielbienie, jakim otaczają jego osobę, pragnienie upodobnienia się do niego może w krańcowych przypadkach doprowadzić do całkowitej identyfikacji. Czuję się nieco niepewnie mówiąc mu o tym, ale na szczęście przyjął to z satysfakcją jako komplement. Następnie zapytał mnie, czy mógłbym zorganizować mu spotkanie z pewną grupą pacjentów

reprezentujących właśnie taki przypadek. Mieliśmy małą naradę. Martin B. miał pewne wątpliwości, ale wziął mnie na stronę i przekonał, że Herr Hitler rzeczywiście pragnie takiego doświadczenia. Sam chciał się tylko upewnić, czy Herr Hitlerowi nie grozi w związku z tym żadne niebezpieczeństwo. Gdyby któryś z pacjentów podających się za Hitlera miał się okazać agresywny lub niebezpieczny... Zapewniłem go, że nie ma żadnego powodu do zdenerwowania. Zaproponowałem, że na to spotkanie wybiorę kilku najbardziej spokojnych Führerów. Herr B. zaznaczył wówczas, że Führer życzył sobie porozmawiać z nimi sam na sam, bez mojego udziału. Pacjenci, jak

powiedział, nie zachowywaliby się naturalnie w obecności kierownika zakładu, więc jeżeli faktycznie nie grozi żadne niebezpieczeństwo... Jeszcze raz zapewniłem go, że nie istnieje żadna groźba niebezpieczeństwa. Poprosiłem jedynie Martina B., żeby sam towarzyszył Führerowi. Z tym nie było problemu, przystąpiliśmy więc do dzieła. Zawiadomiłem swoich Führerów, żeby przygotowali się na spotkanie z bardzo ważnym gościem, który pragnie z nimi porozmawiać.

Ach, so. Tak więc Martin B. i Führer zostali przedstawieni moim pacjentom, ja zaś wycofałem się za drzwi i zacząłem gawędzić z towarzyszącymi im

adiutantami. Powiedziałem im, że moim zdaniem Herr Hitler nie wygląda zbyt kwitnąco. Z pewnością prześladowały go ostatnio rozliczne trudności. Tu muszę dodać, że działo się to tuż przed samym końcem wojny, gdy sprawy naszego państwa, należy przyznać, wyglądały bardzo źle. Adiutanci powiedzieli mi, że Führer miał ostatnio wiele kłopotów, ale był pewien, że doprowadzi wojnę do szczęśliwego końca, jeżeli jego polecenia będą wykonywane natychmiast i bez szemrania.

— Wydaje mi się — wtrącił sir George Packham — że Führer w tym czasie już był nieco...

— Nie należy tego tak podkreślać — przerwał mu Herr Spiess — Sytuacja przerastała jego siły. Odpowiednie czynniki zajęły się oceną tamtych wydarzeń. O tym można się dowiedzieć równie dobrze z waszych badań przeprowadzonych w moim kraju.

— Wszyscy pamiętamy, że podczas procesów norymberskich...

— Nie ma potrzeby przypominać tu procesów norymberskich — uciął Lazenby zdecydowanie. — To już przeszłość. Teraz interesuje nas przyszłość, wspólny rynek przy współpracy wszystkich rządów europejskich. Przeszłość to przeszłość.

— Otóż to — przyznał Herr Spiess.
— Teraz jednak musimy przypomnieć niektóre wydarzenia z przeszłości właśnie. Martin B. i Herr Hitler rozmawiali z pacjentami bardzo krótko. Wyszli po siedmiu minutach. Herr B. powiedział doktorowi Reichardtowi, że jest niezwykle zadowolony z tej wizyty. Oczekiwał już na nich samochód, a Herr Hitler spieszył się na następne spotkanie. Opuścili klinikę w wielkim pośpiechu.

Zapadła cisza.

— A potem? — odezwał się pułkownik Pikeaway.

— Czy coś się jeszcze wydarzyło?

— Zachowanie jednego z naszych pacjentów—Hitlerów zmieniło się wyraźnie — odparł dr Reichardt. — Był to ten pacjent, który był bardzo podobny fizycznie do Führera, co zawsze dawało mu poczucie pewności własnych złudzeń. Od tamtej pory bardziej uparcie zaczął twierdzić, że jest prawdziwym Führerem, że musi natychmiast jechać do Berlina, by przewodniczyć zebraniu Reichstagu. Zniknęły wszystkie oznaki poprawy, jakie przejawiał do tego czasu. Zmienił się do tego stopnia, że wprost nie mogłem uwierzyć, iż stało się to tak nagle. Ulżyło mi, gdy dwa dni później przyjechali jego krewni, by zabrać go do domu, i poddać prywatnej kuracji.

— I pan go wypuścił — odezwał się Herr Spiess.

— Oczywiście, że go wypuściłem. Mieli z sobą odpowiedzialnego lekarza, a ponieważ pacjent ten przebywał u mnie na leczeniu dobrowolnym, miał prawo odejść.

— Nie rozumiem... — zaczął sir George Packham.

— Herr Spiess ma swoją teorię...

— To nie teoria — wyjaśnił Herr Spiess. — To są, proszę panów, fakty. Rosjanie to zataili, a myśmy też tego wcale nie rozgłaszali. Ale mamy na to dowody. Tamtego dnia Hitler pozostał

w klinice psychiatrycznej Z własnej woli, a opuścił ją razem z Martinem B. człowiek fizycznie do Hitlera podobny. To właśnie ciało tego pacjenta zostało potem znalezione w bunkrze. Nie ma sensu wdawać się w szczegóły.

— Musimy znać prawdę — rzekł Lazenby.

— Prawdziwy Führer został przemycony zorganizowaną trasą podziemną do Argentyny, gdzie przeżył jeszcze kilka lat. Urodził mu się tam syn, którego matką była piękna aryjska dziewczyna z dobrej rodziny. Podobno była nawet Angielką. Stan psychiczny Hitlera znacznie się pogorszył i gdy umierał, był już zupełnie niepoczytalny,

wydawało mu się, że dowodzi swoją armią na polu bitwy. Tak więc jedyny plan, który mógł mu umożliwić ucieczkę z Niemiec, powiódł się.

— Sugeruje pan, że przez te wszystkie lata nic nie przedostało się do publicznej wiadomości, nie było żadnych przecieków?

— Były plotki, plotki zawsze się pojawiają. Jak panowie pamiętają, mówiło się, że jedna z córek cara, Anastazja, zdołała umknąć przed masakrą rodziny...

— Ale to okazało się — przerwał mu George Packham — zupełną nieprawdą.

— Jedna grupa ludzi uznała to za fałsz. Inna z kolei, złożona z ludzi, którzy ją znali, za prawdę. Według jednych była prawdziwą Anastazją, według drugich owa księżniczka rosyjska, miała być tylko podstawioną wieśniaczką. Która wersja była prawdziwa? Plotki! Im dłużej trwają, tym mniej ludzi im wierzy, z wyjątkiem nieuleczalnych romantyków. Było mnóstwo plotek o tym, że Hitler nadal żyje. Nie ma człowieka, który mógłby dowieść, że zbadano martwe ciało Hitlera. Rosjanie tak twierdzili. Nie mają jednakże na to dowodów.

— Czy pan, doktorze Reichardt, czy pan potwierdza tę niesamowitą

opowieść?

— Ach, so — odparł dr Reichardt. — Pytacie mnie o potwierdzenie, ale ja opowiedziałem wam tylko moją część tej historii. To Martin B. przyjechał do mojego sanatorium. To Martin B. przywiózł z sobą Führera. To Martin B. traktował go jak Führera, zwracał się do niego z szacunkiem należnym Führerowi. Ja natomiast widziałem już w swoim życiu kilkuset Führerów, Napoleonów i Juliuszów Cezarów. Musicie zrozumieć, że Hitlerzy, którzy przebywali w mojej klinice, wszyscy byli bardzo podobni do oryginału, każdy z nich — prawie każdy z nich — mógł być Adolfem Hitlerem. Sami by nie mogli w siebie uwierzyć,

gdyby nie byli chociaż trochę podobni, do tego odpowiedni makijaż, strój, odpowiednie zachowanie, nieustanna gra. Nigdy wcześniej nie spotkałem prawdziwego Adolfa Hitlera osobiście. Oczywiście, widziałem jego zdjęcia w gazetach, tak jak każdy, więc wiedziałem w przybliżeniu, jak nasz wielki geniusz wyglądał, ale to były obrazy zaaprobowane przez niego samego, takie jakie on zgodził się opublikować. Więc gdy pojawili się w mojej klinice z Martinem B., nie miałem powodu, by nie uwierzyć, że to prawdziwy Ffhrer. Nie miałem żadnych wątpliwości. Wypełniałem rozkazy. Herr Hitler życzył sobie odbyć spotkanie bez świadków ze swoimi, jak

by to nazwać, kopiami? Wszedł, wyszedł. Przez ten czas mogła odbyć się szybka zamiana ubrań, co nie było takie kłopotliwe, gdyż wszyscy oni odziewali się podobnie. Kim był ten człowiek, który opuścił pokój w towarzystwie Martina B.? Czy był to prawdziwy Hitler, czy jedna z jego kopii? Opuścili klinikę w wielkim pośpiechu, gdy prawdziwy Hitler został, być może, na miejscu, mógł nawet dobrze się bawić swoją nową rolą, wiedząc, że to jedyny sposób na ucieczkę z oblężonego kraju, który w każdej chwili mógł się poddać. Już wtedy był chory psychicznie, doprowadzony do ostateczności przez wściekłość, że jego zalecenia, jego fantastyczne zarządzenia, wydawane

podwładnym niemożliwe do wypełnienia rozkazy nie były już wypełniane tak posłusznie, jak niegdyś. Czuł, że nie posiadał już władzy absolutnej. Miał tylko kilku wiernych współpracowników, którzy opracowali dla niego plan ucieczki z kraju, z Europy, na inny kontynent, gdzie z dala od swych prześladowców mógł szkolić swoich młodych wiernych nazistów. Swastyka miała tam znowu wznieść się wysoko. Tak więc grał swoją rolę i niewątpliwie go to radowało. Tak, to by pasowało do człowieka, którego umysł nie pracował już zbyt dobrze. Pokazywał innym, że potrafi udawać Adolfa Hitlera lepiej niż oni. Od czasu do czasu śmiał się głośno do siebie,

więc pielęgniarki i lekarze, którzy do niego zaglądali, musieli zauważyć pewne zmiany, uznać, że pacjentowi temu wyraźnie się pogorszyło. Ale to nie było nic nadzwyczajnego, zdarzało się często. Z tymi Napoleonami, Juliuszami Cezarami... ze wszystkimi. Nawet laik by zauważył, że od czasu do czasu któryś z nich stawał się bardziej szalony niż zazwyczaj. Tylko tak mogę to wytłumaczyć. Resztę zostawiam Herr Spiessowi.

— To niesamowite! — wykrzyknął sir George Packham.

— Owszem, niesamowite — przyznał Herr Spiess cierpliwie. — Ale niesamowite rzeczy również się

zdarzają. W historii, w rzeczywistości, nawet te najbardziej niesamowite.

— I nikt nie miał podejrzeń, nikt się nie domyślił?

— Wszystko było doskonale przemyślane i zaplanowane. Droga ewakuacji była zawczasu przygotowana, nie znamy jej dokładnych szczegółów, ale możemy je w miarę dokładnie odtworzyć. Okazuje się, że część z ludzi zaangażowanych w tę akcję, ci, którzy przekazywali sobie pewną osobę pod różnymi przebraniami i wysyłali ją w różne miejsca, nie żyła tak długo, jak powinna.

— Sugeruje pan, że na wypadek,

gdyby mieli za długie języki...

— Już SS tego dopilnowała. Hojne nagrody, pochwały, obietnice awansu w przyszłości, a potem śmierć, to mówi samo za siebie. Dla SS śmierć nie była niczym nowym. Mieli wypróbowane metody, wiedzieli, co zrobić z ciałem... Muszę panom powiedzieć, że nad tą sprawą pracujemy już od dość długiego czasu. Uzyskaliśmy tę informację drogą żmudnych dochodzeń, kompletowania dokumentów. I tak prawda wyszła na jaw. Adolfowi Hitlerowi udało się dotrzeć do Ameryki Południowej. Odbyła się tam ceremonia ślubna, urodziło się dziecko. Stopa tego dziecka została naznaczona tuż po urodzeniu

symbolem swastyki. Ta informacja pochodzi od zaufanych agentów, którym wierzę. Oni widzieli tę swastykę na stopie, gdy byli w Ameryce Południowej. Dziecko zostało wychowane, wykształcone i przygotowane z taką starannością, z jaką Dalaj Lama mógł być przygotowany do swojego wielkiego powołania. Bo taki właśnie był zamysł ukryty za organizacją fanatycznej młodzieży, o wiele poważniejszy niż na początku. Nie chodziło tylko po prostu o odrodzenie nowych nazistów, nowej niemieckiej rasy wodzów. Młodzież wszystkich krajów, nowa rasa wspaniałych, młodych ludzi miała się połączyć w imię anarchii, spowodować upadek starego

świata, starego, materialistycznego świata i zaprowadzić nowy porządek oparty na sile i przemocy. Najpierw mieli skoncentrować się na destrukcji, potem na zdobyciu władzy. Mają teraz swojego przywódcę, człowieka o właściwym pochodzeniu, który nie odziedziczył jednak wyglądu po ojcu, jest złotowłosym chłopcem rasy nordyckiej, fizycznie prawdopodobnie podobnym do matki. Złoty chłopiec. Chłopiec, którego cały świat może zaakceptować. Niemcy i Austriacy jako pierwsi, ponieważ należy do panteonu ich świętości narodowych, do bohaterów ich muzyki. Młody Zygryd. Został wychowany jako Młody Zygryd, który zaprowadzi ich do ziemi

obiecanej. Nie ziemi obiecanej
znenawidzonych Żydów, do której miał
zaprowadzić Mojżesz. Żydzi byli już
martwi, zamordowani w komorach
gazowych. To miała być zupełnie inna
ziemia, walecznie przez nową młodzież
zdobyta. Kraje Europy miały połączyć
się z krajami Ameryki Południowej.
Mieli już swoją straż przednią,
anarchistów, proroków, swoich
Guevarów, Castrów, partyzantów,
zwolenników, wyszkolonych w
przemocy i zadawaniu śmierci.
Wolność. I oni, władcy Nowego
Światowego Państwa, nowi Zdobywcy.

— Cóż to za absurd — odezwał się
Lazenby. — Przecież wystarczy ich

powstrzymać, a ten cały bałagan się rozpadnie. Przecież to śmiechu warte. Co oni mogą działać? — głos Cedrica Lazenby'ego wyrażał sprzeciw.

Herr Spiess pokręcił swoją mądrą, wielką głową.

— Dobre pytanie. Odpowiedź na nie brzmi — oni sami nie wiedzą. Nie wiedzą, jak to się skończy. Nie wiedzą, co się z nimi stanie.

— Czy to znaczy, że nie są prawdziwymi przywódcami?

— Są po prostu młodymi maszerującymi bohaterami na ścieżce do sławy, wykładanej kamieniami

przemocy, bólu i nienawiści. Teraz ten ruch wykroczył już poza Amerykę Południową i Europę. Kult przemocy dotarł już na Północ. Również w Stanach Zjednoczonych młodzi ludzie maszerują, podążają za sztandarem Młodego Zygryda. Uczą się jego metod, uczą się zabijania, zadawania bólu, uczą się reguł spod znaku Trupiej Czaszki, przepisów Himmlera. Są szkoleni, indoktrynowani. Oni nie zdają sobie sprawy, w jakim celu przebiega to szkolenie. Ale my wiemy, przynajmniej część nas wie. A u was? W waszym kraju?

— Pięciu lub czterech z nas — odparł pułkownik Pikeaway.

— W Rosji o tym wiedzą, w Ameryce zaczynają im się otwierać oczy. Wiedzą już, że pojawili się zwolennicy Młodego Bohatera, Zygfyryda, postaci z nordyckiej legendy, i że Młody Zygfyryd jest przywódcą. Że taka jest nowa religia. Religia Wspaniałego Chłopca, złotego triumfu młodości. W nim odrodzili się starzy bogowie Północy.

— Ale to, oczywiście — podjął znowu Herr Spiess zwykłym tonem — nie jest cała prawda. Za tym ruchem kryją się potężne osobistości. Żli ludzie o niespotykanej sile umysłu. Pierwszej wody finansista, wielki przemysłowiec, człowiek kontrolujący wszystkie kopalnie, wydobywanie ropy, uranu;

opłacają oni najwyższej klasy naukowców. To oni stoją na czele tych wydarzeń, zespół ludzi, którzy wyglądają na raczej przeciętnych, niczym się nie wyróżniających posiadają jednak absolutną władzę. Władzę nad źródłami mocy oraz władzę nad młodymi mordercami i niewolnikami. Tych ostatnich zdobyli przez dystrybucję narkotyków. Niewolnicy ci w wielu krajach popadają w uzależnienie stopniowo, zaczynając od słabych, kończąc na mocnych narkotykach, i teraz znajdują się całkowicie w mocy ludzi, których nawet nie widzieli na oczy, ale którzy są właścicielami ich ciał i dusz. Głód narkotyku sprawia, że stają się całkowicie uzależnieni, a gdy już

przestają być potrzebni, gdy zdolni są tylko do tego, by siedzieć w apatii i śnić kolorowe sny, pozwala się im umrzeć albo nawet im się w tym pomaga. Nie odziedziczą tego królestwa, w które wierzą. Celowo podsuwa im się różne osobliwe wierzenia. Dawni bogowie w przebraniu.

— Przypuszczani, że nadużycia seksualne również są częścią tego planu?

— Seks jest siłą niszczącą. W czasach starożytnego Rzymu ludzie, których dręczyła nadmierna pobudliwość, którzy z nadmiaru seksu stawali się znudzeni i wyczerpani, czasem uciekali od niego, zaszywali się gdzieś na pustkowiu i

zostawali pustelnikami jak św. Szymon Słupnik. Seks wyczerpie się sam. Działa przez pewien czas, ale nie ma takiej władzy nad człowiekiem jak narkotyki. Narkotyki, sadyzm, umiłowanie potęgi i nienawiść. Pragnienie zadawania bólu. Przyjemność w zadawaniu bólu. Uczą się przyjemności zła. Gdy tylko raz spróbuje się takich przyjemności, już nigdy od nich się nie ucieknie.

— Ależ drogi Kanclerzu... nie sugeruje pan chyba... Nie możemy przecież pozwolić, by te skłonności... Należy przedsięwziąć zdecydowane kroki... przeciwko takim wybrykom.

— Przestań, George — Lazenby

wyciągnął swoją fajkę, obejrzał ją, po czym schował z powrotem do kieszeni. Najlepiej będzie — stwierdził, wracając do swej idee fixe — jeśli pojedę na spotkanie do Rosji. Jeżeli dobrze rozumiem, są to fakty dobrze znajome Rosjanom.

— Wiedzą dość dużo — przyznał Herr Spiess. — Ale czy się do tego przyznają... — wzruszył ramionami — tego nikt nie wie. Niełatwo jest skłonić Rosjan do otwartości. Mają zresztą swoje własne problemy na chińskiej granicy. Nie dociera do nich, być może, że sprawy już zaszły tak daleko.

— Powinienem wyruszyć z misją specjalną, na pewno.

— Na twoim miejscu nigdzie bym nie jechał, Cedric — spokojnie odezwał się lord Altamount, który spoczywał w kącie na fotelu w raczej znudzonej pozycji. — Jesteś potrzebny tutaj — powiedział. W jego głosie dało się wyczuć łagodny, lecz stanowczy nakaz. — Jesteś szefem naszego rządu, musisz zostać w kraju. Mamy przecież wyszkolonych agentów, wysłanników przeznaczonych do specjalnych zagranicznych misji.

— Agenci? — zapytał sir George Packham z powątpiewaniem. — Co mogą zdziałać agenci na tym etapie? Musimy dostać raport od... ach,

Horsham, tu jesteś... Nie zauważyłem cię. Powiedz nam, jakich agentów mamy do dyspozycji? Co oni potrafią?

— Mamy kilku naprawdę świetnych — zaczął Henry Horsham cicho. — Agenci służą do zdobywania informacji. Herr Spiess również przyniósł nam informacje. Informacje, które jego agenci zdobyli dla niego. Problem jednak polega na tym, i zawsze na tym polegał, chociażby w czasie ostatniej wojny, że nikt nie chce wierzyć w informacje przynoszone przez agentów.

— Ale wywiad...

— Tak, w wywiadzie mamy doskonale wyszkolonych specjalistów,

więc dziewięć na dziesięć ich raportów jest prawdziwych. I co się dzieje? Nikt na wysokich stołkach im nie wierzy, nie przyjmują nic do wiadomości i nic biorą tych informacji pod uwagę przy podejmowaniu decyzji.

— Doprawdy, drogi Horshamie... Horsham zwrócił się do Niemca.

— A u pana w kraju, sir, nigdy się to nie zdarzyło? Prawdziwe raporty zostały dostarczone, ale nikt nie zareagował na nie. Ludzie wolą nie wiedzieć, prawdy jest niestrawna.

— Muszę panu przyznać rację. To się czasem zdarza, niezbyt często, ale faktycznie czasami...

Mr Lazenby bawił się znowu swoją fajką.

— Nie spierajmy się teraz o informacje. To jest kwestia reakcji na te informacje, które właśnie otrzymaliśmy. Nie mamy do czynienia ze zwykłym kryzysem. To jest kryzys na skalę światową. Decyzje muszą być podejmowane na najwyższych szczeblach, musimy działać. Munro, policja musi być wzmocniona oddziałami wojska, trzeba poruszyć armię. Herr Spiess, pana naród zawsze miał doskonałą armię, ta rebelia musi zostać stłumiona zbrojnie, zanim kontrola wymknie nam się z rąk. Zgodzi się pan z taką polityką, jestem pewien...

— Z polityką, owszem. Ale kontrola nad tą rebelią, jak pan to nazwał, już nam się wymknęła z rąk jakiś czas temu. Oni mają broń, karabiny maszynowe, bomby, gazy bojowe i inne...

— Ale nie mają broni nuklearnej. A sama groźba jej użycia...

— To nie jest tylko tłum rozkrzyczanych uczniów. Ta Armia Młodzieży ma do dyspozycji własnych naukowców, młodych chemików, biologów, fizyków. Rozpoczynanie lub prowokowanie wojny atomowej w Europie... — Herr Spiess pokręcił głową. — Już mieliśmy przypadek próby zatrucia wody w Kolonii zarazkami duru brzuszego.

— To jest niewiarygodne — Cedric Lazenby rozejrzał się wokół siebie z nadzieją. — Chetwynd, Munro, Blunt...?

— Ku zaskoczeniu Lazenby'ego, jedynym, który się odezwał, był admirał Blunt.

— Nie wiem, co ma do tego Admiralicja; to chyba nie nasza działka. Ale radzę ci, Cedric, jeżeli chcesz ratować przynajmniej własną skórę, bierz swoją fajkę, duży zapas tytoniu i zmykaj z terenu objętego zasięgiem broni atomowej, do której tak ci się pali. Rozbij sobie namiot na Antarktydzie albo gdzieś indziej, dokąd skażenie radioaktywne dotrze dopiero po

pewnym czasie. Profesor Eckstein nas ostrzegał, sam słyszałeś, a on chyba wie, o czym mówi.

Rozdział osiemnasty

Postscriptum Pikeawaya

Spotkanie dobiegło końca. Jego uczestnicy rozdzielili się na dwie grupy.

Kanclerz Niemiec w towarzystwie premiera, sir George'a Packhama, Gordona Chetwynda i doktora Reichardta udali się na lunch na Downing Street.

Admirał Blunt, pułkownik Munro, pułkownik Pikeaway oraz Henry Horsham zostali, aby przedyskutować

sprawę. W towarzystwie ważnych osób czuli się nieco skrępowani.

Pierwsze uwagi były dalekie od meritum.

— Całe szczęście, że zabrali ze sobą Packhama — odetchnął pułkownik Pikeaway. — Ten człowiek doprowadza mnie do szału swoim zrzędzeniem.

— Powinien był pan pójść z nimi, admirale — rzekł pułkownik Munro. — Chetwynd i Packham nie są w stanie wyperswadować naszemu Cedrykowi jego szalonych pomysłów. Kto wie, co jeszcze przyjdzie mu do głowy. Rosja, Chiny, a może nawet Wybrzeże Kości Słoniowej.

— Niestety, mam inne sprawy na głowie — odparł Blunt. — Jadę na wieś odwiedzić pewną znajomą osobę.

Zerknął ciekawie na Pikeawaya.

— Niech się pan przyzna, Pikeaway, czy ta sprawa z Hitlerem była dla pana zaskoczeniem?

Pułkownik Pikeaway potrząsnął głową.

— Raczej nie. Dochodziły nas słuchy o rzekomym pojawieniu się Hitlera w Ameryce Południowej. Na ile prawdziwe, trudno powiedzieć. Nie wiemy, czy ten człowiek rzeczywiście był Hitlerem, czy jedynie

samozwańczym oszustem. Tak czy inaczej, niewiele zdążył zdziałać, umarł wkrótce po wojnie.

— Zatem już nigdy nie dowiemy się, czyje ciało znaleziono w berlińskim bunkrze — skonstatował Blunt.

— Rosjanie już o to zadbali.

Wstał, kiwnął głową zebranym i ruszył do drzwi.

— Myślę, że doktor Reichardt zna prawdę — rzucił Munro — ale woli owijać w bawełnę.

— A Kanclerz?

— To rozsądny człowiek — rzekł admirał stojąc w progu. — Gdyby nie te studenckie zamieszki, już dawno doprowadziłby swój kraj do porządku. Szkoda.

Potoczył wzrokiem po zebranych.

— A to złotowłose cudo? — spytał. — Syn Hitlera? Wiadomo coś o nim?

— To już nie problem — skwitował nieoczekiwanie Pikeaway.

Admirał puścił klamkę i wrócił do stołu.

— Z moich doniesień wynika — ciągnął Pikeaway — że Hitler nie

doczekał się syna.

— Skąd ta pewność?

— Franz Joseph, czyli nasz młody Zygfryd, ten idol niemieckiej młodzieży to zwyczajny oszust. Jest synem argentyńskiego stolarza i blondwłosej śpiewaczki niemieckiego pochodzenia. Urodę i głos odziedziczył po matce. Był starannie wybrany do tej roli, można powiedzieć napiętnowany od dziecka. Zresztą rzeczywiście nosi na pięcie wypaloną swastykę. Jest zawodowym aktorem. Krążą o nim romantyczne historie. Traktują go jak Dalaj Lamę.

— Jakież dowody?

— Pełna dokumentacja — pułkownik Pikeaway wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Zdobyta przez jedną z moich najlepszych agentek. Dokumenty notarialne, fotokopie, oświadczenia, w tym jedno podpisane przez jego matkę, wyciąg z akt medycznych dotyczący daty zabiegu polegającego na wykonaniu blizny w kształcie swastyki. Poza tym metryka na nazwisko Karl Aguileros i uwierzytelniony dowód na to, że osoba ta jest tożsama z człowiekiem znanym jako Franz Joseph. Jednym słowem, wszystko, co trzeba, do wyboru, do koloru. Moja agentka dostarczyła je w samą porę. Gdyby nie łut szczęścia, dopadliby ją we Frankfurcie.

— Gdzie znajdują się teraz te dokumenty?

— Są w bezpiecznym miejscu. Czekają na właściwy moment. Gdy przyjdzie czas, obwieścimy światu, kim naprawdę jest Franz Joseph.

— Czy rząd wie o tym? Premier...?

— Nie ufam politykom. Dowiedzą się, kiedy będę miał pewność, że nic już nie mogą zepsuć.

— Stary spryciarz z ciebie, Pikeaway!
— wykrzyknął Munro.

— Ktoś musi być sprytny w tym towarzystwie — odparł Pikeaway z

powagą.

Rozdział dziewiętnasty

Sir Stafford Nye przyjmuje gości

Sir Stafford Nye zabawiał gości w swym salonie. Spośród grona osób, które raczyły złożyć mu wizytę, znał tylko jednego osobnika, choć prawdę powiedziawszy, tylko z widzenia. Wszyscy byli młodzi, poważni i inteligentni. W każdym razie takie odniósł wrażenie. Ich fryzury były staranne, marynarki dobrze skrojone. Patrząc na nich Stafford Nye nie mógł

zaprzeczyć, że wyglądają sympatycznie. Jednocześnie zaś próbował dociec, czemu zawdzięcza ten honor. Jeden z gości, sądząc z nazwiska, był spokrewniony z pewnym bogatym przedsiębiorcą z branży naftowej. O drugim Stafford wiedział skądinąd, że jest siostrzeńcem właściciela sieci restauracji i że od wczesnej młodości zajmuje się aktywnie polityką. Trzeci mężczyzna miał zabawne, szerokie brwi, co nadawało mu wygląd wiecznie coś podejrzewającego.

— To bardzo uprzejme, że zgodził się pan nas przyjąć, sir — mówił blondyn, który zdawał się przewodniczyć delegacji.

Miał bardzo miły głos. Przedstawił się jako Clifford Bent.

— To pan Roderyk Ketelly, a to Jim Brewster. Przyszliśmy do pana, ponieważ niepokoï nas przyszłość tego kraju.

— Jak każdego, nieprawdaż? — skomentował Stafford.

— Niepokoï nas to, co dzieje się wokół — ciągnął Clifford Bent. — Zamieszki, anarchia, wie pan, o czym mówię, prawda? Z punktu widzenia filozoficznego jest to, rzekłbym, dopuszczalne. Szczerze mówiąc każdy z nas wyrósł na tym gruncie, jednak sprawy przybrały niebezpieczny obrót.

Pragniemy, aby młodzi ludzie zajmowali się pracą akademicką, zamiast trwonić energię na demonstracje. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie mamy nic przeciwko demonstracjom, jednak nie można pozwolić, by przeradzały się one w akty chuligaństwa i przemocy. Jednym słowem, dążymy do tego, by utworzyć nową partię polityczną. Obecny tu pan Brewster podjął nawet stosowne kroki w sprawie propagowania pewnych nowych idei dotyczących struktury związków zawodowych. Wprawdzie nie spotkały się one z akceptacją zainteresowanych, niemniej jednak jest to już pewien krok w kreowaniu naszej orientacji politycznej. Prawda, Jim?

— Te robole to przeważnie półgłówki
— mruknął Jim Brewster.

— Chcemy położyć nacisk na sytuację młodzieży, ze szczególnym uwzględnieniem spraw ekonomicznych. Czas już, by resort edukacji skoncentrował się na sprawach istotnych dla właściwego rozwoju młodego człowieka. Jeżeli zdobędziemy mandaty i uformujemy własny gabinet, a sądzę, że to tylko kwestia czasu, będziemy starać się, aby te pomysły nie stały się jedynie czczymi obietnicami. Jest nas wielu. Stawiamy na młodzież, podobnie jak ci, którzy podżegają do buntu, ale w przeciwieństwie do nich wolimy unikać drastycznych rozwiązań. Nasz przyszły

gabinet zajmie się redukcją liczby posłów. Sporządziliśmy szczegółowe raporty na temat działalności osób aktywnych politycznie i wybraliśmy grupę takich, którzy naszym zdaniem charakteryzują się zdrowym rozsądkiem i właściwym podejściem do pewnych kwestii. Te osoby zamierzamy zainteresować naszymi propozycjami, jeśli oczywiście zgodzą się współpracować. Między innymi wybraliśmy właśnie pana. Zdajemy sobie sprawę, że nasz program jest dopiero w początkowej fazie rozwoju, ale wiemy już, jakich ludzi nam potrzeba do realizacji owego programu. Z oczywistych względów nie interesuje nas partia rządząca, podobnie zresztą

laburzyści. Co się zaś tyczy pomniejszych stronnictw, sądzymy, że znalazłoby się parę osób gotowych poprzeć nasze dążenia. Przyszliśmy do pana z propozycją. Szukamy osoby, która rozumie niuanse polityki zagranicznej i potrafi reprezentować nasze interesy na arenie międzynarodowej. Sprawy na świecie mają się źle. Waszyngton leży w ruinach, w Europie co rusz wybuchają konflikty, nasilają się akty terroru, demonstracje, niszczenie własności publicznej, Zresztą nie muszę panu uświadamiać powagi sytuacji. Naszym celem jest nie tyle doprowadzenie świata do porządku, ile postawienie na nogi tego biednego kraju. Potrzeba nam właściwych ludzi.

Potrzeba nam ludzi młodych, wolnych od anarchistycznych skłonności, gotowych zadbać o dobro ogólne. Z drugiej zaś strony chcemy wciągnąć w nasze szeregi niektórych ludzi starszych, z doświadczeniem. Nie mówię oczywiście o sześćdziesięciolatkach. Mówię o ludziach trzydziesto—, czterdziestoletnich. Przyszliśmy do pana, ponieważ słyszeliśmy o panu wiele dobrego. Wiemy, że jest pan odpowiednim człowiekiem.

— Macie się za ludzi mądrych i odpowiedzialnych? — spytał Stafford.

— Oczywiście — odparł Brent z lekką konsternacją.

— Mamy nadzieję, że zgodzi się pan z nami w tej kwestii — dorzucił drugi młodzieniec.

— Obawiam się, że nie. Zachowujecie się raczej swobodnie.

— W końcu to nie zebranie wyborcze. Przyszliśmy do pana prywatnie.

— Zgoda, ale postępujcie nieroztropnie.

— Ach, rozumiem, do czego pan zmierza.

— Proponujecie mi rzeczy, które wymagają ode mnie zerwania pewnych więzów. Innymi słowy żądacie, bym

zachował się nielojalnie wobec kraju i instytucji, którą reprezentuję.

— Nie proponujemy panu zdrady na rzecz obcego mocarstwa, jeśli to pan sugeruje.

— Nie, oczywiście, że nie. Rozumiem doskonale, że nie chcecie, abym pracował dla obcego wywiadu. Ale sądzę, że wasza propozycja w istotny sposób wiąże się z tym, co dzieje się na arenie międzynarodowej. Trzeba wam wiedzieć, że niedawno wróciłem z zagranicy. To była bardzo interesująca podróż. Ostatnie trzy tygodnie spędziłem w Ameryce Południowej. Myślę, że powinniście o czymś wiedzieć. Otóż jestem przekonany, że odkąd wróciłem

do Anglii, ktoś śledzi każdy mój krok.

— Ktoś pana śledzi? Jest pan tego pewien?

— Absolutnie. W moim fachu człowiek potrafi dostrzegać takie rzeczy. Rozumiem, że przyszedłście do mnie z pewną propozycją. Ale czy nie wydaje się wam, że byłoby roztropniej zaaranżować to spotkanie na gruncie neutralnym?

Wstał, otworzył drzwi do łazienki i odkręcił oba krany.

— Widziałem to na filmach szpiegowskich — wyjaśnił. — To na wypadek, gdyby ktoś nas podsłuchiwał.

Wiem, że to dość staroświecka metoda, z pewnością w dzisiejszych czasach załatwia się to inaczej. Ale może teraz będziemy mogli mówić swobodniej, chociaż dalej uważam, że powinniśmy zachować najdalej idącą ostrożność. Ameryka Południowa — ciągnął — to bardzo ciekawe miejsce. Czy wiecie, że ostatnio zawiązała się tam konfederacja pod nazwą Hiszpańskie Złoto? W jej skład wchodzi kilka państw, między innymi Kuba, Argentyna, Brazylia, Peru i jeszcze inne. Tak. To bardzo interesujące.

— Jaka jest pańska opinia w tej mierze? — spytał młodzieniec o podejrzliwym wyrazie twarzy.

— Pozwólcie, że i tu zachowam ostrożność. Wolę nie wyrażać swoich opinii wprost, jak przystało na dyplomatę. Sądzę, że teraz już możemy zakręcić wodę.

— Jim, rusz się — rzucił Clifford Bent. Jim posłusznie wstał wypełnić polecenie. Stafford Nye otworzył szufladę biurka i wyjął flet.

— Wybaczcie, jeśli będę fałszował. Daleko mi do biegłości.

Uśmiechnął się. Uniósł instrument do ust i zaczął grać. Jim Brewster wrócił z łazienki ze skwaszoną miną.

— Co to? — prychnął. — Koncert?

— Milcz, ignorancie — uciszył go Clifford Bent.

— Pojęcia nie masz o muzyce. Stafford uśmiechnął się ponownie.

— Widzę, że dzielicie moją słabość do Wagnera. Niedawno byłem w Bawarii na festiwalu i muszę przyznać, że byłem oczarowany.

Zagrał motyw jeszcze raz.

— Według mnie to Międzynarodówka — skwitował Jim Brewster. — Albo Yankee Doodle.

— Głupiś — rzekł Ketelly. — To fragment opery. I zamknij wreszcie

jadaczkę. Nie musisz wiedzieć,
wystarczy, że my wiemy.

— Pieśń młodego bohatera —
oznajmił Stafford.

Uniósł rękę w faszystowskim
pozdrowieniu i szepnął: — Nowy
Młody Zygryd. Wszyscy trzej powstali.

— Ma pan rację — przyznał Clifford
Bent. — Musimy zachować ostrożność.

Wyciągnął dłoń do Stafforda.

— Cieszymy się, że jest pan z nami —
oświadczył. — Wierzę, że nasz kraj
znajdzie w panu nadzwyczaj
efektywnego ministra spraw

zagranicznych.

Stafford odprowadził ich do wyjścia. Obserwował ich przez chwilę zza niedomkniętych drzwi, po czym uśmiechnął się z satysfakcją, przekręcił klucz w zamku, rzucił okiem na zegarek i zasiadł w fotelu. Czekał.

W myślach wrócił do chwili, kiedy rozstał się z Mary Ann na lotnisku Kennedy'ego. Było to niespełna tydzień temu. Stali w hallu i żadne nie wiedziało, co powiedzieć. Stafford rzekł wtedy:

— Jak myślisz, czy jeszcze kiedyś się spotkamy?

— Dlaczego mielibyśmy się nie spotkać?

— Nie wiem...

Zerknęła na niego i zaraz spuściła wzrok.

— Wiem, że trudno jest się rozstawać, ale tak musi być. Zrozum, że mam swoje obowiązki.

— Do diabła z obowiązkami! Czy ty nigdy nie możesz zapomnieć o swojej pracy?

— Nie mogę.

— Ty jesteś zawodowcem, a ja

zwykłym amatorem. Jesteś... — urwał.
— Kim właściwie jesteś? Tego chyba
nigdy się nie dowiem.

— Chyba nie.

Spojrzał na nią. W jej twarzy
dostrzegł smutek, może nawet ból.

— A więc — powiedział —
pozostają mi domysły. Sam nie wiem,
czy powinienem ci ufać.

— Nie. To jedna z rzeczy, których
nauczyłam się w tym zawodzie. Nigdy
nie wolno nikomu ufać. Pamiętaj o
tym... nigdy.

— Więc taki jest ten twój świat?

Świat nieufności, strachu, wiecznego zagrożenia?

— Chcę po prostu żyć. Żyję.

— Wiem.

— I chcę, żebyś ty również mógł pozostać przy życiu.

— Zaufałem ci wtedy, we Frankfurcie...

— Czasem trzeba ryzykować.

— Opłacało się ryzykować. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Dlatego, że...

— Dlatego że mogliśmy być razem. A teraz... A teraz muszę iść. Czy po to spotkałem cię na lotnisku we Frankfurcie, żeby cię stracić na innym lotnisku? Gdzie będziesz? Co zamierzasz teraz robić?

— Zamierzam robić to, co do mnie należy. Baltimore, Waszyngton, Teksas, a co potem? Nie wiem.

— A ja? Jakie są moje rozkazy? Wracać do Londynu i co dalej?

— Czekać.

— Czekać? Na co?

— Na kogoś, kto przyjdzie z

propozycją.

— I co wtedy?

Posłała mu nagle ten promienny uśmiech, który tak często widywał na jej twarzy.

— Wtedy pozostanie improwizacja. Będiesz wiedział, co zrobić, nikt nie wiedziałby lepiej niż ty. Ten ktoś sprawi na tobie dobre wrażenie. Będą to ludzie wybrani starannie. Musimy wiedzieć, kto to będzie. To bardzo ważne.

— Muszę już iść. Żegnaj, Mary Ann.

— Nie żegnaj, lecz do widzenia.

W londyńskim apartamencie rozdzwonił się telefon. W samą porę, pomyślał Stafford. Natarczywy dzwonek wyrwał go ze wspomnień o momencie ich pożegnania.

— Do widzenia, Mary Ann — mruknął i odebrał telefon.

— Stafford Nye?

Bez trudu poznał ten głos. Tak świszczący oddech mógł mieć tylko jeden człowiek.

— Witam, pułkowniku. Powinien pan rzucić palenie.

— Wiem — odparł Pikeaway. — Mój

doktor powtarza mi to codziennie, ale nie mam pojęcia, jak on to sobie wyobraża. Jakież wieści?

— Owszem. Trzydzieści srebrników w zamian za współpracę.

— Przeklęte świnię!

— Spokojnie, pułkowniku. Proszę się nie denerwować.

— I co pan im powiedział?

— Zagrałem im na fujarce motyw Zygryda na rogu, zgodnie z radą cioteczki Matyldy. Przyjęli to owacyjnie.

— Coś takiego!

— Zna pan piosenkę pod tytułem *Juanita*? Tego też się muszę nauczyć. Może się kiedyś przyda.

— Wie pan, kim jest Juanita?

— Tak sędzę.

— Hmm, ciekawe, co się z nią dzieje. Ostatnio widziano ją w Baltimore.

— A co u naszej znajomej, panny Daphne Theodofanus? Ciekaw jestem, gdzie teraz jest.

— Pewnie siedzi na jakimś lotnisku i czeka na pana — roześmiał się

Pikeaway.

— Większość lotnisk w Europie jest zamknięta — odparł Stafford. — Podobno boją się zamachów bombowych. Po tym, co się stało w paru miastach, wcale się nie dziwię.

— Zupełnie powariowali. Dziecięca Krucjata. Pamięta pan z historii? Wtedy też tak było. Zaczęło się od szczytnych idei, a jak się skończyło? Śmierć, śmierć i jeszcze raz śmierć. Większość dzieci zginęła, a część sprzedano jako niewolników. Mówię panu, teraz będzie tak samo, chyba że znajdziemy wreszcie sposób, żeby ich powstrzymać...

Rozdział dwudziesty

Admirał składa wizytę

— Już myślałem, żeście tu wszyscy poumierali — rzucił kwaśno admirał Blunt.

Jego uwaga skierowana była do osoby, która otworzyła mu drzwi. Nie był to bynajmniej stateczny kamerdyner, lecz młoda dama, której nazwisko wyleciało mu z pamięci; wiedział jedynie, że na imię ma Amy.

— Próbowałem się do was

dodzwonić, ale ciągle mówili, że wyjechały panie za granicę.

— To prawda. Dopiero co wróciłyśmy.

— Matylda nie powinna podróżować. Nie w jej wieku. Zobaczysz, że to się skończy atakiem serca, chyba że wcześniej wyleci w powietrze razem z całym samolotem.

— Wyjechałyśmy za radą doktora.

— Ach wiemy, jacy są ci doktorzy.

— I muszę stwierdzić, że podróż dobrze jej zrobiła.

— Gdzie zatem była?

— U wód, jak to mówią. W Niemczech. A może to już Austria? Sama nie wiem. W tym nowym ośrodku, wie pan. Złocista Gospoda.

— Ach tak, znam to miejsce. Musiałyście wydać fortunę.

— Myślę, że się opłaciło. Kuracjusze bardzo sobie chwalą.

— Jeszcze jedna metoda wyciągania od ludzi pieniędzy — skrzywił się admirał. — A ty, moja droga? Jak się bawiłaś?

— Szczerze mówiąc nie najlepiej. To

bardzo urocze miejsce, ale...

Z piętra dobiegł pełen nagany głos starszej pani.

— Amy! Amy! Przestań wreszcie paplać i przyprowadź pana na górę. Ile mam jeszcze czekać?

— Włóczyć się w twoim wieku! — powiedział admirał Blunt ściskając przyjaciółkę. — Źle się to skończy, zobaczysz. Zapamiętasz moje słowa.

— Przesadzasz. W dzisiejszych czasach podróżuje się znacznie wygodniej niż kiedyś.

— Wygodniej, też coś! To bieganie po

schodach, wystawanie w kolejkach do kasy...

— Jeździłam na wózku.

— Ach tak! Od trzech lat próbowałem cię namówić, żebyś sprawiła sobie wózek, ale ty uważałaś, że duma ci na to nie pozwala. No i proszę.

— Porzuciłam dumę na rzecz wygody, mój drogi Filipie. Usiądź proszę i mów, co cię tak pilnie do mnie sprowadza. Ostatnimi czasy nie raczyłeś dać znaku życia.

— Już nie to zdrowie, Matyldo. Poza tym byłem bardzo zajęty. Wiesz, jak to jest. Wiecznie ciągną mnie po naradach,

a kiedy wyrażę swoją opinię, robią dokładnie na odwrót. Nie zostawią człowieka w spokoju, żeby ich pokręciło.

— Nie wyglądasz mi na chorego.

— Nawzajem, moja droga. Ty też wyglądasz kwitnąco. Oczy ci błyszczą jak u dzierlatki.

— Ale słuch już nie ten. Musisz mówić głośniej.

— Postaram się.

— Czego się napijesz? Gin z tonikiem? Whisky? Rum?

— Czy aby nie przeceniasz moich możliwości? Ale skoro nalegasz, niech będzie gin z tonikiem.

Lady Matylda wydała Amy dyspozycje.

— Jak wróci — rzekł admirał — bądź tak dobra i pozbądź się jej pod jakimś pozorem. Chciałbym pomówić z tobą na osobności.

Kiedy Amy wręczyła szklanę admirałowi, lady Matylda odprawiła ją gestem dłoni. Amy z miną raczej ukontentowaną taktownie opuściła pokój.

— Miła dziewczyna — stwierdził

admirał. — Bardzo miła.

— Czy po to kazałeś ją odprawić, by
pisać z zachwytu na jej cześć?

— Przeszedłem po pomoc.

— Do mnie? Szukasz służącego, czy
też nie wiesz, jak zagospodarować
ogród? A może zabrakło ci maści na
artretyzm?

— To poważna sprawa, Matyldo. W
tobie cała nadzieja. Może ty potrafisz
sobie przypomnieć pewną sprawę.

— Drogi Filipie, to bardzo miłe z
twojej strony, że tak myślisz, ale
obawiam się, że z moją pamięcią jest

znacznie gorzej, niż przypuszczasz. Doszłam do wniosku, że pamiętam jedynie twarze z wczesnej młodości. Nawet stare znajome ze szkoły, o których wolałabym zapomnieć. Prawdę mówiąc właśnie dlatego pojechałam do Niemiec.

— Nie rozumiem. Odwiedzałaś swoją starą szkołę?

— Ależ nie. Pojechałam z wizytą do starej znajomej ze szkolnej ławy. Nie widziałam jej od trzydziestu, czterdziestu, a może pięćdziesięciu lat.

— I jak wrażenia?

— Okazała się strasznie gruba i

jeszcze bardziej okropna niż kiedyś.

— Muszę przyznać, że masz dość szczególne gusta.

— Zostawmy to. Dowiem się wreszcie, o co ci chodzi?

— Widzisz, zastanawiałem się, czy pamiętasz innego z twoich dawnych znajomych. Mężczyznę o nazwisku Robert Shoreham.

— Robbie Shoreham? Oczywiście, że pamiętam.

— Chodzi mi o tego naukowca — upewnił się admirał.

— Zgadza się. Takich jak on nie zapomina się tak łatwo. Skąd to nagle zainteresowanie jego osobą?

— Wymaga tego dobro publiczne.

— To zabawne — stwierdziła lady Matylda. — Samej mi to przyszło do głowy nie dalej jak wczoraj.

— Co takiego?

— Że Robbie mógłby się przydać. Albo ktoś taki jak on.

— Nie ma nikogo takiego. Posłuchaj mnie teraz, moja droga. Wiem, że ludzie rozmawiają z tobą o różnych rzeczach. Sam to często robię.

— Nie wiem czemu. Chyba nie przypuszczasz, że rozumiem z tego cokolwiek. A już zwłaszcza z tego, co mówił Robbie.

— Mam nadzieję, że nie zdradzam ci tajemnic wojskowych.

— Robbie również nie zdradzał mi swoich sekretów. W każdym razie nie wszystkie.

— Nie, ale mówił coś o swoich odkryciach, prawda?

— Cóż, lubił opowiadać ciekawe rzeczy.

— Świetnie. A zatem, czy

przypominasz sobie, żeby kiedykolwiek mówił coś, w czasach kiedy jeszcze, biedaczysko, mógł mówić, na temat Projektu B?

— Projekt B, powiadasz? — Matylda Cleckheaton zamyśliła się. — Brzmi znajomo. Często wspominał o projekcie takim, projekcie owakim albo o operacji jakiejś tam. Ale musisz wiedzieć, że większość z tego to była dla mnie czarną magia. Robbie zdawał sobie z tego sprawę, ale lubił, jak by to ująć, lubił mnie zdumiewać. To tak, jakbyś wyciągnął królika z kapelusza, a potem zaczął mi wyjaśniać, że to kwestia zręczności w palcach. Projekt B? Tak, to było ładnych parę lat temu... Pamiętam,

że był tym niezwykle podekscytowany.

— Wiem, moja droga, że jesteś osobą dyskretną. Jestem pewien, że możesz sobie przypomnieć, co Robert mówił o tym projekcie.

— Zrozum, to było bardzo dawno. Pamiętam, że wspominał o nim przy okazji rozmowy na temat operacji, jakie wykonuje się na mózgu. Wiesz, o czym mówię? Lobotomia. Zdaje się, że właśnie tego słowa użył. Taki zabieg, który wykonywało się swego czasu na pacjentach z manią prześladowczą, na kryminalistach i psychopatach. Mówił, że efekty takich operacji są zdumiewające. Pacjenci po zabiegu byli szczęśliwi i posłuszni. Wszystkie lęki

znikały, do tego stopnia, że aż stawało się to dla nich niebezpieczne. Nie uświadamiali sobie zagrożenia, nie mogli nawet wyjść na ulicę, bo wychodzili prosto pod nadjeżdżające samochody. Nie potrafię tego wyjaśnić, jak należy, ale rozumiesz, o czym mówię, prawda? I właśnie wtedy Robbie wspomniał, że Projekt B może mieć podobne konsekwencje.

— Czy mówił coś jeszcze?

— Powiedział, że to ja podsunęłam mu pomysł z tym projektem.

— Co? Chcesz powiedzieć, że Robert Shoreham, światowej sławy naukowiec, czerpał pomysły od ciebie? Nie obraż

się, ale ty przecież nie masz o tym zielonego pojęcia!

— Oczywiście, że nie mam. Ale zawsze staram się wpoić swym przyjaciółom odrobinę zdrowego rozsądku. Im bardziej są inteligentni, tym mniej wiedzą o zwyczajnym świecie. Przecież najważniejsze odkrycia to te, których nikt nie dostrzega. Weźmy na przykład człowieka, który wymyślił perforacje na znaczkach pocztowych. Albo kogoś takiego jak Adam, zaraz, jak on się nazywał? McAdam zdaje się. Ten, który wpadł na to, by wylać asfalt na wiejską drogę, żeby farmerzy mogli szybciej i wygodniej przewozić zboże do skupu i dzięki temu zarobić więcej

pieniędzy. Tacy ludzie robią więcej dobrego, niż całe stado wielkich naukowców. Naukowcy potrafią tylko obmyślać nowe sposoby zabijania. To samo powiedziałam Robertowi. Żartem, oczywiście, ale on zdaje się wziął to poważnie. Opowiadał mi właśnie o jakichś niezwykłych odkryciach w dziedzinie broni biologicznej. O tym, co można zrobić z płodem ludzkim, zanim jeszcze stanie się niemowlęciem. Mówił o okropnych gazach bojowych i o tym, że ludzie protestują przeciwko bombie atomowej, a nawet nie wiedzą, jakie to błogosławieństwo w porównaniu z innymi rzeczami, które powstają u niego w laboratorium. Wtedy właśnie powiedziałam, że byłoby dużo lepiej,

gdyby zajął się czymś naprawdę pożytecznym. On zaś spojrział na mnie z takim dziwnym wyrazem twarzy i spytał, co uważam za pożyteczne. A ja mu na to: „Słuchaj, zamiast wymyślać te straszne gazy, wynalazłbyś lepiej coś, co uczyni ludzi szczęśliwymi”. Dla takiego naukowca jak on to fraszka. Powiedziałam: „Wspomniałeś o tych operacjach, podczas których wycina się ludziom kawałek mózgu. Mówiłeś, że po tym stają się całkiem innymi ludźmi. No więc jeżeli można zmienić człowieka w ten sposób, to dlaczego nie wymyślisz czegoś, co uczyni ich szczęśliwymi i zadowolonymi z życia? Powiedzmy, jakiś gaz, który sprawia, że usypiasz i śni ci się coś bardzo przyjemnego”.

Powiedziałam mu, że to by był znacznie lepszy pomysł.

— Więc na tym polegać miał Projekt B?

— Robbie nie powiedział mi dokładnie, na czym to miało polegać. Ale strasznie się do tego zapalił i mówił, że to ja podsunęłam mu ten pomysł. A zatem musiało to być coś w tym guście, prawda? Coś w rodzaju gazu rozweselającego, tylko o dłuższym działaniu. Wiesz, o czym mówię, coś w rodzaju tego środka, który aplikują dentyści przy wrywaniu zębów. Pamiętam, jak mój brat poszedł kiedyś wyrwać ząb. Fotel był blisko okna, a on tak strasznie się śmiał, że z tego

wszystkiego kopnął nogą i wybił szybę. Dentysta bardzo się wtedy zezłościł.

— Uwielbiam te twoje anegdotki — roześmiał się admirał. — A więc Robbie postanowił pójść za twoją radą?

— Och, nie wiem dokładnie. W każdym razie wpadł na jakiś pomysł. Nawiasem mówiąc, ten projekt miał dłuższą nazwę.

— Jaką?

— Wymieniał ją parę razy, ale uciekło mi z pamięci. Była dziwaczna — zastanawiała się lady Matylda. — Na „b”, ale co to było? Benedykt?

— Jakieś imię?

— Sama nie wiem. Chyba me. Wiesz, rozmawialiśmy o tylu różnych rzeczach... Benedykt? Zaczynało się na Ben... Zapomniałam. Mam na końcu języka.

— Postaraj się, proszę. To bardzo ważne.

— Zabij mnie, nie przypomnę sobie. Widzisz, rozmawialiśmy o tym tylko raz. Potem od czasu do czasu pytałam, jak mu idzie. Pewnego razu, kiedy spytałam, co słyhać z Projektem B., powiedział, że chyba zrezygnuje, bo natrafił na jakiś problem. Potem zaczął mi wyjaśniać, na czym utknął, ale używał takich uczonych

słów, że nic z tego nie rozumiałam. Zresztą ty też byś pewnie nie wiedział, o co chodzi. W końcu... o mój Boże, to przecież było dobre dziesięć lat temu... w końcu przyszedł do mnie kiedyś i mówi: „Pamiętasz Projekt B?” Powiedziałam, że tak, a on na to: „Wiesz, postanowiłem z niego zrezygnować. Nie chodzi o to, że nie potrafię uzyskać tego, co planowałem. Teraz już wiem, co zrobiłem źle. Wiem już, jak to naprawić i mógłbym bez trudu doprowadzić to do końca, zwłaszcza że mam do pomocy Lizę. Wystarczyłoby parę dodatkowych eksperymentów i w dwa tygodnie mógłbym skończyć.” Spytałam, czemu zatem tego nie robi, a on mówi: „Bo nie wiem, jakie będą

skutki”. Zapytałam, czy ten środek może okazać się zabójczy, ale on mówił, że nie w tym rzecz. Powiedział, że... Ach, już wiem! Przypomniałam sobie! To się nazywało Projekt Benefaktor!

— Benefaktor? — zdumiał się admirał. — Czy to ma coś wspólnego z dobroczynnością?

— Ależ nie. Myślę, że chodziło o to, że ten środek miał wywołać w ludziach pragnienie czynienia dobra.

— Pokój ludziom dobrej woli?

— Cóż, tek tego nie określił.

— Nie wątpię. To domena kapłanów.

Nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe, a świat stanie się lepszy. Myślę, że Robbiemu nie chodziło o perswazję. Zamierzał uczynić to czysto fizycznymi metodami.

— No właśnie. I mówił jeszcze, że nie można z góry przewidzieć, co jest dla człowieka dobre, a co złe. Podał przykład penicyliny i transplantacji serca, i rozmaitych medykamentów. Środków, które miały być zbawieniem dla ludzkości. Co chwila wymyśla się jakieś cudowne specyfiki, a potem coś idzie nie tak i okazuje się, że to wszystko jest dokładnie na odwrót i że te wspaniałe środki wywołują więcej szkód niż korzyści. Z początku nie

rozumiałam, o co mu chodzi. Spytałam, czy boi się brać na siebie odpowiedzialność. Wtedy on powiedział: „Widzisz, nie chcę ryzykować, ponieważ nie wiem, jak to się skończy. W tym cały kłopot. Naukowiec wymyśla jakąś rzecz, ale nie ma żadnego wpływu na to, kto i jak użyje jego wynalazku”. Myślałam, że idzie mu o to, co stało się z bombą atomową. On zaś powiedział: „Bomba atomowa to jeszcze nic. Wymyśliłem coś znacznie gorszego.”

— Tłumaczyłam mu, że skoro wymyślił, jak uczynić ludzi lepszymi, to nie ma powodów do obaw. „Ty nic nie rozumiesz”, tak mi powiedział. „Nawet

moi koledzy z laboratorium nie mogą tego zrozumieć, że nie wspomnę o politykach i wojskowych. Widzisz, ryzyko jest zbyt wielkie. A ja ryzykować nie zamierzam”. „Ale przecież można odwrócić ten proces, prawda?”: ja mu na to. Ale on pokręcił tylko głową i powiedział: „Nie. Ten środek wywołuje nieodwracalne zmiany”. Potem znowu wpadł w ten swój naukowy bełkot. Wiesz, długie łacińskie słowa i całe mnóstwo liczb. Mówił coś o zmianach na poziomie komórki i tym podobnych rzeczach. Powiedział, że to tak jak z lobotomią. Wycina się przysadkę albo dwie, a potem człowiek jest już na stałe...

— Na stałe ogarnięty żądzą czynienia dobra? Czy jesteś pewna. Matyldo, że właśnie o to chodziło?

— Tak. Stąd ta nazwa. Benefaktor, czyli dobroczyńca.

— A jak zareagowali jego koledzy, kiedy powiedział im, że rezygnuje z dalszych doświadczeń?

— Zdaje się, że wiedziało o tym niewielu. Jego asystentka, Liza jakaś tam, Austriaczka. Był też ten młody człowiek. Nazywał się Leadenthal albo jakoś podobnie, ale on wkrótce potem zmarł na gruźlicę. Z tego, co mówił Robbie, wynikało, że reszta ludzi pracujących nad projektem to byli zwykli laboranci,

którzy nie mieli pojęcia o niczym — lady Matylda spojrzała na admirała z nagłym błyskiem w oczach. — Ach, wiem do czego zmierzasz, ale myślę, że nie powiedział nikomu o swoim projekcie. Sądzę, że zniszczył swoje notatki i postanowił o wszystkim zapomnieć. No a potem przyszedł ten atak... Biedny Robbie prawie zupełnie stracił mowę. Podobno całą lewą stronę ciała ma sparaliżowaną. Z tego, co mi wiadomo, całymi dniami słucha muzyki. Co mu, biedakowi, pozostało? Muzyka to całe jego życie.

— Ach tak!

— Nie przyjmuje żadnych wizyt. Myślę, że to dla niego zbyt bolesne

spotykać się z dawnymi znajomymi.

— Ale żyje — rzekł admirał Blunt. — Najważniejsze, że żyje! Czy masz jego adres?

— Tak, mam gdzieś zapisany. Mieszka chyba na północy Szkocji. Zrozum, Filipie, to był kiedyś wspaniały człowiek, naprawdę wspaniały, ale to było dawno temu. Teraz jest... przykro mi to mówić, ale jest jak żywy trup.

— Zawsze jest nadzieja — odparł admirał Blunt. — Nadzieja i wiara.

— I miłość bliźniego — dodała lady Matylda.

Rozdział dwudziesty

pierwszy

Projekt B

Profesor John Gottlieb wpatrywał się z uwagą w młodą, atrakcyjną kobietę siedzącą naprzeciwko. Podrapał się za uchem typowym dla niego, niemal małpim gestem. Nawiasem mówiąc cały przypominał małpę. Miał wielką głowę, wystającą szczękę, kontrastującą z niepozorną drobną posturą.

— Przyznam — odezwał się — że nie

co dzień młode damy przynoszą mi listy podpisane przez samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pocieszam się — dodał z uśmiechem — że prezydenci nie zawsze wiedzą, co robią. Może pani mi wyjaśni, o co tu chodzi?

— Chciałabym spytać, co panu wiadomo o pewnych badaniach zwanych Projektem B.

— Czy jest pani rzeczywiście hrabiną Renatą Zerkowski?

— Owszem, choć częściej występuję jako Mary Ann.

— Tak. To by się zgadzało z tym, co tu napisali. I chce pani usłyszeć o

Projekcie B. No cóż, istotnie prowadzono swego czasu badania o tej nazwie, ale to już historia. Projekt umarł śmiercią naturalną. Z tego, co mi wiadomo, podobnie ma się sprawa z jego autorem.

— Mówi pan o profesorze Shorehamie?

— Zgadza się. Profesor Robert Shoreham, jeden z największych geniuszy naszych czasów. Jego nazwisko wymawia się jednym tchem obok takich sław jak Einstein i Niels Bohr. Szkoda, że umarł tak młodo. To naprawdę wielka strata dla nauki.

— Profesor Shoreham nie umarł —

rzekła Mary Ann.

— No proszę. Jest pani pewna? Jakoś nic o nim ostatnio nie słyhać.

— Jest inwalidą. Mieszka w Szkocji. Jest sparaliżowany, prawie zupełnie stracił mowę. Większość czasu spędza słuchając muzyki.

— Dobre i to. Cieszy mnie ta wiadomość. Jeżeli może słyhać muzyki, to znaczy, że jest szczęśliwy. Ja na jego miejscu dawno bym popełnił samobójstwo.

— Wracając do tematu... Czy jest pan pewien, że pracował nad Projektem B?

— Tak. Był z niego bardzo dumny.

— Mówił coś o nim?

— No cóż, rozmawiał o tym z różnymi ludźmi. Pani, młoda damo, nie jest, jak przypuszczam, naukowcem?

— Nie. Jestem...

— Agentką, prawda? Mam nadzieję, że pracuje pani po właściwej stronie. Rozumiem, że światu pozostało już tylko czekać na jakiś cud, ale obawiam się, że nie ma co liczyć na Projekt B.

— Dlaczego? Przecież sam pan potwierdził, że Shoreham nad tym pracował. To miało szansę stać się

wielkim wynalazkiem, prawda?

— Owszem, przyznaję, że byłoby to znaczące odkrycie. Sam zachodzę w głowę, czemu tego nie skończył. Ale tak już jest w nauce. Czasem wydaje się, że już wszystko zapięte na ostatni guzik, a tu nagle coś się nie zgadza. Człowiek napotyka trudność nie do przezwyciężenia i musi odłożyć wszystko do szuflady. Albo robi to, co zrobił Shoreham.

— Co on takiego zrobił?

— Zniszczył to. Sam mi powiedział. Spalił wszystkie notatki, wszystkie wzory, wszystkie dane. Trzy tygodnie później zabrali go do szpitala. Przykro

mi, młoda damo. Nie potrafię pani pomóc. Shoreham nie wtajemniczał nikogo w szczegóły swych badań. Nawet nie pamiętam już, czego to miało dotyczyć. Wiem tylko, że za tym B kryje się słowo benefaktor.

Rozdział dwudziesty drugi Juanita

Lord Altamount dyktował przemowę.

Jego głos, tak kiedyś silny i władczy, był cichy i stonowany, jednak niósł w sobie pewien ładunek ekspresji. Zdawał się dobiegać z oddali, z mroków minionych dni, jednak potrafił oddać emocje, jakich dobitne tony nigdy nie będą w stanie przekazać.

James Kleek notował skrzątnie każde słowo, czasem przerywał pisanie i czekał, aż stary polityk zbierze myśli.

— Idealizm — mówił lord Altamount — rodzi się z naturalnego oporu wobec niesprawiedliwości. Jest świadomym buntem sprzeciwiającym się chaosowi materialistycznego świata. Ucieczka w świat czystych idei jest jakże typową reakcją młodych ludzi na zastany porządek rzeczy. W ich buncie rodzi się pragnienie, by zniszczyć to, co złe, pragnienie, które czasami znajduje swą kulminację niestety właśnie w rozkoszy mszczenia i sprawiania bólu. Ludzie o talentach przywódczych potrafią umiejętnie podsycać ten proces.

Młodzięczy idealizm powinien szukać realizacji w szczytnych, twórczych działaniach. Powinien budować miłość i poszanowanie dla wartości humanistycznych. Ale ci, którzy raz doświadczyli rozkoszy w nienawiści, nigdy nie staną się dorośli i do końca swych dni pozostaną niewolnikami własnej niedoskonałości.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Lord Altamount skinął ręką. James Kleek odłożył notatnik i wyszedł do hallu. Po chwili wrócił.

— Przyszedł pan Robinson —
oznajmił.

— Ach tak. Poproś go tutaj.

Skończymy później.

Wszedł Robinson. Kleek podsunął mu fotel wystarczająco szeroki, by pomieścić obfite kształty bankiera. Robinson podziękował uśmiechem.

— No, co tam? — spytał lord Altamount. — Masz dla nas jakieś nowe kółka?

— Nie — odrzekł niewzruszony Robinson. — To, nad czym obecnie pracuję, można by raczej nazwać wytyczaniem biegu rzeki.

— Rzeki? Jakiej rzeki?

— Rzeki pieniędzy — odparł

Robinson z tym skromnym uśmiechem, jaki pojawiał się na jego twarzy, ilekroć mówił o swojej specjalności. — To jest rzeczywiście jak rzeka. Pieniądze płyną z różnych źródeł i gromadzą się w jeden wielki strumień. Dokonałem pewnych interesujących spostrzeżeń. Nietrudno wyciągnąć z tego pewne wnioski, jeśli oczywiście interesuje panów ten temat...

James Kleek nie wyglądał na zainteresowanego, ale lord Altamount skinął głową. — Mów dalej — rzekł.

— Zatem pieniądze płyną głównie ze Skandynawii, Bawarii, USA i Bliskiego Wschodu, zasilane ponadto z innych drobnych źródeł.

— A ujście?

— Przede wszystkim Ameryka Południowa. Zdołaliśmy ustalić, że właśnie tam znajduje się główna kwatery.

— Czyli tam zazębiają się cztery z tych pięciu kół, które nam pokazałeś?

— Tak. Wiemy już mniej więcej, kto kontroluje poszczególne grupy...

— A piąte koło? J jak Juanita? — przerwał James Kleek.

— Tego na razie nie jesteśmy pewni.

— James ma pewne sugestie — rzekł lord Altamount. — Choć Bóg mi świadkiem, mam nadzieję, że się myli.

— Moim zdaniem — wyjaśnił Kleek — Juanita jest czymś w rodzaju kata.

— Historia notuje podobne przypadki — dodał lord Altamount — J jak Judyta, która zgładziła Holofernesa ku niepomiernej radości swego ludu. Sądzę, że coś w tym jest.

— A więc James uważa, że wie, kim jest Juanita?

— Robinson spojrział na Kleeka. — To ciekawe.

— Możliwe, że się mylę, ale pewne rzeczy dały mi wiele do myślenia...

— Mów, mów—rzucił Robinson.—
Słuchamy cię, James.

— No więc... wydaje mi się, że to hrabina Renata Zerkowski.

— Skąd taki wniosek?

— Bywa w tych różnych miejscach, kontaktuje się z różnymi ludźmi. Zbyt wiele w tym wszystkim przypadku. Była w Bawarii. Odwiedzała Wielką Charlotte. Co więcej, zabrała z sobą Stafforda Nye. Sądzę, że to podejrzane...

— Myślisz, że oboje są w to zamieszani?

— Nie chciałbym ferować wyroków. Nie znam go zbyt dobrze, ale... — urwał.

— Zgadza się — potwierdził lord Altamount. — Od początku były co do niego wątpliwości. Niektórzy go podejrzewali.

— Horsham?

— Prawdopodobnie. Pikeaway też mu chyba nie ufa. Kazał go stale pilnować. Nye pewnie doskonale wie, że jest śledzony. To szczwany lis.

— Jeszcze jeden zdrajca — prychnął Kleek z pogardą.

— Co za ohyda! Człowiek ufa im, zdradza tajemnice, informuje o wszystkich planach, a oni? Philby, Mclean, Burgess, a teraz Stafford Nye.

— Stafford Nye, indoktrynowany przez Renatę, alias Juanitę — dorzucił Robinson.

— Najpierw ta cała historia na lotnisku — ciągnął Kleek — potem wizyta u Charlotte... Podobno nawet byli razem w Ameryce Południowej. A czy wiadomo, co się teraz dzieje z Mary Ann?

— Jest w Stanach. Z tego, co wiem, najpierw odwiedziła znajomych w Waszyngtonie, potem była w Chicago, w Kalifornii, a ostatnio pojechała do Austin zobaczyć się z pewnym znanym naukowcem.

— W jakim celu?

— Należy przypuszczać — stwierdził Robinson z niewzruszonym spokojem — że stara się zdobyć pewne informacje.

— Jakie informacje? Robinson westchnął.

— Ba, też chciałbym to wiedzieć. Mam nadzieję, że te same, o które nam również chodzi, i że robi to dla nas. Ale

nigdy nie można być pewnym. Może robi to dla kogoś innego?

Spojrzał na lorda Altamount.

— Dziś wieczorem wybierasz się do Szkocji, tak?

— Zgadza się.

— Nie sędzę, by to był dobry pomysł, sir — Kleek rzucił swemu panu spojrzenie pełne troski. — Ostatnio nie czuje się pan dobrze. To długa i męcząca podróż, nawet jeżeli zdecyduje się pan lecieć samolotem. Może zostawić to innym? Horsham i Munro dadzą sobie radę.

— W moim wieku ostrożność to strata czasu — odparł lord Altamount. — Póki jeszcze na coś mogę się przydać, wolałbym wziąć sprawy w swoje ręce. Wolę umrzeć w kieracie niż w swoim własnym łóżku.

Uśmiechnął się do Robinsona.

— Jedziesz z nami? — spytał.

— Wygląda na to, że muszę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Podróż do Szkocji

I

Major lotnictwa zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Przywykł już do tego, że nie jest informowany. Zapewne jakaś akcja Security. Wiele razy wykonywał podobne zadania. Lot w dziwne miejsce z dziwnymi ludźmi na pokładzie. Żadnych pytań, rozkaz to rozkaz. Niektórych pasażerów zdołał

rozpoznać. Jeden z nich to niewątpliwie lord Altamount. Stary, schorowany człowiek, który utrzymywał się przy życiu jedynie dzięki swej niespożytej energii i silnej woli. Młody mężczyzna o jastrzębim nosie i służalczej minie to zapewne jego osobista ochrona. Wierny pies, który nie opuszcza swego pana na krok. W podróżnej torbie ma na pewno cały zestaw medykamentów. Zdaniem majora lekarz byłby tu bardziej na miejscu. Tak na wszelki wypadek. Lord Altamount wyglądał jak żywy trup. Albo raczej jak marmurowy posąg wprost z muzeum sztuki starożytnej. Horshama major znał bardzo dobrze. Znał również kilku ludzi z Security i oczywiście pułkownika Munro, który wyglądał teraz

mniej groźnie niż zazwyczaj; był wyraźnie zmartwiony — z pewnością niepokoił się o starego. Grubasa o żółtej twarzy widział po raz pierwszy. Nie potrafił go zaszufadkować, ale jego zdaniem wyglądał na obcokrajowca. Azjata? Ciekawe, jaki interes ma Azjata na północy Szkocji? Major podszedł do pułkownika Munro.

— Czy wszystko gotowe, sir? — zapytał. — Samochód już czeka.

— Czy to daleko stąd?

— Siedemnaście mil, sir. Poła droga, ale nie taka zła. Kazałem wziąć parę koców. Są w samochodzie.

— Dostał pan rozkazy, majorze Andrews? Proszę powtórzyć.

Major wyrecytował posłusznie swoje rozkazy, Munro potwierdził ruchem głowy. Kiedy samochód odjechał, major zastanawiał się dłuższą chwilę, czego ci ludzie szukają w tym ponurym, zapomnianym przez Boga miejscu. Fatygowali się taki szmat drogi, by zobaczyć się ze starym, sparaliżowanym człowiekiem, który żył jak wyrzutek społeczeństwa w zanedbanej, zapuszczonej ruinie na końcu świata. Horsham z pewnością wiedział. Horsham wie o wszystkim, ale trudno przypuszczać, by zechciał podzielić się z nim informacjami.

Po długiej i męczącej jeździe przez wertepy dotarli wreszcie na miejsce. Samochód skręcił w zwirowaną dróżkę i zatrzymał się przed bramą. Wysoki budynek ze strzelistymi wieżyczkami wykonany był z szarego kamienia. Dwie latarnie oświetlały wejście. Ciężkie drzwi otwarły się, zanim ktokolwiek zdążył zastukać kołatką z kutego żelaza.

W progu stanęła stara Szkotka o poważnej, surowej twarzy. Kierowca wysiadł i pomógł pasażerom wysiąść.

Lord Altamount ruszył po schodach podtrzymywany z obu stron przez Kleeka i Horshama. Stara kobieta usunęła się z drogi i złożyła ceremonialny ukłon.

— Witam jego lordowską mość — powiedziała. — Pan czeka. Spodziewał się wizyty; kazał przygotować pokoje i rozpalić w kominkach. Proszę tedy.

W hallu czekała jeszcze jedna kobieta. Wysoka, szczupła, po pięćdziesiątce, ale ciągle jeszcze przystojna. Miała czarne, długie włosy rozdzielone pośrodku, wysokie czoło i ciemną cerę.

— Panna Neumann zajmie się panami — rzekła Szkotka.

— Dziękuję ci, Janet — powiedziała panna Neumann.

— Dopilnuj, proszę, by ogień w sypialniach nie wygasł.

— Dobrze, proszę pani.

Lord Altamount wyciągnął rękę na powitanie.

— Dobry wieczór, panno Neumann.

— Dobry wieczór, milordzie. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca.

— Lot był spokojny. To jest pułkownik Munro, pan Robinson, sir James Kleek oraz pan Horsham z Security.

— Miło mi panów poznać. Z panem Horshamem miałam już przyjemność się spotkać.

— Pamiętani, panno Neumann —
odparł Horsham.

— W Fundacji Leyesonów. Była pani już wtedy sekretarką pana Shorehama, prawda?

— Wtedy jeszcze asystentką w laboratorium. Jestem sekretarką pana Shorehama, choć prawdę powiedziawszy już nie na wiele się przydaję. Dotrzymuję mu towarzystwa, to wszystko. Pan Shoreham zatrudnia pielęgniarkę, która mieszka razem z nami. Panna Bude odeszła dwa dni temu, przyjęliśmy więc nową, pannę Ellis. Jej pokój sąsiaduje z salonem, z pewnych oczywistych względów. Wiem, że panom zależy na dyskrecji, jednak jej

obecność w pobliżu jest konieczna.

— Jak się czuje pan Shoreham? —
spytał Munro.

— Dobrze, jeśli można tak
powiedzieć. Ale muszę panów ostrzec,
że nie wygląda tak, jak kiedyś. To ruina
człowieka.

— Zanim pójdziemy na górę,
chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie.
Czy pan Shoreham jest w stanie
rozumieć nasze pytania?

— Och tak, rozumie doskonale, ale
niestety choroba sprawiła, że nie potrafi
wyraźnie mówić. Umysł pana
Shorehama, Bogu dzięki, nie stracił nic

ze swej sprawności. Jednak muszę panów ostrzec, że pan Shoreham bardzo szybko się męczy. Czego się panowie napiją?

— Proszę się nie kłopotać — odparł lord Altamount. — Chcielibyśmy niezwłocznie przystąpić do rzeczy. Sprawa, która nas tu sprowadza, jest raczej pilnej natury. Pan Shoreham, jak rozumiem, spodziewa się naszej wizyty?

— Tak, oczekuje panów w salonie. Zaprowadziła ich po schodach na piętro i otworzyła drzwi na końcu korytarza. Salon był niewielki, na ścianach wisiały gobeliny, ponad nimi zaś rzędy głów jelenich i inne trofea. Pomieszczenie to najwyraźniej służyło niegdyś jako sala

myśliwska; jej wystrój nie uległ większym zmianom od czasu, kiedy mieszkali tu dawni właściciele. W jednym z rogów pokoju stał wielki staromodny patefon.

Pan domu siedział w fotelu obok kominka. Skóra twarzy po jednej stronie była ściągnięta. Głowa i lewa ręka były wprawione w nieustanne, mimowolne drżenie. Mówiąc bez ogródek, mężczyzna na fotelu był wrakiem człowieka. Kiedyś był wysoki, silny, przystojny. Miał wysokie myślące czoło, głęboko osadzone inteligentne oczy i silnie zarysowaną mocną szczękę. Na ich widok odezwał się. Jego głos nie był wcale taki słaby, jak przypuszczali.

Brzmiał głośno i dobitnie, choć nie wszystkie słowa były wyraźne.

Liza Neumann stanęła przy nim czytając z ruchu warg.

— Profesor Shoreham chciałby powitać swych zacnych gości — tłumaczyła jego słowa. — Mówi, że to wielka przyjemność spotkać tak znakomite osoby. Chce panom powiedzieć, że doskonale rozumie, co się do niego mówi. Jego słowa będą panom przekazywane za moim pośrednictwem. Jeśli mówienie zmęczy go, potrafię czytać z ruchu warg. Możemy również porozumiewać się językiem migowym.

— Postaramy się — rzekł Munro — nie zajmować panu zbyt wiele czasu i nie męczyć rozmową, profesorze Shoreham.

Mężczyzna w fotelu skinął głową na znak, że rozumie.

— Tuszę, iż otrzymał pan mój list — ciągnął Munro.

— Tak — odparła Liza. — Profesor dostał pański list i zna jego treść.

Drzwi do sąsiedniego pokoju uchyliły się. Pielęgniarka odezwała się przytłumionym głosem:

— Pomóc w czymś, panno Neumann?

— Nie, nie trzeba, panno Ellis. Ale proszę zostać w swoim pokoju, na wszelki wypadek.

— Oczywiście. Przepraszam, że przeszkodziłam — wyszła zamykając drzwi za sobą.

— Proponuję przejść do rzeczy — oznajmił Munro.

— Niewątpliwie profesor Shoreham jest na bieżąco w sprawach politycznych, czy tak?

— Owszem — odparła panna Neumann. — Wystarczająco dobrze orientuje się w tym, co dzieje się na świecie.

— Czy śledzi również postępy w nauce?

Robert Shoreham zaprzeczył ruchem głowy i odpowiedział osobiście:

— Już z tym skończyłem.

— Ale wiadomo panu, co się dzieje na arenie międzynarodowej? Czytał pan o zamieszkach wśród młodzieży? O tej, jak to nazywają, Rewolucji Młodych?

— Profesor Shoreham wie o wszystkim, co się ostatnio dzieje — stwierdziła panna Neumann.

— A zatem wie pan, że światem targają konflikty, że rozpanoszyła się

nienawiść, terror, że młodzi ludzie ulegają tendencjom anarchistycznym wywodzącym się z pseudofilozoficznych pobudek?

Na twarzy Shorehama pojawił się ledwie dostrzegalny grymas zniecierpliwienia.

— Ten człowiek wie, co jest grane — wtrącił się Robinson. — Nie ma sensu babrać się w demagogii, Munro. Panie profesorze, czy pamięta pan admirała Blunta?

Shoreham ponownie skinął głową, na wykrzywionych wargach pojawił się cień uśmiechu.

— Admirał Blunt zdradził nam, że pracował pan kiedyś nad pewnym projektem. Chodzi o Projekt Benefaktor.

Oczy starego naukowca stały się czujne.

— To bardzo dawne czasy, panie Robinson — odezwała się Liza.

— Proszę mi jednak powiedzieć, czy pracował pan nad tym.

— Tak — potwierdziła panna Neumann.

— Musi pan zrozumieć — ciągnął Robinson — że nie możemy użyć przeciwko nim broni konwencjonalnej,

atomowej, ani chemicznej. Pański projekt to nasza jedyna nadzieja.

Zapadła cisza. Po chwili w pokoju rozległ się dobitny, choć niewyraźny, głos Shorehama.

— Profesor mówi, że jego wynalazek mógłby zostać użyty w zaistniałych okolicznościach.

Stary naukowiec poruszał szybko wargami skierowany w stronę panny Neumann.

— Profesor chce, bym wyjaśniła, że Projekt B został z pewnych względów zaniechany.

— Dlatego że był nie do zrealizowania?

— Nie, nie dlatego — rzekła panna Neumann. — Oboje nad tym pracowaliśmy. Projekt B był na ukończeniu i żadne przyczyny natury technicznej nie stały na przeszkodzie, by go ukończyć. Profesor Shoreham wyodrębnił ten środek, testował go wielokrotnie w warunkach laboratoryjnych, przeprowadzał szereg doświadczeń i wszystko działało zgodnie z założeniami. — Liza Neumann obróciła się do profesora i poczęła wykonywać szereg pospiesznych gestów w języku migowym.

— Pytam — wyjaśniła — czy

profesor zgodzi się, żebym wyjaśniła istotę Projektu B.

— Bardzo nam na tym zależy.

— Profesor Shoreham chce wiedzieć, od kogo dowiedzieliście się o tym projekcie.

— Wiemy to — rzekł Munro — dzięki pewnej zaprzyjaźnionej z panem osobie. Admirał Blunt nie potrafił przypomnieć sobie szczegółów, o całej tej sprawie dowiedzieliśmy się od lady Matyldy Cleckheaton.

Panna Neumann obserwowała usta profesora. Uśmiechnęła się gorzko.

— Profesor mówi, że sądził, iż lady Matylda już od dawna nie żyje.

— Zapewniam pana, że żyje i ma się dobrze. To ona chciała, byśmy wiedzieli o pańskim odkryciu.

— Profesor Shoreham postanowił zdradzić panom główne zarysy swego odkrycia, choć trzeba panom wiedzieć, że ta informacja nie na wiele się wam przyda. Wszystkie notatki, wzory, wyniki badań i plany technologiczne zostały zniszczone. Ale ponieważ jedynym sposobem na zaspokojenie waszej ciekawości jest poznanie istoty i charakteru tego odkrycia, nie pozostaje mi nic innego, jak zdradzić panom główne założenia projektu. Znają

panowie z pewnością działanie i cele użycia gazu łzawiącego. Siły policyjne używają tego środka do tłumienia wystąpień, demonstracji i tym podobnych. Gaz ten powoduje silne podrażnienie gruczołów łzowych, wywołując gwałtowne łzawienie i zapalenie zatok.

— Czy środek B działa na podobnej zasadzie?

— Nie, ale cel jest podobny. Naukowcy odkryli, że można wpływać nie tylko na podstawowe reakcje organizmu, lecz także na cechy psychiczne jednostki. Innymi słowy, możliwa jest zmiana charakteru i uczuć

człowieka. Powszechnie znane jest stymulujące seksualnie działanie afrodyzjaków. Istnieją rozmaite środki, które są w stanie wpłynąć na psychikę człowieka. Stosuje się również zabiegi chirurgiczne na ludzkim mózgu, które w istotny sposób wpływają na zachowanie pacjenta. Profesor Shoreham odkrył pewien proces, który zmienia ludzkie nastawienie do świata. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z furriatem, maniakałnym zabójcą, czy też ze zwyczajną jednostką, środek ten powoduje, że osoba poddana jego działaniu staje się zupełnie inna. Osoba ta owładnięta jest silnym pragnieniem czynienia dobra. Odczuwa ona wstręt przed działaniem agresywnym, przed

zadawaniem bólu. Staje się delikatna i współczująca, otwarta na ludzkie cierpienie i gotowa nieść pomoc i ukojenie. Środek ten może zostać użyty na znacznym obszarze wywołując zmiany w psychice tysięcy ludzi.

— Jak długie jest jego działanie? — spytał Munro. — Doba, dwie, może dłużej?

— Nie rozumie pan. Zmiany są nieodwracalne.

— Nieodwracalne? Mówi mi pani, że można zmienić ludzką psychikę na zawsze?

— Tak. Początkowo wydawało nam

się, że nasz preparat znajdzie zastosowanie wyłącznie w medycynie, jednak profesor Shoreham przewidział możliwość użycia go dla celów wojskowych. Eksperymenty dowiodły, że środek ten nie wywołuje poczucie szczęścia, lecz jedynie pragnienie, by innych uczynić szczęśliwymi. Często w życiu obserwuje się podobne zachowania. Weźmy na przykład matkę, która pragnie, aby jej dziecko było szczęśliwe, zdrowe, wolne od zmartwień. A zatem skoro ludzie odczuwają podobne pragnienia w życiu codziennym, doszliśmy do wniosku, że istnieje w ciele ludzkim jakiś czynnik odpowiedzialny za tego rodzaju zachowanie. Gdyby więc udało się ów

komponent wyodrębnić, moglibyśmy wywołać takie pragnienia sztucznie.

— Wspaniałe — rzekł Robinson. — To naprawdę wspaniały wynalazek. Ale nie rozumiem, dlaczego...

Stary naukowiec powoli odwrócił głowę i spojrzał na Robinsona.

— Profesor mówi, że pan wie dobrze, dlaczego — wyjaśniła panna Neumann.

— Ależ to właśnie tego nam było trzeba! — wykrzyknął James Kleek z entuzjazmem. — To rozwiąże wszystkie problemy!

Panna Neumann zaprzeczyła ruchem

głowy.

— Projekt B nie jest na sprzedaż. Profesor Shoreham nigdy się nie zgodzi na jego kontynuację.

— Czy chce pani powiedzieć, że odpowiedź profesora brzmi „nie”?

— To właśnie chciałam powiedzieć. Profesor Shoreham uznał, że byłoby to sprzeczne z... — urwała i spojrzała na mężczyznę w fotelu. Profesor wykonał kilka drobnych gestów zdrową ręką, a z jego ust popłynął potok niewyraźnych słów. Panna Neumann pospieszyła z wyjaśnieniami: — Profesor Shoreham chce osobiście odpowiedzieć. Mówi, że był przerażony. Przerażony tym, co

nauka uczyniła ze swymi odkryciami. Nauka dała światu wiele dobrych rzeczy, które w nieodpowiedzialnych rękach obróciły się przeciwko ludzkości. Przykładów jest mnóstwo. Przeszczepy, które ratując ludzkie życie przedłużają jedynie agonię. Antybiotyki, które zwalczają choroby, lecz jednocześnie przyczyniają się do osłabienia naturalnych reakcji obronnych organizmu. Wreszcie energia atomowa, tragedia Hiroshimy, choroba popromienna. Trujące wyziewy z kominów fabrycznych. Nauka to potęga, lecz niewielu potrafi jej użyć właściwie.

— Ale przecież ten środek jest zbawieniem! — wykrzyknął Munro. —

Zbawieniem dla wszystkich!

— To samo mówiono o innych wynalazkach. Wysławiano pod niebiosami ich cudowne właściwości, a potem okazywało się, że zamiast korzyści niosły śmierć i zniszczenie. Dlatego właśnie profesor Shoreham postanowił wstrzymać prace nad projektem.

Stary naukowiec pisał coś na kartce. Kiedy skończył, podał ją panie Neumann. Asystentka odczytała ją zebrany.

— „Jestem dumny z tego, co udało mi się osiągnąć, ale podjąłem już decyzję. Projekt B nie istnieje. Mój wynalazek nigdy nie ujrzy światła dziennego. Tak

więc odpowiedź brzmi nie. Spaliłem wszystkie notatki. Uczyniłem to świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Dzieło mojego życia zostało zniszczone”.

Robert Shoreham uczynił nadludzki wysiłek. Przemówił wolno, lecz wyraźnie i dobitnie:

— Tak, panowie. Dzieło mego życia zostało zniszczone i nikt nie dowie się, jak do niego doszedłem. Oprócz mnie tylko jeden człowiek wiedział, jak uzyskać ten środek, ale człowiek ten od dawna nie żyje. Obawiam się, że będziecie zmuszeni odejść z niczym. Nie mogę wam pomóc.

— Ależ z tego wynika, że pan może uratować świat! Z gardła profesora wydobył się dziwny dźwięk. Był to śmiech. Śmiech starego, okaleczonego przez los człowieka.

— Ratujmy świat! Cóż za piękny frazes! Ci młodzi też chcą ratować świat. Myślą, że są w stanie to zrobić. Ale nie potrafią. Muszą sami odkryć właściwą drogę. Sztuczne rozwiązania nie uratują świata. Sztuczne dobro? Nie, panowie, to nie jest odpowiedź. To niczego nie rozwiąże, ponieważ jest wbrew naturze. Wbrew Bogu.

Ostatnie dwa słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie.

Starzec potoczył wzrokiem po zebranych. Tak jakby prosił ich o zrozumienie, a jednocześnie wiedział, że prosi na próżno.

— Miałem prawo zniszczyć dzieło swego umysłu...

— Według mnie nie miał pan prawa — przerwał mu Robinson. — Wiedza jest wiedzą. Nikt nie ma prawa jej niszczyć.

— Wolno panu tak twierdzić, ale musi pan pogodzić się z faktami.

— Nie! — rzekł Robinson z naciskiem.

Liza Neumann spojrzała na niego ze złością.

— Co pan przez to rozumie?

Jej oczy błyszczały. Piękna kobieta, pomyślał Robinson. Kobieta, która kochała Roberta Shorehama przez całe życie. Podarowała mu swą miłość i oddanie w najpiękniejszej z form. Nie współczucie, lecz najczystsza, najszczerzą miłość.

— Życie wiele mnie nauczyło — rzekł Robinson. — Daleko mi pewnie do pańskiego geniuszu, profesorze, ale w pewnych kwestiach rzadko się myłę. Tym razem też się nie myłę i wierzę, że pan to przyzna, bo jest pan człowiekiem

uczciwym. Otóż uważam, że nie zniszczył pan tego projektu. Nie wierzę, by mógł się pan na to zdobyć. Jestem pewien, że wszystkie pańskie notatki leżą ukryte w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie, raczej nie tutaj. Zgaduję, że trzyma je pan zdeponowane w sejfie jakiegoś banku. Panna Neuman również zna miejsce ich ukrycia. Ufa jej pan. To jedyna osoba na świecie, której pan ufa.

W ciszy, która zapadła, głos Shorehama zabrzmiał głośno i wyraźnie:

— Kim pan jest? Kim u diabła jest ten człowiek?

— Jestem po prostu człowiekiem, który wie dużo o pieniądzach i o

wszystkim, co się z nimi wiąże. Znam dobrze ludzkie słabości. Jestem przekonany, że w każdej chwili mógłby pan podjąć przerwane dzieło. Nie wiem, czy byłby pan zdolny je podjąć, ale założę się, że wszystkie potrzebne materiały ciągle jeszcze istnieją. Przedstawił nam pan swój punkt widzenia i muszę przyznać, że trudno się z tym w zupełności nie zgodzić. Ma pan rację: uszczęśliwianie ludzi na siłę do niczego nie prowadzi. Wielu już próbowało. Obiecywali raj na ziemi, wolność słowa, wolność wyznania. I co? I jakoś tego rajy nie widać. Trudno przypuszczać, by pański projekt mógł działać więcej w tej mierze. Dobra wola również niesie pewne

niebezpieczeństwa. Ale pański środek ma szansę rozwiązać parę innych problemów. Oszczędzi ludziom cierpień i bólu, anarchii, zniewolenia i gwałtu. Pomoże zapobiec wielu złym zjawiskom. I jest szansa, że przyczyni się do zmiany ludzi. Młodych ludzi. Nikła to szansa, ale nie wolno nam jej zaprzepaścić. Zgadzam się: to niebezpieczna broń. Wielu pod jej wpływem stanie się bezwolnymi marionetkami działającymi pod dyktando swych własnych hormonów. Ale jest nadzieja, że gdy na siłę zmienimy ludzką naturę, gdy ludzie będą zmuszeni działać dla dobra innych, to może choć jeden człowiek odkryje, że właśnie tego w życiu szukał, że właśnie

to jest jego powołaniem.

— Nie rozumiem o czym wy u licha mówicie? — zdenerwował się Munro.

— Proszę przestać — rzekła panna Neumann. — Decyzja profesora jest ostateczna i nieodwołalna. Ma prawo uczynić ze swym wynalazkiem to, co uzna za stosowne. Nie możecie go do niczego zmuszać.

— Nie — odezwał się milczący dotąd lord Altamount. — Zrozum, Robercie, że nikt nie ma zamiaru wywierać na ciebie presji. Uczynisz to, co uważasz za właściwe.

— Edward? — wykrzyknął Robert

Shoreham. Głos mu się załamał. Profesor zaczął nerwowo gestykulować zdrową ręką. Panna Neumann niezwłocznie przetłumaczyła:

— Profesor Shoreham pyta, czy pan jest Edwardem Altamount.

Stary naukowiec gorączkowo starał się coś przekazać.

— Profesor chciałby wiedzieć, czy pan, lordzie Altamount, całym sercem i swym autorytetem podpisuje się pod żądaniami tych panów. Mówi... — urwała zerkając na usta Shorehama — mówi, że jest pan jedynym politykiem, któremu może zaufać. Jeżeli takie jest pańskie życzenie...

James Kleek zerwał się nagle i podbiegł do lorda Altamount.

— Proszę nic nie mówić, sir. Jest pan chory. Niech się pani odsunie, panno Neumann. Ten człowiek potrzebuje natychmiastowej pomocy. Muszę mu zrobić zastrzyk, zanim będzie za późno...

Sięgnął do kieszeni i wydobył niewielką strzykawkę. Chwycił lorda Altamount za ramię, błyskawicznie podwinął mu rękaw i ujął fałd skóry między palcami.

Wszyscy stali jak wryci, oprócz jednej osoby. Horsham zerwał się z miejsca, odtrącił stojącego mu na drodze

Munro i chwycił Jamesa za rękę próbując wyrwać mu strzykawkę z dłoni. Kleek szamotał się, lecz Horsham okazał się silniejszy. Munro dopadł Jamesa i pomógł Horshamowi obezwładnić młodzieńca.

— A więc to byłeś ty! — wykrzyknął.
— James Kleek, wierny asystent, który okazał się zdrajcą!

Panna Neumann rzuciła się do drzwi i zakrzyknęła:

— Siostro! Proszę tutaj! Szybko!

Pielęgniarka wbiegła do pokoju i spojrzała na Shorehama. Ten wskazał ręką w stronę Kleeka, który mocował

się z trzymającymi go Munro i Horshamem. Pielęgniarka sięgnęła do kieszeni fartucha.

— Lord Altamount, siostró. To chyba atak serca.

— Żaden atak — warknął Munro. — To była próba morderstwa — urwał i spojrzał zdumiony na pielęgniarkę. — Trzymaj go! — wrzasnął do Horshama i rzucił się na nią.

— Milly Cortman! — krzyknął łapiąc ją za ramię. — Od kiedy to pani została pielęgniarką?

Milly Jean wolną ręką próbowała coś wyciągnąć z kieszeni fartucha. W jej

dłoni błysnął mały pistolet. Spojrzała na Shorehama, ale panna Neumann stanęła na linii strzału.

James Kleek krzyknął: — Juanita, Altamount! Zabij go. Szybko!

Jej ramię powędrowało w kierunku Altamounta. Rozległ się strzał.

— Udało się! — wrzasnął Kleek.

Lord Altamount był człowiekiem wykształconym. Spojrzał na Kleeka i wymamrotał: — *Et tu, Brute!* Jego głowa opadła bezwładnie na oparcie.

II

Doktor McCulloch rozejrzał się niepewnie po zebranych. Ten wieczór obfitował w niecodzienne sytuacje. Doktor nie wiedział, co powiedzieć.

Liza Neumann postawiła przed nim szklaneczkę.

— Gorący poncz — rzekła.

— Jesteś prawdziwym skarbem, Lizo — podniósł szklanę do ust. — Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, ale to pewnie tajne i niczego się od was nie dowiem.

— Co z profesorem, doktorze? Nic mu nie jest?

— Profesor? — spojrzał z uśmiechem na jej zatroskaną twarz. — Nie, nic mu nie jest. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że czuje się znacznie lepiej niż przedtem.

— Myślałam, że może szok...

— Czuję się świetnie, Lizo — rzekł Shoreham.

— Najwyraźniej potrzebna mi była terapia wstrząsowa. Mam wrażenie, jakbym na nowo odżył.

— Sama widzisz — rzucił

McCulloch, — Apatia jest najgorszym z objawów. Naszemu profesorowi potrzeba było stymulacji. Jego umysł domaga się aktywności. Słuchanie muzyki nie jest odpowiednim zajęciem dla człowieka o tak niespotykanym intelekcie. Dla profesora praca jest najlepszym lekarstwem.

Uśmiech doktora dodał jej otuchy.

— Panie McCulloch — wtrącił Munro. — Moi przełożeni z pewnością będą mieli mi za złe, że wtajemniczam pana w sprawy wagi państwowej, niemniej jednak sądzę, że należy się panu wyjaśnienie. Otóż śmierć lorda Altamount...

— Lord Altamount nie zginął od kuli — przerwał McCulloch. — Śmierć nastąpiła w wyniku szoku. Dodam jeszcze, że strzykawka zawierała strychninę. Ten młody człowiek...

— Wyrwałem mu strzykawkę w ostatniej chwili — mruknął Horsham.

— Kim był ten człowiek? — spytał doktor. — Zdrajcą?

— Najgorszym z możliwych. Lord Altamount darzył go ogromnym zaufaniem. Wziął go w opiekę siedem lat temu. Kleek był synem jednego z najlepszych przyjaciół lorda Altamount.

— Trudno dziś komuś ufać. A ta

kobieta? Jak przypuszczam, była z nim w zмовie, prawda?

— Tak. Nie była pielęgniarką, jej dokumenty były sfałszowane. Od dłuższego czasu poszukiwana listem gończym za morderstwo.

— Morderstwo?

— Tak. Zabójstwo jej męża, Sama Cortmana, ambasadora Stanów Zjednoczonych. Zastrzeliła go na schodach ambasady, a policji przedstawiła historyjkę o rzekomym ataku zamaskowanych terrorystów.

— A motyw? Polityczny czy osobisty?

— Uważamy, że Cortman dowiedział się o jej machinacjach.

— Moim zdaniem — dodał Horsham — Sam Cortman podejrzewał ją o niewierność, ale zamiast listów od kochanków odkrył dowody na jej działalność szpiegowską. Nie wiedział, jak to rozegrać. To był miły człowiek, ale niezbyt lotny. Tylu ludzi ginie niepotrzebnie...

— Nie — rzekł profesor Shoreham.

Wszyscy obecni w zdumieniu spojrzeli na starego naukowca.

— Nie będę tu siedział i czekał na śmierć. Lizo, od jutra zabieramy się do

roboty.

— Ależ Robercie...

— Już zdecydowałem. Czuję się znakomicie. Spytaj doktora.

Liza spojrzała pytająco na McCullocha.

— To najlepsze wyjście — odparł doktor. — Nie można pozwolić, by nasz profesor znowu pogрузzył się w apatii.

— No proszę — mruknął Shoreham. — Nawet na łóżu śmierci człowiek nie zazna spokoju.

Doktor McCulloch roześmiał się.

— Podaślę ci tabletki na wzmocnienie.

— Nie będę brał żadnych tabletek.

— Będziesz, będziesz — rzucił McCulloch i podniósł się z krzesła. Przy drzwiach odwrócił się i zapytał: — Jednego tylko nie rozumiem. Jak to się stało, że policja zjawiała się tak szybko?

— Major Andrews — odparł Munro. — Kazałem mu się tym zająć. Przybyli w samą porę. Widzi pan, wiedzieliśmy, że ta kobieta jest gdzieś w pobliżu, ale nie mieliśmy pojęcia, że jest aż tak blisko.

— Dobrze, na mnie już czas. Jakoś nie

mogę uwierzyć, że to wszystko prawda. Czuję się tak, jakbym zasnął podczas lektury jakiegoś powieścidla. Szpiedzy, morderstwa, zdrajcy, naukowcy. Nie, panowie, to nie dla mnie.

Wyszedł. Zapadła cisza.

— A zatem do pracy — westchnął Shoreham.

— Bądź ostrożny, Robercie — powiedziała Liza z typowo kobiecą troską w głosie.

— Ostrożny? Nie, moja droga, nie ma czasu na ostrożność. Musimy się spieszyć.

— O czym mówisz?

— Trzeba natychmiast ściągnąć tu Gottlieba. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. To świetny fachowiec. We trójkę powinniśmy dać sobie radę. Trzeba sprowadzić całą dokumentację. Jutro pojedziesz do banku.

— Profesor Gottlieb żyje i ma się dobrze — rzekł Robinson. — Mieszka w Teksasie, w Austin.

— Nic nie rozumiem, Robercie. Co zamierzasz zrobić?

— Jak to co? Zamierzam skończyć Projekt B. Niech to będzie pamiątka ku czci Edwarda Altamount. Nikt nie

powinien umierać na darmo.

Epilog

Sir Stafford Nye po raz trzeci próbował zredagować telegram.

ZP 354XB 91 DEP S.Y.

WSZYSTKO GOTOWE STOP ŚLUB
PRZYSZŁY TYDZIEŃ CZWARTEK U
ŚW. KRZYSZTOFA LOWER
STAUNTON 14.30 STOP KATOLICKI
STOP JEŚLI WOLISZ
GREKOKATOLICKI DAJ ZNAĆ STOP
JAKIE NAZWISKO MAM PODAĆ W

DOKUMENTACH STOP SYBIL MOJA
SIOSTRZENICA CHCE BYĆ
DRUHNĄ STOP MA PIĘĆ LAT STOP
OKROPNIE NIEPOSŁUSZNA STOP
MIESIĄC MIODOWY NA MIEJSCU
STOP PODRÓŻY MASZ JUŻ CHYBA
DOSYĆ STOP PASAŻER DO
FRANKFURTU.

DO: STAFFORD NYE BXY42698

ZGADZAM SIĘ NA SYBŁ STOP
OŚWIADCZYNY PRZYJĘTE CHOĆ
METODY NIE APROBUJĘ STOP
KATOLICKI OK STOP POZDRÓW
CIOCIĘ STOP MARY ANN

— Jak wyglądam? — spytał zdenerwowany Stafford zerkając kątem oka w lustro.

Przymierzał właśnie swój ślubny frak.

— Jak pan młody — odparła cioteczka Matylda. — Ciekawe, że mężczyźni zawsze się denerwują przed ślubem. Kobiety wolą się cieszyć.

— A jeżeli nie przyjedzie?

— Przyjedzie.

— Czuję się jakoś dziwnie.

— Niepotrzebnie obżerałaś się tym pasztetem. Zwykła trema. Nie przejmuj się, Staffy, wszystko pójdzie jak trzeba. W kościele ci przejdzie.

— A, właśnie! Przypomniałem sobie o czymś.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie masz jeszcze obrączek!

— Mam. Ja nie o tym. Zapomniałem powiedzieć, że mam dla cioci prezent.

— To miło z twojej strony, drogi chłopcze.

— Mówiła ciocia, że organista oszczędł...

— Owszem, dzięki Bogu.

— Przywiozłem nowego organistę.

— Naprawdę? Świetnie. Skądęś go wytrzasnął?

— Z Bawarii. Śpiewa tak słodko jak sam Archanioł Gabriel.

— Nie musi ładnie śpiewać, byleby umiał grać na organach.

— Gra wyśmienicie. To naprawdę świetny organista.

— Co go skłoniło do przyjazdu do Anglii?

— Umarła mu matka.

— No proszę! Zupełnie jak poprzedniemu. Matki organistów muszą być niezwykle wrażliwe. Czy mam mu zastąpić matkę? Nie czuję się na siłach.

— Myślę, że zadowolili się babką albo prababką. Drzwi otwarły się nagle i w progu stanęła urocza istotka w liliowej pizamce w drobne różyczki. Weszła scenicznym krokiem do pokoju i oznajmiła rozbrajająco:

— To ja.

— Sybil! Dlaczego nie jesteś jeszcze w łóżku?

— Bo niania zachowuje się okropnie.

— Musiałaś coś przeskrobać.
Przyznaj się, co zrobiłaś?

Sybil wbiła wzrok w sufit i zaczęła chichotać.

— To nie ja. To gąsienica. Taka włochata. Położyłam ją niani na sukience, a ona wlaźła jej tu.

Palec dziewczynki wskazał miejsce pośrodku klatki piersiowej, na które kobiety zwykle wdziewają stanik.

— Brr — wzdrygnęła się lady Matylda. — Wcale się nie dziwię, że niania była zła.

W tym momencie do pokoju weszła niania i oznajmiła, że panienka Sybil jest niegrzeczna i nie chce zmówić paciorka.

Sybil podbiegła do lady Matyldy i chwyciła się rąbka jej spódnicy.

— Tylda, czy mogę zmówić paciorek tutaj?

— Zgoda, ale zaraz potem pójdziesz grzecznie do łóżka.

— Dobrze, Tylda.

Sybil uklękła, złożyła rączki i wydobyła z gardła kilka dziwacznych dźwięków, które, jak należy przypuszczać, były niezbędnym wstępem

do rozmowy z Wszechmogącym. Wzdychała, jęczała, mruczała coś pod nosem, wreszcie wydobyla z siebie finałowe sapnięcie i zaczęła:

— Boziu, daj zdrowko tatusiowi i mamusi w Singapurze i cioci Tyldzie, i wujkowi Staffy, i Amy, i naszemu kucharzowi, i Ellen, i Thomasowi, i wszystkim naszym pieskom, i mojemu kucykowi Grizzle, i Margaret, i Dianie, które są moimi najlepszymi przyjaciółkami, i Joan, chociaż jest wstrętna i się przezywa, i spraw, żebym była grzeczną dziewczynką, amen. I spraw jeszcze, Boziu, żeby niania przestała być niedobra.

Sybil zerwała się na nogi, rzuciła

niani triumfalne spojrzenie, ucałowała ciocię, powiedziała dobranoc i wybiegła z pokoju.

— Ktoś musiał jej powiedzieć o Projekcie B — rzekła ciotka Matylda.
— Tak przy okazji, Staffy, kto będzie twoim świadkiem?

— Na śmierć o tym zapomniałem. Czy muszę mieć świadka?

— Obawiam się, że tak.

Sir Stafford Nye wziął do ręki małego, pluszowego misia.

— Panda będzie moim świadkiem. Ani druhna, ani panna młoda nie będą

miały nic przeciw temu. W końcu panda była w tej historii od samego początku. Jeszcze od Frankfurtu.

* Pan nie jest poważnym wędkarzem!
Ma pan z sobą kobiety.

* To nie jest poważny chłopak.